Ursula K. Le Guin

INNY WIATR

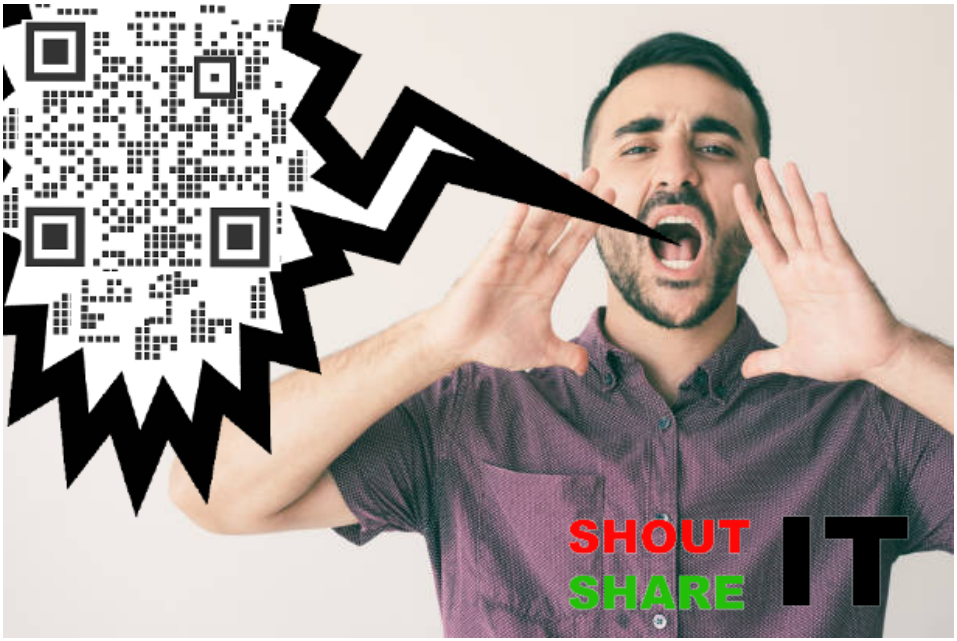
SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Mimo powrotu prawowitego króla w Ziemiomorzu nie dzieje się najlepiej. Prosty czarownik Olcha we śnie odwiedza krainę umarłych, gdzie przebywa jego ukochana żona. Jej pocałunek staje się początkiem zmian. Umarli pragną opuścić swój kraj, a Olcha może otworzyć im drogę. Zwraca się zatem o pomoc do dawnego Arcymaga Geda, który posyła go do Tenar, Tehanu i młodego króla w Havnorze. Wraz z dziewczyną-smokiem Irian muszą stawić czoło największemu z zagrożeń.

W „Innym wietrze” powracamy do Ziemiomorza, Archipelagu, w którym mieszkają magowie i smoki, i do bohaterów znanych z poprzednich tomów: Geda, Tenar, Tehanu, Arrena, Irian… Czas bowiem połączyć rozproszone wątki, czas pokazać, ku czemu wiodło przeznaczenie.

- Ursula K. Le Guin
  - ROZDZIAŁ 1
  - ROZDZIAŁ 2
  - ROZDZIAŁ 3
  - ROZDZIAŁ 4
  - ROZDZIAŁ 5

Ursula K. Le Guin
Inny wiatr

Poza najdalszym zachodem,
Tam, gdzie kończą się lądy,
Mój lud tańczy na skrzydłach
Innego wiatru.

pieśń kobiety z Kemay

ROZDZIAŁ 1
NAPRAWA ZIELONEGO DZBANKA

Białe niczym łabędzie skrzydła żagle unosiły „Chyżą" coraz dalej w głąb zatoki, pomiędzy Zbrojnymi Urwiskami, w stronę Portu Gont. Pchany powiewami letniej bryzy statek sunął łagodnie po nieruchomych wodach ku grobli. A poruszał się niczym istota zrodzona z wiatru — z takim wdziękiem, że kilku mieszczan łowiących ryby ze starego pomostu powitało go radosnym okrzykiem, machając rękami do członków załogi i stojącego na dziobie pasażera.

Był to chudy mężczyzna w starym czarnym płaszczu, trzymający w dłoni skromny worek — pewnie czarodziej albo drobny kupiec; nikt ważny. Wędkarze obserwowali krzątaninę na pokładzie i przystani. Statek szykował się do wyładunku. Zafascynowani gapie tylko raz zwrócili uwagę na pasażera — gdy schodził z pokładu, jeden z żeglarzy za jego plecami uczynił gest, unosząc kciuk oraz wskazujący i mały palec lewej dłoni: Obyś nigdy nie wrócił!

Mężczyzna w czarnym płaszczu przez chwilę rozglądał się niepewnie, po czym zarzucił worek na ramię i zagłębił się w portowe ulice. Wokół roiło się od ludzi. Trafił na targ rybny. Wszędzie rozbrzmiewały okrzyki handlarzy i ludzi targujących się zawzięcie. Kamienie brukowe połyskiwały od rybich łusek i morskiej wody. Jeśli nawet wiedział, dokąd zmierza, to wkrótce zabłądził pośród wozów, kramów, tłumu i zimnych spojrzeń martwych ryb.

Stara wysoka kobieta odwróciła się od kramu, przy którym głośno podawała w wątpliwość świeżość śledzi i prawdomówność handlarki. Widząc na sobie jej gniewny wzrok, przybysz spytał niezbyt mądrze:

— Czy byłabyś łaskawa powiedzieć, jak mam trafić do Re Albi?

— Utop się w pomyjach — warknęła i odeszła.

Mężczyzna skulił się zawstydzony, jednakże kramarka, dostrzegając szansę zdobycia przewagi moralnej, huknęła:

— Re Albi, tak? Idziesz do Re Albi? Mów! Skoro tak, to z pewnością szukasz domu Starego Maga. O tak. Skręć tu za róg, dalej uliczką Węgorzy aż do wieży…

Gdy wydostał się z targu, szerokie ulice zaprowadziły go w górę. Wyminął potężną wieżę strażniczą i dotarł do bramy miasta. Strzegły jej dwa kamienne smoki naturalnej wielkości, o zębach długich jak jego przedramię. Kamienne oczy spoglądały ślepo na miasto i zatokę. Znudzony strażnik poradził przybyszowi skręcić w lewo na końcu drogi.

— Tam jest Re Albi. A potem wystarczy przejść przez wieś i będziesz w domu Starego Maga — dodał.

Przybysz ruszył zatem stromą drogą. Przed sobą miał jeszcze bardziej strome zbocze i odległy szczyt góry Gont, wznoszącej się nad wyspą niczym kamienna chmura.

Droga była długa, a dzień upalny. Wkrótce mężczyzna zrzucił czarny płaszcz i szedł dalej z gołą głową, w samej koszuli. Nie pomyślał o tym, by w mieście nabrać wody czy kupić zapas jedzenia. A może po prostu był na to zbyt nieśmiały, nie nawykł bowiem do miast i towarzystwa obcych ludzi.

Po kilku długich milach dogonił wóz, który od dawna widział przed sobą na drodze — ciemną plamę w białym obłoku pyłu. Wóz toczył się wolno naprzód, jęcząc i skrzypiąc, ciągnięty niespiesznie przez parę małych wołów, które na oko zdawały się stare, pomarszczone i obojętne na wszystko niczym żółwie. Podróżny przywitał woźnicę, dziwnie podobnego do swych wołów. Wieśniak nie odpowiedział, zamrugał tylko.

— Czy gdzieś przy drodze znajdę źródło? — spytał przybysz.

Woźnica powoli pokręcił głową. Po długiej chwili rzekł:

— Nie. — Kolejna chwila i: — Tu nie ma źródła. Zniechęcony przybysz zwolnił kroku. Wlókł się teraz w tempie wołów, około mili na godzinę.

Nagle uświadomił sobie, że woźnica bez słowa wyciąga ku niemu wielką glinianą butlę oplecioną wikliną. Wziął ją — była bardzo ciężka — i napił się do woli. Gdy skończył, ciężar butli niemal się nie zmienił. Oddał ją, dziękując cicho.

— Wsiadaj — rzekł po jakimś czasie woźnica.

— Dziękuję, wolę iść. Jak daleko stąd do Re Albi?

Koła skrzypiały. Woły westchnęły ciężko, najpierw jeden, potem drugi. W gorących promieniach słońca ich zakurzona skóra pachniała słodko.

— Dziesięć mil — odparł woźnica. Zastanowił się moment. — Albo dwanaście — dodał — nie mniej.

— Lepiej zatem się pospieszę.

Woda dodała mu nowych sił, zdołał zatem wyprzedzić woły i oddalił się znacznie, gdy usłyszał głos woźnicy.

— Idziesz do domu Starego Maga.

Jeśli nawet było to pytanie, nie wymagało odpowiedzi. Szedł dalej.

Gdy wyruszył w drogę, wciąż padał na nią cień góry. Kiedy jednak skręcił w lewo do małej wioski, zapewne Re Albi, słońce płonęło na zachodnim niebie. W jego promieniach morze miało barwę stali.

Wieś składała się z kilkunastu niewielkich domów, małego zakurzonego rynku i fontanny-źródełka, z której wylewał się jeden cieniutki strumyk wody. Podróżny wiele razy czerpał wodę dłońmi i

pił. Potem zanurzył głowę, wcierając zimną wodę we włosy i pozwalając, by spływała po ramionach. Jakiś czas siedział na kamiennym obramowaniu fontanny, budząc milczące zainteresowanie dwóch brudnych chłopców i jednej brudnej dziewczynki.

— To nie konował — orzekł w końcu jeden z chłopców. Podróżny przeczesał palcami mokre włosy.

— Pewnie idzie do domu Starego Maga, durniu — mruknęła dziewczynka.

Chłopiec wykrzywił twarz w upiornym grymasie. Jedną ręką naciągnął sobie policzki i czoło, drugą wykrzywił szponiasto i uderzył w powietrze.

— Lepiej uważaj, Kamyku — upomniał go drugi chłopiec. — Jeśli chcesz, poprowadzę cię tam — zaproponowała podróżnemu dziewczynka.

— Dzięki — odparł i wstał ze znużeniem.

— Widzisz, nie ma laski — rzekł jeden z chłopców, a drugi odparł:

— Nie twierdziłem, że ma.

Patrzyli nadąsani, jak nieznajomy w ślad za dziewczynką podąża ścieżką na północ, pośród opadających stromo skalistych pastwisk.

Słońce prażyło, zalewało blaskiem morze. Podróżny zamrugał oślepiony. Odległy horyzont i wiatr sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Dziecko wyprzedzało go — mały skaczący cień. Przystanął.

— No, chodź! — zawołała dziewczynka, ale i ona się zatrzymała. Podszedł do niej powoli. — Tam — wskazała ręką.

Ujrzał drewniany dom stojący blisko krawędzi urwiska, wciąż jeszcze dość daleko.

— Nie boję się — powiedziała dziewczynka. — Często przynoszę stąd ojcu Kamyka jajka, żeby zabrał je na targ. Kiedyś stara pani dała mi kilka brzoskwiń. Kamyk mówi, że je ukradłam, ale kłamie. Idź, jej tam nie ma. Obu nie ma.

Czekała bez ruchu, wskazując dom.

— Nie ma nikogo? — zapytał.

— Został tylko stary. Stary Jastrząb.

Podróżny ruszył naprzód. Dziecko stało i obserwowało go, póki nie zniknął za rogiem domu.

* * *

Dwie kozy przyglądały się nieznajomemu ze stromego, ogrodzonego płotem pastwiska. W długiej trawie pod śliwami i

drzewami brzoskwiniowymi przechadzało się stadko kur i kurcząt, dziobiących leniwie i prowadzących ciche rozmowy. Na niskiej drabinie opartej o pień jednego z drzew stał mężczyzna. Jego głowa kryła się wśród liści. Podróżny dostrzegł tylko nagie brązowe nogi.

— Witam — powiedział. Po chwili powtórzył to samo nieco głośniej.

Liście zatrzęsły się i mężczyzna zszedł szybko z drabiny. W ręce trzymał garść śliwek. Gdy zeskoczył na ziemię, drugą dłonią przegnał kilka pszczół zwabionych zapachem słodkiego soku. Ruszył naprzód — niski, wyprostowany; związane z tyłu siwe włosy odsłaniały piękną podstarzałą twarz. Wyglądał na jakieś siedemdziesiąt lat. Jego lewy policzek aż do szczęki przecinały cztery białe linie, stare blizny. Spojrzenie miał czyste, otwarte, pełne mocy.

— Są dojrzałe — oznajmił — choć jutro będą smakować jeszcze lepiej. — Wyciągnął rękę, częstując gościa małymi żółtymi śliwkami.

— Panie Krogulcze — powiedział cicho przybysz. — Arcymagu.

Stary człowiek skinął krótko głową.

— Wejdź w cień — rzucił.

Nieznajomy podążył za nim i usiadł na drewnianej ławie w cieniu rosnącego obok domu przysadzistego drzewa. Podziękował za śliwki, wypłukane i podane w wiklinowym koszyku. Zjadł jedną, drugą, trzecią. Pytany przyznał, że nic nie jadł cały dzień. Gospodarz zniknął w środku domu, a po chwili przyniósł chleb, ser i pół cebuli. Gość zjadł, popijając kubkiem zimnej wody podanej przez gospodarza, który dla towarzystwa poczęstował się śliwkami.

— Wyglądasz na zmęczonego. Z jak daleka przybywasz?

— Z Roke.

Twarz starego człowieka pozostała nieprzenikniona.

— Nie zgadłbym — rzekł tylko.

— Pochodzę z Taonu, panie. Popłynąłem stamtąd na Roke, a tam Mistrz Wzorów powiedział, że powinienem udać się tutaj, do ciebie.

— Czemu?

Spojrzenie gospodarza budziło lęk.

— Ponieważ przemierzyłeś żyw mroczną krainę… — niski głos przybysza załamał się lekko.

Stary człowiek dokończył za niego:

— I dotarłem do odległych brzegów dnia. Istotnie, jednakże przepowiednia ta zwiastowała nadejście naszego króla, Lebannena.

— Byłeś z nim wtedy, panie.

— Byłem. On zdobył tam swe królestwo, ja pozostawiłem moje. Nie obdarowuj mnie więc żadnymi tytułami. Jestem Jastrząb albo Krogulec, jak wolisz. A jak mam zwać ciebie?

Gość wymamrotał swe imię użytkowe: Olcha.

Jedzenie, picie, cień i odpoczynek wyraźnie go odprężyły, lecz

nadal wyglądał na wyczerpanego. Przepełniał go pełen znużenia smutek, wyciskał piętno na jego twarzy.

— Na razie zostawmy rozmowy. — Wcześniej, gdy stary człowiek rozmawiał z przybyszem, w jego głosie dźwięczała twarda nuta. Teraz zniknęła. — Przepłynąłeś prawie tysiąc mil i przeszedłeś pieszo piętnaście, pod górę. Ja zaś muszę podlać fasolę i sałatę, bo żona i córka zostawiły ogród mej pieczy. Odpocznij więc. Porozmawiamy w chłodzie wieczoru albo poranka. Dopiero tu odkryłem, że w życiu rzadko niezbędny jest pośpiech.

Gdy wrócił w pół godziny później, jego gość leżał na wznak w chłodnej trawie pod brzoskwiniowym drzewem i spał.

Wieśniak, który niegdyś był Arcymagiem Ziemiomorza, zatrzymał się z wiadrem w jednej i motyką w drugiej ręce, i spojrzał na uśpionego przybysza.

— Olcha — szepnął cicho. — Jakie kłopoty ze sobą sprowadzasz, Olcho?

Nagle odniósł wrażenie, że gdyby zapragnął poznać prawdziwe imię gościa, zdołałby tego dokonać samymi myślami, wytężając umysł, jak wtedy gdy był magiem.

Nie usłyszał go jednak. Myśli niczego nie dały. Nie był już magiem.

Nie wiedział nic o przybyszu. Musiał zaczekać, aż sam mu powie.

— Nigdy nie proś się o kłopoty — rzekł do siebie i ruszył podlewać fasolę.

* * *

Gdy tylko niski kamienny mur biegnący wzdłuż szczytu urwiska nieopodal domu przesłonił światło słońca, Olcha obudził się w chłodnym cieniu. Usiadł na ziemi, dygocąc. Potem wstał, nieco sztywny i oszołomiony. We włosach utkwiły mu nasiona traw. Na widok gospodarza napełniającego wiadra przy studni i dźwigającego je do ogrodu zaproponował pomoc.

— Jeszcze trzy, cztery i koniec — oznajmił dawny Arcymag, lejąc wodę na korzenie młodej kapusty. W suchym ciepłym powietrzu rozeszła się przyjemna woń mokrej ziemi. Promienie popołudniowego słońca lśniły złotem i odbijały się w kroplach wody.

Usiedli na długiej ławie obok domu, oglądając zachód słońca. Krogulec przyniósł butelkę i dwie pękate szklanice z zielonkawego szkła.

— Wino syna mojej żony — oznajmił — z Dębowej Farmy w

Dolinie Środkowej. Dobry rocznik, sprzed siedmiu lat.

Surowe czerwone wino natychmiast Olchę rozgrzało. Niebo było bezchmurne, wiatr ucichł, skryte w sadzie ptaki już milkły.

Olcha zdumiał się, gdy od Mistrza Wzorów z Roke usłyszał, iż Arcymag Krogulec, człowiek z legendy, który sprowadził króla z krainy śmierci i odleciał na grzbiecie smoka, wciąż żyje.

— Żyje — rzekł Mistrz Wzorów — i mieszka na Goncie, swej rodzinnej wyspie. Mówię ci coś, o czym wie niewielu — dodał — gdyż uważam, że powinieneś to usłyszeć. I myślę, że zachowasz te wieści w sekrecie.

— Ale w takim razie on wciąż jest Arcymagiem! — wykrzyknął z radością Olcha. Albowiem wszystkich magów i czarodziejów trapił fakt, iż mędrcy z Roke, szkoły i ośrodka magii w Archipelagu, przez cały czas panowania króla Lebannena nie wybrali nowego Arcymaga, który zastąpiłby Krogulca.

— Nie — odparł Mistrz Wzorów. — On w ogóle nie jest magiem.

A potem opowiedział Olsze o tym, jak Krogulec utracił moc i czemu, Olcha zaś zaakceptował tę opowieść. Jednak tu, w obecności człowieka, który rozmawiał ze smokami i odnalazł pierścień Erreth-Akbego, przemierzył królestwo śmierci i władał Archipelagiem przed królem, jego umysł przywołał znów pieśni i legendy. I choć widział przed sobą starego człowieka, pogodnie zajmującego się ogrodem, pozbawionego aury mocy poza tą, którą daje doświadczenie długiego mądrego życia, nadal dostrzegał w nim wielkiego maga. Toteż niezmiernie trapił go fakt, iż Krogulec ma żonę.

Żonę, córkę, pasierba… Magowie nie miewają rodzin. Zwykły czarownik, taki jak Olcha, może się ożenić bądź nie, lecz ci, którzy władają prawdziwą mocą, zawsze pozostają samotni. Olcha z łatwością potrafił wyobrazić sobie swego towarzysza dosiadającego smoka, ale jako męża i ojca — nie. Tego nie umiał. Spróbował jednak. Zapytał:

— Twoja… żona… jest teraz u swego syna?

Krogulec wrócił myślami z daleka. Jego oczy spoglądały w dal, na zachód.

— Nie — odparł — jest w Havnorze, u króla. — Po chwili, otrząsnąwszy się z zamyślenia, dodał: — Popłynęła tam z naszą córką tuż po Długim Tańcu. Lebannen wezwał je, szukając rady, może w tej samej sprawie, która sprowadza cię tu do mnie. Zobaczymy. Lecz dziś wieczór jestem zmęczony i nie mam ochoty omawiać ważnych kwestii. Ty także wydajesz się znużony. Co powiesz zatem na talerz zupy, jeszcze jedną szklankę wina i sen? Porozmawiamy rano.

— Wszystko przyjmę z radością, panie — odparł Olcha — prócz snu. Jego bowiem się lękam.

Stary człowiek potrzebował trochę czasu, żeby zrozumieć.

— Boisz się spać?

— Boję się snów.

— Ach! — Bystre spojrzenie ciemnych oczu spod krzaczastych, posiwiałych brwi. — Wcześniej, w trawie, solidnie się zdrzemnąłeś.

— To był najsłodszy sen, jaki nawiedził mnie, odkąd opuściłem wyspę Roke. Jestem ci wdzięczny za ten dar, panie. Może powróci dziś w nocy. Zwykle jednak zmagam się ze swymi snami, krzyczę w głos, budzę się, uprzykrzając życie wszystkim wokół. Za twoim pozwoleniem, zanocuję na dworze.

Krogulec skinął głową.

— Zapowiada się ładna noc — rzekł.

Istotnie, noc była ładna, pogodna i chłodna. Z południa wiał słaby morski wietrzyk. Letnie gwiazdy rozjaśniały bielą całe niebo wokół ciemnego rozłożystego wierzchołka góry. Olcha położył na ziemi siennik i owczą skórę ofiarowane mu przez gospodarza, po czym legł w trawie, w której spał już wcześniej.

Krogulec leżał w małej zachodniej alkowie swego domu. Sypiał tam jako chłopiec, gdy dom należał do Ogiona, a on praktykował u niego magiczną sztukę. Przez ostatnich piętnaście lat, odkąd Tehanu została jego córką, ona tu sypiała. Po wyjeździe jej i Tenar, kiedy kładł się w łożu, w którym zwykle sypiali z Tenar w ciemnym kącie głównej izby, dotkliwie odczuwał samotność, zaczął więc nocować w alkowie. Lubił wąską pryczę przymocowaną do grubej drewnianej ściany domu tuż pod oknem. Dobrze mu się tu spało. Ale nie tej nocy.

Przed północą obudził go krzyk, dobiegające z zewnątrz głosy. Zerwał się z miejsca i pobiegł do drzwi. To tylko gość zmagał się z koszmarem, do wtóru sennych protestów dobiegających z kurnika. Olcha krzyknął zmienionym głosem, a potem obudził się, drżąc w panice. Błagał gospodarza o wybaczenie i zapowiedział, że posiedzi trochę pod gwiazdami. Krogulec wrócił do łóżka. Gość nie obudził go więcej. Zamiast tego nawiedził go własny zły sen.

Stał obok kamiennego muru na szczycie długiego wzgórza porośniętego suchą szarą trawą. Zbocze opadało i niknęło w mroku. Wiedział, że był tam już kiedyś, lecz nie pamiętał kiedy ani co to za miejsce. Po drugiej stronie muru, niżej, niedaleko, ktoś czekał. Krogulec nie dostrzegał twarzy, wiedział tylko, że to wysoki mężczyzna w płaszczu. Wiedział, że go zna. A potem ten człowiek przemówił, nazywając go prawdziwym imieniem.

— Wkrótce tu będziesz, Ged.

Krogulec usiadł na łóżku. Czuł przejmujący chłód. Patrzył w głąb domu, opatulając się jego rzeczywistością niczym kocem. Wyjrzał przez okno na gwiazdy i wówczas chłód ogarnął też jego serce. Nie były to ukochane, znajome gwiazdy lata — Wóz, Sokół, Tancerze, Serce Łabędzia — lecz inne gwiazdy, małe nieruchome gwiazdy z

suchej krainy, które nigdy nie wschodzą i nie zachodzą. Niegdyś znał ich imiona, w czasach gdy znał imiona różnych rzeczy.

— Niech się odwróci! — powiedział głośno, czyniąc gest odpędzający zły urok. Poznał go, gdy miał zaledwie dziesięć lat. Spojrzał ku otwartym drzwiom. W kącie za nimi dostrzegł, jak ciemność nabiera kształtu, podnosi się, gęstnieje.

Lecz gest, choć pozbawiony mocy, zdołał go obudzić. Cienie za drzwiami pozostały cieniami. Gwiazdy za oknem były gwiazdami Ziemiomorza, przygasającymi w pierwszym świetle przedświtu.

Siedział tak, okrywając ramiona owczą skórą, i patrzył, jak gwiazdy gasną i opadają ku zachodowi. Na niebie wykwitła łuna, niosła z sobą kolejne barwy słońca zwiastujące nadejście dnia. Czuł w sobie przejmujący smutek, ból i tęsknotę za czymś drogim i utraconym, utraconym na zawsze. Przywykł do tego; wiele ukochał i wiele utracił, lecz ów smutek był tak wielki, iż wydawał się należeć do kogoś innego. Jakby pochodził z samego serca świata, obecny nawet w zorzy poranka. Przyszedł we śnie i pozostał po przebudzeniu.

Ged zapalił niewielki ogień w ogromnym palenisku i poszedł do sadu i kurnika po śniadanie. Na ścieżce wiodącej na północ wzdłuż urwiska pojawił się Olcha. Powiedział, że o pierwszym brzasku wybrał się na spacer. Sprawiał wrażenie umęczonego i Krogulca ponownie uderzył smutek malujący się na jego twarzy, dokładnie pasujący do nastroju, jaki pozostał mu po koszmarnym śnie.

Wypili po kubku ciepłej gontyjskiej owsianki, zjedli gotowane jajka i brzoskwinie. Siedzieli przy palenisku, bo poranek w cieniu góry był zbyt chłodny, by wyjść ze śniadaniem na dwór. Krogulec zajął się inwentarzem. Nakarmił kury, rzucił ziarno gołębiom, wypuścił kozy na pastwisko. Gdy wrócił, usiedli razem na ławie przy wejściu. Słońce nie wynurzyło się jeszcze zza wierzchołka góry, lecz już się ociepliło.

— Teraz mi opowiedz, co cię tu sprowadza, Olcho. Ponieważ jednak odwiedziłeś Roke, powiedz najpierw, co słychać w Wielkim Domu.

— Nie wszedłem doń, panie.

— Aha — ton głosu neutralny, lecz ostre spojrzenie.

— Byłem jedynie w Wewnętrznym Gaju.

— Aha — znów neutralny ton, spojrzenie badawcze. — Czy Mistrz Wzorów dobrze się miewa?

— Powiedział do mnie: przekaż wyrazy miłości i szacunku i powtórz mu, że chciałbym, abyśmy znów razem spacerowali po Gaju, jak kiedyś.

Krogulec uśmiechnął się z lekkim smutkiem.

— Rozumiem. Myślę jednak, że przysyłając cię do mnie, kazał powiedzieć coś jeszcze.

— Postaram się streszczać.

— Człowieku, mamy przed sobą cały dzień, a ja lubię historie opowiedziane porządnie, od początku do końca.

I tak Olcha opowiedział mu od początku swą historię.

Był synem czarownicy, urodzonym w mieście Elini na Taonie, wyspie harfiarzy.

Taon leży na południowym krańcu morza Ea, niedaleko od miejsca, w którym wznosiła się wyspa Solea, nim pochłonęły ją fale. Tam właśnie biło pradawne serce Ziemiomorza. Na wszystkich tych wyspach istniały już państwa i miasta, żyli królowie i magowie, gdy Havnor był jeszcze krainą walczących plemion, a na Goncie władały niedźwiedzie. Ludzie urodzeni na Ea, Ebei, Enladzie czy Taonie, choćby nawet przyszli na świat w rodzinie kopacza rowów czy czarownicy, uważają się za potomków starszych magów, spadkobierców wojowników poległych w mrocznych czasach królowej Elfarran. Często tedy wyróżniają się wytwornymi manierami, choć czasem bywają bezzasadnie wyniośli. Cechuje ich też nieskrępowanie umysłu i słowa sprawiające, iż wznoszą się ponad zwykłe fakty i prozę życia, ponad iście kupiecką nieufność wobec innych. „Latawce bez sznurków” — tak bogacze z Havnoru nazywają podobnych ludzi. Nie mówią jednak tego w obecności króla Lebannena, z rodu książąt Enladu.

Na Taonie powstają najlepsze harfy Ziemiomorza, są tam też szkoły uczące muzyki. Wielu słynnych śpiewaków, znanych ze swych wersji Czynów i Pieśni, urodziło się bądź uczyło na tej wyspie. Jednakże Elini, wedle słów Olchy, to zwykłe miasteczko na wzgórzach. Tamtejsi ludzie nie zajmują się muzyką. Matka Olchy była biedną kobietą, choć — jak to ujął — nie głodowała. Miała znamię, czerwoną plamę biegnącą od prawej brwi poprzez ucho aż na bark. Wiele kobiet i mężczyzn z podobnymi znamionami zostawało czarownicami bądź czarownikami. Ludzie twierdzili, że są do tego „naznaczeni”. Jagoda także poznała zaklęcia i umiała stosować zwykłe czary. Brakowało jej daru, lecz umiała tak postępować z ludźmi, że niemal go nie potrzebowała. Zarabiała na życie, wyuczyła też syna i oszczędziła dość, by mógł wstąpić do terminu u czarownika, który nadał mu prawdziwe imię.

O swym ojcu Olcha nawet nie wspomniał. Nic o nim nie wiedział. Jagoda nie poruszała tego tematu. Choć rzadko cnotliwe, czarownice zwykle nie przestawały dłużej z mężczyznami, zadowalając się nocą czy dwiema. Jeszcze rzadziej wychodziły za mąż. Znacznie częściej zdarzało im się żyć z drugą wiedźmą. Nazywano to wiedźmim małżeństwem bądź babskim ślubem. Dziecko czarownicy miało zatem matkę albo dwie matki, ale nie ojca. Było to oczywiste i tak właśnie przyjął to Krogulec. Spytał jednak Olchę o to, jakie nauki pobierał.

Czarodziej Gap nauczył go kilku słów z Prawdziwej Mowy oraz

zaklęć odnajdywania i iluzji. Chociaż w tych kierunkach Olcha nie przejawiał najmniejszego talentu, czarodziej zainteresował się nim na tyle, by odkryć jego prawdziwy dar. Olcha potrafił naprawiać, łączyć, scalać zniszczone narzędzie, pęknięte ostrze noża, złamaną oś, zbity gliniany garnek; wszystko to umiał połączyć z powrotem, tak że wyglądało jak nowe. Mistrz polecił mu zatem zgromadzić najróżniejsze zaklęcia naprawy. Większości z nich Olcha nauczył się od czarownic z wyspy. Pracował wraz z nimi, a także samotnie, ucząc się scalać.

— To rodzaj uzdrawiania — zauważył Krogulec. — Nieprosty dar, niełatwa sztuka.

— Dla mnie to była radość. — Na twarzy Olchy pojawił się cień uśmiechu. — Praca nad zaklęciami, odkrywanie, jak wykorzystać w nich jedno z Prawdziwych Słów… Naprawa rozeschniętej beczki, której klepki odpadły od obręczy — oto prawdziwa rozkosz, kiedy widzę, jak znów powstaje, rośnie, nabiera kształtów i staje gotowa na przyjęcie wina. Kiedyś spotkałem harfiarza z Meoni, wspaniałego harfiarza, grał niczym burza wśród wzgórz, morska wichura, bezlitośnie szarpiąc i pociągając struny, opanowany pasją muzyki. Struny często pękały, zakłócając melodię. Wynajął mnie zatem, abym przebywał w pobliżu, gdy grał. Kiedy zrywał strunę, naprawiałem ją szybko, nim nuta ucichła. A on grał dalej.

Krogulec przytaknął z ciepłym uśmiechem zawodowca dyskutującego o sekretach swej profesji.

— Naprawiałeś też szkło? — spytał.

— Owszem, ale to długa, paskudna praca przez te odłamki i okruchy.

— Lecz duża dziura w pięcie skarpety bywa jeszcze trudniejsza — zauważył Krogulec i jeszcze chwilę rozmawiali o naprawach. Potem Olcha powrócił do swej historii.

Tak został czarodziejem, specjalistą od napraw, znanym w okolicy ze swych uzdolnień. Gdy miał około trzydziestki, wybrał się do stolicy wyspy, Meoni. Towarzyszył harfiarzowi, który grał tam na weselu. Pewnego dnia w gospodzie zjawiła się kobieta, młoda kobieta, która, choć nie odebrała nauk u czarownicy, miała dar taki jak on i chciała, by ją uczył. I rzeczywiście, okazało się, iż ma talent, większy nawet od niego. Choć nie znała ani słowa w Dawnej Mowie, potrafiła scalić strzaskany dzbanek i naprawić przetartą linę samymi ruchami dłoni i pieśnią bez słów, którą nuciła cicho. Leczyła też złamane kości zwierząt i ludzi. Olcha nigdy nie odważył się tego spróbować.

Zamiast więc ją uczyć, połączyli swe umiejętności i podjęli naukę wspólnie. Kobieta — miała na imię Lilia — pojechała z nim do Elini i zamieszkała z matką Olchy, Jagodą, która pokazała jej kilka pożytecznych sztuczek i metod imponowania klientom, jakże

przydatnych czarownicy, choć co do prawdziwych zaklęć, niewiele ich znała. Olcha i Lilia zaczęli pracować razem pośród wzgórz. Wkrótce zyskali sobie sporą sławę.

— I pokochałem ją — rzekł Olcha. Gdy opowiadał o Lilii, mówił bez wahania, stanowczo, dźwięcznie. — Włosy miała ciemne, lśniły jednak czerwonym złotem — dodał.

W żaden sposób nie potrafił ukryć przed nią swej miłości, a ona ją odwzajemniała. Mówiła, iż nie obchodzi jej, czy jest wiedźmą, czy nie. Urodzili się, aby być razem, w pracy i w życiu. Kocha go i chce go poślubić.

Pobrali się zatem i przez rok oraz połowę następnego żyli szczęśliwie.

— Wszystko było w porządku do czasu, gdy powinno urodzić się dziecko — powiedział Olcha. — Jednak spóźniało się, i to bardzo. Położne próbowały przyspieszyć poród ziołami i zaklęciami, ale zdawało się, że dziecko nie chce przyjść na świat. Nie zamierzało się z nią rozłączyć. Nie chciało się urodzić i nie urodziło się. Zabrało ją ze sobą.

Po chwili dodał:

— Przeżyliśmy ogromną radość…

— Widzę.

— I mój smutek także był ogromny.

Stary człowiek przytaknął.

— Mogłem go znieść — powiedział Olcha. — Wiesz, jak to jest. Nie dostrzegałem sensu w życiu, ale jakoś się trzymałem.

— Tak.

— Lecz zimą, dwa miesiące po jej śmierci… Wówczas nawiedził mnie sen. Była w tym śnie.

— Opowiedz.

— Stałem na zboczu wzgórza. Jego szczyt przecinał mur, niski, przypominający graniczny mur między dwoma pastwiskami. Stała po drugiej stronie, niżej. Było tam ciemniej.

Krogulec przytaknął. Jego twarz stężała jak kamień.

— Wołała mnie. Słyszałem jej głos, powtarzała moje imię. Poszedłem do niej. Wiedziałem, że nie żyje, wiedziałem, że to sen, ale cieszyłem się, że tam idę. Nie widziałem jej wyraźnie. Podszedłem, by ją zobaczyć, być z nią, a ona wyciągnęła do mnie ręce ponad murem. Sięgał mi zaledwie do serca. Pomyślałem, że może ma ze sobą dziecko, ale nie. Wyciągała do mnie ręce, ja także to uczyniłem i ujęliśmy swoje dłonie.

— Dotknęliście się?

— Chciałem do niej pójść, ale nie mogłem pokonać muru. Nogi mnie nie słuchały. Próbowałem ją do mnie przyciągnąć, a ona chciała przyjść, tak bardzo chciała, ale mur nas rozdzielał. Nie mogliśmy go

pokonać. Pocałowała mnie w usta, wymówiła moje imię i poprosiła: „Uwolnij mnie”.

Pomyślałem, że jeśli nazwę ją prawdziwym imieniem, może zdołam ją uwolnić, przenieść przez mur. I powiedziałem: „Chodź ze mną, Mevre”. Ale ona odparła: „To nie moje imię, Haro, już nie”. Wypuściła me dłonie, choć próbowałem ją powstrzymać. „Uwolnij mnie, Haro!” — wykrzyknęła, cały czas jednak odchodziła w dół, w mrok. W dole za murem panowała ciemność. Wykrzykiwałem jej imię, imię użytkowe i wszystkie czułe zdrobnienia, jakimi ją nazywałem. Ale i tak odeszła. Wtedy się obudziłem.

Krogulec długą chwilę milczał, przyglądając się bystro swojemu gościowi.

— Zdradziłeś mi swoje imię, Haro — rzekł w końcu.

Olcha spojrzał na niego ze zdumieniem. Kilka razy odetchnął głęboko. W jego oczach błyszczała rozpaczliwa odwaga.

— Czy jest ktoś bardziej godny mego zaufania? Krogulec podziękował mu z powagą.

— Postaram się na nie zasłużyć. Powiedz, czy wiesz, gdzie się wtedy znalazłeś, co to za mur?

— Wówczas nie wiedziałem. Teraz wiem, że przebyłeś tę krainę.

— Tak, byłem na tamtym wzgórzu i pokonałem mur dzięki mocy i sztuce, którą dysponowałem. Odwiedziłem miasta umarłych, przemawiałem do ludzi, których znałem za życia, a oni czasem mi odpowiadali. Lecz jesteś pierwszym człowiekiem, o jakim słyszałem, spośród wszystkich mistrzów wiedzy z Roke, Palnu czy Enladów, który zdołał dotknąć, pocałować swą ukochaną po drugiej stronie muru.

Olcha słuchał skulony. Spuścił głowę, mocno zacisnął dłonie.

— Zechcesz mi powiedzieć, co wówczas czułeś, Haro? Czy miała ciepłe ręce, czy przypominała zimny powiew i cień, czy też żyjącą kobietę? Wybacz mi ciekawość.

— Chciałbym móc ci odpowiedzieć, panie. Na Roke Mistrz Przywołań pytał mnie o to samo. Ale nie potrafię. Moja tęsknota była tak wielka, tak bardzo pragnąłem, by Lilia żyła, że może to sobie wmówiłem. Sam nie wiem. We śnie nie wszystko bywa jasne.

— We śnie nie. Nigdy jednak nie słyszałem, by zwykły człowiek zbliżył się do owego muru we śnie. To miejsce, które może odwiedzić mag, jeśli naprawdę musi, jeśli poznał drogę i ma dość wielką moc. Lecz bez wiedzy i mocy tylko umierający mogą…

— Nagle urwał, przypominając sobie swój ostatni sen.

— Ten sen budził niepokój, ale jednocześnie mnie uradował — podjął Olcha. — Sama myśl o niej rozdzierała niczym lemiesz glebę mego serca. Ja jednak napawałem się bólem, pielęgnowałem go. Miałem nadzieję, że sen powróci.

— I powrócił?

— Tak. Znów mnie nawiedził.

Olcha uniósł głowę i spojrzał niewidzącym wzrokiem poprzez błękitny przestwór powietrza i oceanu na zachodzie, ku niskim zamglonym wzgórzom Kameberu skąpanym w blasku słońca. Za nimi złocista tarcza wynurzała się sponad północnego zbocza góry.

— Dziewięć dni po pierwszym śnie znalazłem się w tym samym miejscu, lecz wyżej. Widziałem biegnący w dole mur. Pobiegłem ku niemu, wykrzykując jej imię, pewien, że ją zobaczę. Ktoś tam był. Kiedy jednak się zbliżyłem, zobaczyłem, że to nie Lilia, lecz mężczyzna. Pochylał się nad murem, jakby go naprawiał. Spytałem, gdzie ona jest. Nie odpowiedział, nie uniósł głowy. I nagle zobaczyłem, co robi. Nie starał się naprawić muru, lecz go rozebrać. Podważał palcami wielki kamień, który nawet nie drgnął. „Pomóż mi, Haro" — rzekł i zrozumiałem, że to mój nauczyciel, Gap, który nadał mi imię. Nie żył już od pięciu lat. Cały czas naciskał i podważał palcami kamień, powtarzając moje imię. „Pomóż mi, uwolnij mnie". Potem wyprostował się i sięgnął ku mnie ponad murem, tak jak ona. Chwycił mnie za rękę, lecz jego dłoń paliła, nie wiem, ogniem czy lodem. Ten dotyk parzył. Odskoczyłem, a ból i strach sprawiły, że ocknąłem się nagle.

Powoli uniósł rękę. Na grzbiecie i wnętrzu dłoni widniała ciemna plama przypominająca stary siniec.

— Nauczyłem się, że nie mogę pozwalać im się dotykać — dodał cicho.

Ged spojrzał na usta Olchy. One także wydawały się zbyt ciemne.

— Haro, grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo — powiedział, zniżając głos.

— To nie koniec.

Zmagając się z ciszą, Olcha podjął swą opowieść.

— Następnej nocy, gdy zasnął, znów znalazł się na mrocznym wzgórzu. Ujrzał mur biegnący w dół zbocza. Podszedł ku niemu z nadzieją, że zobaczy żonę.

— Nie dbałem o to, że nie może go pokonać i że ja tego nie potrafię. Chciałem przynajmniej ją zobaczyć, porozmawiać.

Jeśli jednak tam była, nie zauważył jej wśród innych. Gdy się zbliżył, ujrzał zebrany po drugiej stronie tłum cienistych postaci. Niektóre były wyraźne, inne mroczne. Część znał, innych nie. Lecz wszystkie wyciągały ku niemu ręce i wykrzykiwały jego imię: „Haro, pozwól nam pójść z tobą! Haro, uwolnij nas!".

— To straszne słyszeć swoje prawdziwe imię w ustach nieznajomych — powiedział Olcha. — Straszne też, kiedy wzywają cię umarli.

Próbował zawrócić i wdrapać się na wzgórze, byle dalej od muru. Lecz nogi ogarnięte straszliwą senną słabością nie chciały go unieść.

Upadł na kolana, by nie zbliżyć się bardziej do muru, i zaczął wzywać pomocy, choć nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. A potem obudził się przerażony.

Od tego czasu co noc, gdy tylko zasnął, powracał na wzgórze. Stał w suchej szarej trawie nad murem, za którym tłoczyli się umarli wykrzykujący jego imię.

— Budzę się — opowiadał — i jestem w moim pokoju. Nie stoję tam na wzgórzu, ale wiem, że oni tam są. Muszę sypiać. Próbuję często się budzić i spać za dnia, gdy tylko mogę. Ale kiedyś w końcu muszę zasnąć, a wtedy znów tam jestem. Oni także. I nie mogę wejść na wzgórze. Zawsze idę w dół, w stronę muru. Czasami udaje mi się odwrócić do nich plecami, ale wtedy mam wrażenie, że słyszę wśród nich krzyczącą do mnie Lilię. Obracam się, by jej poszukać, a oni sięgają ku mnie.

Spuścił głowę, spoglądając na zaciśnięte ręce.

— Co mam zrobić? — spytał.

Krogulec milczał.

Po długiej chwili Olcha odezwał się znowu.

— Harfiarz, o którym ci wspominałem, był moim przyjacielem. Po jakimś czasie dostrzegł, że coś się ze mną dzieje. A kiedy powiedziałem mu, że nie mogę spać, bo lękam się snów o umarłych, pomógł mi opłacić statek płynący na Ea, bym pomówił z tamtejszym szarym czarodziejem. — Miał na myśli maga szkolonego na Roke. — Gdy tylko tamten usłyszał o moich snach, oznajmił, że muszę popłynąć na Roke.

— Jak się nazywał?

— Beryl. Służy księciu Ea, który jest też władcą wyspy Taon.

Stary człowiek przytaknął bez słowa.

— Powiedział, że nie może mi pomóc. Ale dla kapitana jego słowo miało cenę złota. Znów zatem wyruszyłem w drogę. To była długa podróż. Opłynęliśmy Havnor i przecięliśmy Morze Najgłębsze. Pomyślałem, że na statku, coraz dalej od Taonu, zdołam może zostawić sen za sobą. Czarodziej z Ea nazywał miejsce z mojego snu suchą krainą. Miałem nadzieję, iż kiedy znajdę się na morzu, oddalę się od niej. Lecz co noc powracałem na wzgórze. Czasami dwa, nawet trzy razy jednej nocy. Gdy tylko zamykam oczy, jestem na wzgórzu. Widzę mur w dole, słyszę wzywające mnie głosy. Jestem niczym człowiek oszalały z bólu, który może znaleźć ukojenie jedynie we śnie, lecz właśnie sen zadaje mi męki. Czuję ból i cierpienie nieszczęsnych umarłych próbujących przedostać się przez mur. Czuję też strach.

Wkrótce marynarze zaczęli go unikać. Nocą, ponieważ krzyczał i budził ich nieustannie, i za dnia, bo sądzili, iż ciąży na nim przekleństwo albo opętał go gebbeth.

— Na Roke doświadczyłeś ulgi?

— W Gaju. — Gdy Olcha wymówił te słowa, jego twarz uległa całkowitej przemianie. Przez moment twarz Krogulca wyglądała podobnie. — Mistrz Wzorów zabrał mnie tam, pod drzewa. I tam mogłem spać; nawet nocą mogłem spać. Za dnia, jeśli czuję na sobie promienie słońca — tak jak wczoraj po południu — ciepły dotyk słońca, czerwone promienie przenikające powieki, nie boję się snów. A w Gaju w ogóle się nie lękałem. Znów mogłem pokochać noc.

— Opowiedz mi, jak wyglądało twoje przybycie na Roke.

Choć znużony, zrozpaczony i przepełniony nabożnym szacunkiem, Olcha wciąż miał dar mowy właściwy ludziom z jego wyspy. I mimo iż opuścił część historii, czy to z obawy, że okaże się za długa, czy też nie chcąc zanudzać słuchacza tym, co każdy mag już wiedział, Krogulec potrafił sobie wyobrazić, co się działo, wspominając dzień, gdy jako piętnastolatek po raz pierwszy przybył na wyspę mędrców.

Kiedy Olcha opuścił statek w porcie miasta Thwil, jeden z żeglarzy nakreślił na trapie runę Zamkniętych Drzwi, by zamknąć mu drogę powrotu na pokład. Olcha zauważył to, uznał jednak, iż marynarz miał po temu powody. Sam także czuł się jak przeklęty. Miał wrażenie, że niesie w sobie ciemność. To sprawiło, że był jeszcze bardziej onieśmielony niż zwykle w obcych miastach, a Thwil to naprawdę osobliwe miasto.

— Ulice zwodzą cię na manowce — zauważył Krogulec.

— Rzeczywiście, mój panie. Przepraszam, język posłuszny jest sercu, nie myślom…

— Nie szkodzi. Przywykłem, że kiedyś tak mnie nazywano. Jeśli ma ci to ułatwić życie, mogę stać się panem pasterzem. Mów dalej.

Zwodzony przez mieszkańców, czy też źle pojmujący ich wskazówki, Olcha długo krążył po labiryncie miasta Thwil pośród pagórków. Cały czas widział w oddali szkołę, nie mógł się jednak do niej zbliżyć. W końcu ogarnięty rozpaczą stanął przed zwykłymi drzwiami w ślepej ścianie na nieciekawym placu. Po chwili zrozumiał, że właśnie do tej ściany usiłował dotrzeć. Zastukał i w drzwiach stanął człowiek o spokojnej twarzy i oczach.

Olcha już miał powiedzieć, że przysyła go czarownik Beryl z Ea, z wiadomością dla Mistrza Przywołań. Nie zdążył jednak się odezwać. Odźwierny popatrzył na niego i uśmiechnął się łagodnie.

— Nie możesz wprowadzić ich do tego domu, przyjacielu.

Olcha nie pytał, kogo nie może wprowadzić. Wiedział. Przez ostatnie noce niemal nie sypiał. Od czasu do czasu udawało mu się zdrzemnąć, zawsze jednak budził się ogarnięty zgrozą. Czasami drzemał za dnia i otwierając oczy, widział suchą szarą trawę porastającą rozsłoneczniony pokład statku, kamienny mur pośród morskich fal. Nawet na jawie sen stale mu towarzyszył, otaczał go,

spowijał niczym woal. Mimo szumu wiatru i morza Olcha wciąż słyszał głosy wykrzykujące jego imię. Nie wiedział, czy śpi, czy już się ocknął. Był bliski obłędu, nękany bólem, strachem i zmęczeniem.

— Nie pozwól im wejść — prosił — i wpuść mnie do środka. Miej litość, wpuść mnie.

— Zaczekaj tutaj — polecił Odźwierny łagodnie. — Tam masz ławkę — wskazał ręką, po czym zamknął drzwi.

Olcha usiadł na kamiennej ławie. Pamiętał tę chwilę, pamiętał też kilku piętnastolatków przyglądających mu się ciekawie, gdy przechodzili obok i znikali za drzwiami. Z późniejszych wydarzeń jednak pozostały w jego pamięci tylko strzępki.

Odźwierny powrócił, prowadząc młodego mężczyznę z laską i w płaszczu, czarodzieja z Roke. Potem Olcha znalazł się w komnacie domu gościnnego. Mistrz Przywołań złożył mu wizytę i próbował nawiązać rozmowę, lecz Olcha był nieprzytomny. Rozdarty pomiędzy snem a jawą, pomiędzy słonecznym pokojem a pogrążonym w półmroku szarym wzgórzem, pomiędzy przemawiającym doń głosem Mistrza Przywołań a głosami wzywającymi go zza muru, nie potrafił skupić myśli, jakby już nie przebywał w świecie żywych. W mrocznym świecie, w którym rozbrzmiewały głosy, łatwo byłoby przejść kilka ostatnich kroków i pozwolić, by ręce umarłych go pochwyciły. Jeśli stanie się jednym z nich, będzie miał święty spokój.

A potem słoneczny pokój zniknął i Olcha znów znalazł się na szarym wzgórzu. Obok niego jednak stał Mistrz Przywołań z Roke, wysoki, krzepki mężczyzna o ciemnej skórze, trzymający w dłoni wielką laskę z drzewa cisowego, która lśniła w półmroku.

Głosy umilkły. Ludzie, tłum postaci zgromadzonych przy murze, zniknęli. Olcha słyszał odległy szelest i ciche szlochanie w ciemności.

Mistrz Przywołań podszedł do muru i położył na nim ręce.

Tu i ówdzie kamienie zostały obluzowane. Kilka wypadło i leżało na suchej trawie. Olcha poczuł, że powinien je podnieść, ułożyć na miejscu, naprawić mur. Niczego jednak nie zrobił.

Mistrz Przywołań odwrócił się do niego.

— Kto cię tu sprowadził? — spytał.

— Moja żona, Mevre.

— Przywołaj ją tutaj.

Olcha milczał. W końcu otworzył usta. Gdy jednak się odezwał, nie wykrzyknął prawdziwego imienia żony, lecz użytkowe, którym nazywał ją za życia. Słowo to w jego uszach nie przypominało białego kwiatu, lecz kamyk upadający w pył.

— Lilio…!

Cisza. Na czarnym niebie świeciły maleńkie, odległe gwiazdy. Olcha nigdy wcześniej nie spoglądał w niebo tej krainy, nie rozpoznał żadnej z gwiazd.

— Mevre! — krzyknął Mistrz Przywołań. A potem głębokim głosem dodał kilka słów w Dawnej Mowie.

Na zboczu wiodącym w bezkształtną ciemność nic się nie poruszyło, lecz Olcha poczuł, że opuszczają go siły, ledwie trzymał się na nogach.

W końcu dostrzegł ruch, coś zajaśniało, zbliżało się ku nim.

Olcha cały drżał z lęku i tęsknoty.

— O, ukochana! — szepnął.

— Kiedy jednak postać podeszła bliżej, przekonał się, że jest za mała jak na Lilię. Ujrzał przed sobą dwunastoletnie dziecko; nie widział, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Dziecko nie zwracało uwagi na niego ani na Mistrza Przywołań. Nie spojrzało nawet ponad murem, nie spoglądało przez mur. Usiadło na ziemi tuż pod nim. Gdy Olcha podszedł bliżej i spuścił wzrok, przekonał się, że dziecko próbuje podważać kamienie, obluzować najpierw jeden, potem następny.

Mistrz Przywołań szeptał coś w Dawnej Mowie. Dziecko raz jeden zerknęło na niego obojętnie i dalej szarpało kamienie szczupłymi palcami, które zdawały się pozbawione siły.

Było to tak straszne, iż Olsze zakręciło się w głowie. Próbował się odwrócić i nie pamiętał nic więcej, do chwili gdy ocknął się w słonecznym pokoju. Leżał w łóżku słaby, chory i zziębnięty.

Opiekowali się nim ludzie — wyniosła uśmiechnięta kobieta prowadząca dom gościnny i przysadzisty stary mężczyzna o brązowej skórze, który zjawił się wraz z Odźwiernym. Z początku Olcha wziął go za lekarza czarodzieja. Dopiero gdy ujrzał go z laską z drzewa oliwnego, pojął, iż to Mistrz Ziół.

Uzdrowiciel ze szkoły na Roke samą swą obecnością niósł ukojenie, zdołał też podarować Olsze nieco snu. Zaparzył herbatę, kazał mu ją wypić. Potem podpalił garść ziół, które płonęły wolno, wydzielając z siebie zapach przywodzący na myśl czarną ziemię pod sosnami. Usiadł przy łóżku chorego i cicho coś zanucił.

— Nie mogę spać! — zaprotestował Olcha, czując, jak sen ogarnia go niczym wielka mroczna fala. Uzdrowiciel położył ciepłą dłoń na jego ręce. Wówczas Olchę ogarnął spokój; bez lęku osunął się w sen. Póki dłoń uzdrowiciela spoczywała na jego dłoni, nie obawiał się mrocznego wzgórza i kamiennego muru.

Obudził się, zjadł coś i wkrótce w komnacie znów pojawił się Mistrz Ziół, przynosząc napar pachnący ziemią, dym i monotonną pieśń oraz dotyk ręki. I Olcha znowu zasnął.

Uzdrowiciel miał wiele obowiązków w szkole, toteż mógł odwiedzać go zaledwie na kilka godzin. Po trzech nocach Olcha wypoczął do tego stopnia, że mógł normalnie jeść, a nawet przejść się na krótko po mieście. Zaczął też składnie mówić i myśleć. Czwartego

poranka w jego komnacie zjawiło się trzech mistrzów: Ziół, Przywołań i Odźwierny.

Olcha skłonił się przed Mistrzem Przywołań. Czuł przy nim zgrozę graniczącą z nieufnością. Mistrz Ziół także był wielkim magiem, ale biło od niego dobro, a swą sztuką nie tak bardzo różnił się od Olchy, toteż łatwo mogli się porozumieć. Natomiast Mistrz Przywołań nie zajmował się sprawami ciała, lecz duchami, umysłami i wolą ludzi, zjawami, znaczeniami. Jego sztuka była tajemnicza, niebezpieczna, pełna zagrożeń. Niedawno stał obok Olchy, choć nie ciałem, na granicy przy murze. Wraz z nim powróciły ciemność i strach.

Z początku trzej magowie milczeli. Jeśli cokolwiek ich łączyło, to upodobanie do ciszy.

W końcu Olcha odezwał się pierwszy, próbując wyrazić to, co kryło się w głębi jego duszy.

— Jeżeli uczyniłem coś złego, co sprowadziło mnie w tamto miejsce, zwabiło do mnie moją żonę bądź inne dusze, jeśli mogę naprawić bądź odczynić mój występek, zrobię to. Nie wiem jednak, co uczyniłem.

— Albo też kim jesteś — dodał Mistrz Przywołań.

Olcha umilkł.

— Niewielu z nas wie, kim jesteśmy — wtrącił Odźwierny. — Dostrzegamy tylko fragment całości.

— Opowiedz nam, jak pierwszy raz znalazłeś się pod kamiennym murem — poprosił Mistrz Przywołań.

I Olcha opowiedział.

Magowie słuchali w milczeniu. Gdy skończył, długą chwilę trwała cisza. W końcu przemówił Mistrz Przywołań. Był tak wysoki, rosły w barach i ciemny, iż Olsze kojarzył się z niedźwiedziem.

— Czy zastanawiałeś się, co oznacza przekroczenie owego muru?

— Wiem, że nie mógłbym stamtąd wrócić.

— Tylko magowie mogą przebyć go za życia, i jedynie w najwyższej potrzebie. Mistrz Ziół może udać się śladem chorego aż do muru. Jeśli jednak chory go przekroczy, mistrz nie podąży jego śladem.

Moja sztuka przywołania pozwala nam wzywać martwych z powrotem za mur, gdy zachodzi taka potrzeba. Na krótko, jedną chwilę. Ja sam wątpię, czy istnieje powód usprawiedliwiający tak wielkie naruszenie prawa i równowagi świata. Nigdy nie wypowiedziałem tego zaklęcia, nie przekroczyłem też muru. Uczynił to Arcymag, a wraz z nim król, gdy wyruszyli, by wyleczyć ranę, jaką zadał światu czarnoksiężnik Cob.

— A kiedy Arcymag nie wrócił, Thorion, nasz ówczesny Mistrz Przywołań, wyruszył do suchej krainy, by go odszukać — wtrącił Mistrz Ziół. — Powrócił stamtąd odmieniony.

— Nie ma potrzeby o tym mówić — rzucił mag wielki jak niedźwiedź.

— Może jednak jest — nie zgodził się Mistrz Ziół. — Może Olcha powinien o tym usłyszeć. Myślę, że Thorion zanadto ufał własnej sile, za długo tam pozostał. Sądził, iż może przywołać się z powrotem do życia, lecz powróciła tylko jego moc, umiejętności, ambicje — wola życia, która jednak sama życia nie stanowi. Ale myśmy mu ufali, bo go kochaliśmy, i tak niszczył nas, póki Irian nie zniszczyła jego.

Daleko od Roke, na wyspie Gont słuchacz Olchy przerwał mu nagle.

— Jak brzmiało to imię?

— Irian, tak powiedział.

— Znałeś je wcześniej?

— Nie, mój panie.

— Ja też nie. — Po chwili ciszy Krogulec dodał miękko, jakby wbrew własnej woli: — Widziałem tam Thoriona. W suchej krainie. Podjął ryzyko wyprawy, bo chciał mnie odnaleźć. Na jego widok poczułem smutek. Powiedziałem, że może spróbować powrócić na drugą stronę muru. — Jego twarz powlókł posępny cień. — Złe to były słowa. Każde słowo wypowiedziane między żywymi a umarłymi niesie ze sobą zło. Lecz ja także go kochałem.

Siedzieli w milczeniu. Krogulec podniósł się nagle, przeciągnął. Obaj postanowili trochę rozprostować kości. Olcha nabrał wody ze studni, Krogulec zaczął strugać nowe stylisko do ogrodowej łopaty.

— Mów dalej, Olcho — poprosił. I Olcha podjął swą opowieść.

Pozostali dwaj mistrzowie w milczeniu słuchali opowieści Mistrza Ziół o Thorionie. Olcha zdobył się na odwagę i spytał o coś, co niezmiernie go dręczyło: jak umarli docierają do muru? Jak trafiają tam magowie?

— To podróż duchowa — odpowiedział natychmiast Mistrz Przywołań.

Stary uzdrowiciel przemówił z większym wahaniem.

— Ciało nie przekracza muru, pozostaje przecież tutaj. A jeśli mag udaje się tam w wizji, jego uśpione ciało wciąż czeka, żyje. Owego podróżnego, który wyrusza w drogę, oddalając się od ciała, nazywamy duszą, duchem.

— Ale moja żona wzięła mnie za rękę — zaprotestował Olcha. Nie mógł się zdobyć na to, by powtórzyć, iż ucałowała go w usta. — Czułem jej dotknięcie.

— Albo tak ci się wydawało — wtrącił Mistrz Przywołań.

— Jeśli dotknęli się cieleśnie, jeśli powstała więź — rzekł Mistrz Ziół, zwracając się do Mistrza Przywołań — może to ona pozwala innym umarłym przychodzić do niego, wzywać go, nawet dotykać.

— Dlatego właśnie musi się im opierać. — Mistrz Przywołań

zerknął na Olchę. Oczy miał małe, ogniste.

Olcha wyczuł w jego słowach nutę oskarżenia. Niesprawiedliwego.

— Próbuję się im opierać, panie. Próbowałem. Ale jest ich tak wielu, a ona z nimi. I wszyscy cierpią, wzywają mnie.

— Oni nie mogą cierpieć. Śmierć oznacza koniec wszelkiego cierpienia.

Mistrz Ziół miał inne zdanie:

— Może cień bólu pozostaje bólem. W owej krainie są też góry i noszą nazwę Ból.

Do tej pory Odźwierny prawie się nie odzywał. Teraz przemówił cichym, spokojnym głosem.

— Olcha naprawia, nie niszczy. Wątpię, by zdołał zerwać tę więź.

— Jeśli ją stworzył, może też ją zerwać — zauważył Mistrz Przywołań.

— A stworzył?

Olchę tak przeraziły ich słowa, że zaprotestował gniewnie:

— Nie mam takiej mocy, panie!

— Zatem muszę zejść pośród nich — oznajmił Mistrz Przywołań.

— Nie, mój przyjacielu — powiedział Odźwierny, a stary Mistrz Ziół dodał:

— Przede wszystkim nie ty.

— Ale to moja sztuka.

— I nasza.

— Kto zatem?

— Wygląda na to — rzekł Odźwierny — iż Olcha jest naszym przewodnikiem. Szuka u nas pomocy i może zdoła też pomóc nam. Towarzyszmy mu wszyscy w jego wizji, do muru, lecz nie na drugą stronę.

I tak przerażony Olcha późno owej nocy, gdy pozwolił sobie w końcu zasnąć, znów znalazł się na szarym wzgórzu. Tym razem jednak towarzyszyli mu Mistrz Ziół — ciepła obecność w chłodnej ciemności — Odźwierny, mglisty i srebrzysty w blasku gwiazd, oraz potężny Mistrz Przywołań, niedźwiedź, ciemna siła.

Teraz stali nie w miejscu, gdzie zbocze opadało w mrok, lecz w pobliżu, spoglądając ku szczytowi. Mur przebiegał w poprzek wierzchołka wzgórza. Był niski, sięgał niewiele ponad kolana. Niebo, na którym jaśniała garść gwiazd, było idealnie czarne.

Nic się nie poruszało.

Trudno byłoby pójść w górę, aż do muru, pomyślał Olcha. Zawsze dotąd mur znajdował się poniżej.

Jeśli jednak pójdę, może Lilia tam będzie, tak jak wtedy, za pierwszym razem. Może zdołam chwycić ją za rękę i magowie zabiorą ją wraz ze mną. Albo może uda mi się przekroczyć mur w najniższym

miejscu i pójść do niej.

Powoli ruszył w górę. Wędrówka okazała się łatwa. Już niemal dotarł na miejsce.

— Haro! — głęboki głos Mistrza Przywołań pociągnął go z powrotem niczym pętla na szyi, szarpnięta gwałtownie smycz. Olcha potknął się, postąpił chwiejnie jeszcze jeden krok i tuż przed murem opadł na kolana, wyciągając ręce ku kamieniom.

— Ratujcie mnie! — krzyczał, ale do kogo? Do magów czy do cieni za murem?

A potem na jego ramionach spoczęły ręce, żywe ręce, ciepłe i silne, i znalazł się w komnacie. Dłonie uzdrowiciela spoczywały na jego ramionach. Wokół nich jasno płonęło magiczne światło. Oprócz niego w komnacie było czterech mężczyzn, nie trzech.

Stary Mistrz Ziół siedział na łóżku i uspokajał Olchę, który trząsł się, dygotał, szlochał.

— Nie mogę tego zrobić — powtarzał i sam nie wiedział, czy zwraca się do magów, czy do umarłych.

Gdy strach i rozpacz zaczęły ustępować, poczuł ogromne znużenie. Niemal bez zainteresowania spojrzał na przybysza. Jego oczy miały barwę lodu, włosy i skóra były białe. Mieszkaniec dalekiej północy. Z Enwas bądź Bereswek, pomyślał Olcha.

Człowiek ów zwrócił się do magów.

— Co robicie, przyjaciele?

— Ryzykujemy, Azverze — odparł stary Mistrz Ziół.

— Kłopoty na granicy, Mistrzu Wzorów — dodał Mistrz Przywołań.

Olcha spostrzegł, jakim szacunkiem darzą owego Azvera, i z jak wielką ulgą go powitali. Opowiedzieli mu pokrótce, w czym kryje się problem.

— Jeśli on zechce pójść ze mną, pozwolicie mu? — spytał Mistrz Wzorów, gdy skończyli. I odwróciwszy się do Olchy, dodał: — W Wewnętrznym Gaju nie musisz się lękać swoich snów. My też nie będziemy musieli się ich obawiać.

Wszyscy przytaknęli. Mistrz Wzorów skinął głową i zniknął. Tak naprawdę go tam nie było.

Nie było go. Widzieli tylko iluzję. Po raz pierwszy Olcha miał okazję oglądać wielką moc owych mistrzów w działaniu i gdyby nie to, że już dawno przekroczył granice strachu i zdumienia, poczułby niepokój.

Wyruszył w ślad za Odźwiernym spokojnymi ulicami w noc, zostawiając za sobą mury szkoły, pola pod wysokim okrągłym wzgórzem. Potem wędrowali brzegiem strumienia śpiewającego cicho w ciemności wodne pieśni. Przed sobą widzieli wysoki las, gromady drzew ukoronowanych szarym blaskiem gwiazd.

Mistrz Wzorów wyszedł im na spotkanie. Wyglądał dokładnie tak jak w komnacie Olchy. Przez chwilę rozmawiali cicho z Odźwiernym. A potem Olcha podążył za jasnowłosym magiem do Gaju.

— Drzewa są ciemne — rzekł do Krogulca — ale pod nimi nie kryje się ciemność. Jest tam światło, jasność.

Krogulec przytaknął bez słowa, uśmiechając się lekko.

— Gdy tylko się tam znalazłem, zrozumiałem, że będę mógł spać. Miałem wrażenie, jakbym cały czas spał, był pogrążony w koszmarnym śnie i wreszcie się ocknął, by móc zasnąć naprawdę. Mistrz Wzorów zabrał mnie do zakątka ukrytego wśród korzeni ogromnego drzewa, wysianego suchymi liśćmi. Powiedział, że mogę się tam położyć. Zrobiłem to i zasnąłem. Nie potrafię opisać słodyczy tego snu.

* * *

Południowe słońce grzało coraz mocniej. Weszli do domu i gospodarz poczęstował gościa chlebem, serem oraz kawałkiem suszonego mięsa. Dom składał się z tylko jednej długiej izby oraz małej zachodniej wnęki, był jednak duży i przewiewny. Mocny, wzniesiony z szerokich desek i belek. Lśniąca drewniana podłoga, głębokie kamienne palenisko.

— To szlachetny dom — zauważył Olcha.

— I stary. Nazywają go domem Starego Maga. Nie chodzi tu o mnie ani o mojego mistrza Aihala, lecz o jego mistrza, Heletha, który wraz z Aihalem uciszył wielkie trzęsienie ziemi. To dobry dom.

Olcha zdrzemnął się chwilę pod drzewami; promienie słońca padały na niego spomiędzy szumiących liści. Gospodarz także odpoczywał, ale niezbyt długo. Gdy Olcha się ocknął, pod drzewem stał spory koszyk pełen małych złocistych śliwek, a Krogulec krzątał się na pastwisku, naprawiając ogrodzenie. Olcha poszedł mu pomóc, lecz praca była już skończona. Kozy jednak zniknęły bez śladu.

— Żadna nie daje mleka — westchnął Krogulec, gdy wrócili do domu. — Nie mają nic do roboty, więc wynajdują coraz to nowe metody pokonania ogrodzenia. Hoduję je z czystej rozpaczy. Pierwsze zaklęcie, jakiego się nauczyłem, pozwalało przywołać zbłąkane kozy. Nauczyła mnie go ciotka. Teraz równie dobrze mógłbym zaśpiewać im miłosną pieśń. Chodźmy sprawdzić, czy nie weszły w szkodę u wdowca. Nie znasz czarów wzywających kozy, prawda?

Istotnie, dwie brązowe kozy buszowały wśród grządek kapusty na obrzeżu wioski. Olcha powtórzył zaklęcie, które usłyszał od Krogulca.

Noth hierth malk man,
hiolk han merth han!

Spojrzały na niego z czujną pogardą i oddaliły się nieco. Krzyki i wymachiwanie kijem przegnały je z kapusty na ścieżkę, a wtedy Krogulec wyjął z kieszeni garść śliwek. Wabiąc niesforne kozy smakołykami i miłymi słówkami, powoli prowadził je z powrotem na pastwisko.

— To dziwne stworzenia — rzekł, zamykając furtkę. — Z kozami nigdy do końca nie wiesz, na czym stoisz.

Olcha pomyślał, że to samo mógłby rzec o swoim gospodarzu, ale nie powiedział tego głośno.

Gdy znów usiedli w cieniu, Krogulec rzekł:

— Mistrz Wzorów nie pochodzi z północy. To Karg, podobnie jak moja żona. Był wojownikiem w Karego-At. O ile wiem, tylko on przybył stamtąd na Roke. Kargowie nie mają magów, nie ufają czarom. Znacznie lepiej od nas natomiast poznali Dawne Moce Ziemi. Ten człowiek, Azver, usłyszał w młodości opowieści o Wewnętrznym Gaju i uznał, iż tam właśnie musi się mieścić ośrodek wszystkich mocy ziemi. Opuścił zatem swych bogów, porzucił rodzimą mowę i ruszył na Roke. Stanął na naszym progu, mówiąc dumnie: „Nauczcie mnie żyć w tamtym lesie". I nauczyliśmy go, aż w końcu on zaczął nauczać nas… Tak stał się naszym Mistrzem Wzorów. Nie jest człowiekiem łagodnym, lecz godnym zaufania.

— Ja nigdy się go nie obawiałem — odparł Olcha. — Dobrze się z nim czułem. Zabierał mnie daleko w głąb Gaju.

Obaj umilkli, myśląc o polanach i prześwitach w owym Gaju, blasku słońca i gwiazd przenikającym przez liście.

— To serce świata — dodał Olcha.

Krogulec spojrzał na wschód, na ciemne od drzew wzgórza góry Gont.

— Pójdę tam — rzekł — w głąb lasu, jeszcze tej jesieni.

Po chwili dodał:

— Powiedz, co poradził ci Mistrz Wzorów i czemu przysłał cię tu do mnie.

— Powiedział, mój panie, że wiesz więcej o… suchej krainie niż jakikolwiek żyjący człowiek. Może więc ty zdołasz zrozumieć, dlaczego dusze stamtąd przychodzą do mnie, błagając o wolność.

— Czy mówił, jak według niego mogło do tego dojść?

— Tak. Mówił, że moja żona i ja nie wiedzieliśmy, jak się rozstać, jedynie jak się złączyć. Że to nie moja wina, lecz nasza wspólna, bo coś przyciąga nas do siebie niczym krople rtęci. Lecz Mistrz Przywołań nie zgodził się z nim. Stwierdził, że jedynie wielka magiczna moc

mogłaby naruszyć w ten sposób porządek świata. Ponieważ mój dawny mistrz Gap także dotknął mnie spoza muru, Mistrz Przywołań przypuszczał, iż może chodziło o jego magiczną moc, za życia ukrytą bądź zamaskowaną, lecz ujawnioną po śmierci.

Przez chwilę Krogulec zastanawiał się w milczeniu.

— W czasach, gdy mieszkałem na Roke, mógłbym zapewne zgodzić się z Mistrzem Przywołań. Tam nie znałem mocy większej niż ta, którą nazywamy magią. Nawet Dawne Moce Ziemi uważałem za słabsze… Jeśli Mistrz Przywołań to człowiek, o którym myślę, zjawił się na Roke jako chłopiec, przysłany przez Vetcha z Iffish, mojego starego przyjaciela. Na tym właśnie polega różnica pomiędzy nim i Azverem, Mistrzem Wzorów. Azver dorastał jako syn wojownika i sam żył jak wojownik pośród mężczyzn i kobiet, kosztując życia. Jego ciało i krew poznały rzeczy, których nie dopuszczają mury szkoły. Wie, że mężczyźni i kobiety kochają się, obcują ze sobą, pobierają… Po piętnastu latach spędzonych poza murami jestem skłonny uznać, iż Azver ma rację. Więź łącząca ciebie i twoją żonę jest silniejsza niż podział pomiędzy życiem a śmiercią.

Olcha zawahał się.

— Też tak myślałem, ale wydaje mi się to… bezwstydne. Kochaliśmy się bardziej, niż potrafię wyrazić. Lecz czy nasza miłość była większa niż inne, wcześniejsze, potężniejsza niż miłość Morreda i Elfarran?

— Może nie słabsza.

— Jak to możliwe?

Krogulec odpowiedział z rozwagą, która sprawiła, że Olcha poczuł się zaszczycony.

— No cóż — rzekł wolno — czasami na świecie pojawia się namiętność, która obumiera nagle w samym swym rozkwicie. A ponieważ kończy się w najpiękniejszej chwili, opiewają ją harfiarze i poeci. Oto miłość, która umyka latom. Taka właśnie była miłość Młodego Króla i Elfarran, a także twoja miłość, Haro. Nie była większa niż miłość Morreda, ale czy jego była większa niż twoja? Olcha milczał, pogrążony w myślach.

— W sprawach absolutnych nie istnieją pojęcia mniejszy-większy — ciągnął Krogulec. — Prawdziwie kochający mówi zawsze „wszystko albo nic”. I tak jest w istocie. Moja miłość nigdy nie umrze, mawia. Powołuje się na wieczność. I słusznie. Jak mogłaby umrzeć miłość, skoro jest samym życiem? Co właściwie wiemy o wieczności oprócz przebłysku, który dostrzegamy, gdy w naszym życiu zjawia się owa więź?

Krogulec mówił cicho, lecz z ogniem i zapałem. Potem odchylił głowę i dodał z lekkim uśmiechem:

— Śpiewa o tym każdy tępy parobek, wie o tym każda marząca o

miłości dziewczyna. Lecz mistrzowie z Roke nie mają pojęcia o tych sprawach. Być może, Mistrz Wzorów poznał wcześniej miłość. Ja sam nauczyłem się późno, bardzo późno, ale nie za późno. — Spojrzał wyzywająco na Olchę, w jego oczach wciąż błyszczał ogień. — Ty tego zaznałeś.

— Tak. — Olcha odetchnął głęboko. Po chwili powiedział: — Może są tam razem, oboje, w mrocznej krainie, Morred i Elfarran.

— Nie — odparł Krogulec z ponurą pewnością siebie.

— Skoro jednak więź jest prawdziwa, co mogłoby ją zerwać?

— Tam nie ma kochanków.

— Czym więc są, co robią w owej krainie? Byłeś tam, pokonałeś mur. Krążyłeś wśród nich, rozmawiałeś. Powiedz mi!

— Powiem. — Jakiś czas Krogulec milczał. — Nie lubię o tym myśleć — przyznał w końcu, podparł ręką głowę i skrzywił się. — Widziałeś… widziałeś tamte gwiazdy, małe złe gwiazdy, które nigdy się nie poruszają. Nie ma tam księżyca ani wschodu słońca. Kiedy zejdziesz ze wzgórza, ujrzysz drogi, drogi i miasta. Na wzgórzu jest trawa, martwa trawa, dalej jednak pozostaje tylko kamień i pył. Nic tam nie rośnie. Mroczne miasta, tłumy umarłych stoją na ulicach lub bez końca wędrują drogami. Nie mówią do siebie, nie dotykają się. Nigdy się nie dotykają. — Jego głos był cichy, przesycony goryczą. — Tam Morred mógłby minąć Elfarran, nie odwracając głowy, a ona nie spojrzałaby na niego. Nie ma tam radosnych spotkań, Haro, żadnych więzi. Matka nie tuli swojego dziecka.

— Ale przecież moja żona przyszła do mnie — zaprotestował Olcha. — Szepnęła me imię, ucałowała w usta.

— Tak. A ponieważ wasza miłość nie była większa niż inne śmiertelne miłości, a wy nie byliście potężnymi magami, których moc mogłaby odmienić prawa życia i śmierci, zatem tu chodzi o coś innego. Coś się dzieje, coś się zmienia. A choć dzieje się poprzez ciebie, jesteś tylko narzędziem, nie przyczyną.

Krogulec wstał, przeszedł ścieżką wzdłuż urwiska i zawrócił. Przepełniało go napięcie, energia, niemal drżał niczym sokół, który za moment opadnie ku ofierze.

— Gdy nazwałeś żonę prawdziwym imieniem, odparła: „To nie jest już moje imię”, prawda?

— Tak — szepnął Olcha.

— Ale jak to możliwe? My, którzy mamy prawdziwe imiona, zachowujemy je po śmierci. Zapomnieniu ulegają nasze imiona użytkowe. To jasne, że kryje się w tym tajemnica. Jak nam wiadomo, prawdziwe imię to słowo w Prawdziwej Mowie. Dlatego właśnie tylko ktoś posiadający dar może poznać imię dziecka i nadać mu je, a imię wiąże naszą istotę — za życia i po śmierci. Właśnie na tym opiera się cała sztuka Mistrza Przywołań. A jednak gdy wezwał do ciebie

prawdziwym imieniem twoją żonę, nie przyszła. Ty zawołałeś ją imieniem użytkowym Lilia i się zjawiła. Czy przybyła do ciebie jako do tego, kto znał ją naprawdę?

Zerknął bystro na Olchę, który odniósł wrażenie, że Krogulec dostrzega w nim więcej niż tylko zwykłego mężczyznę.

— Gdy mój mistrz Aihal umierał, moja żona czuwała przy nim. Umierając, rzekł: „Wszystko się zmieniło". Spoglądał przez mur, nie wiem, z której strony.

I od tego czasu istotnie zaszły zmiany. Na tronie Morreda zasiadł król, na Roke nie ma Arcymaga. Lecz stało się coś więcej, znacznie więcej. Widziałem, jak mała dziewczynka wzywa smoka Kalessina, najstarszego, i Kalessin przybył, nazywając ją córką, tak jak ja. Co to oznacza? Czemu nad wyspami zachodu znów widuje się smoki? Król przysłał do nas statek, do portu Gont, prosząc mą córkę Tehanu, aby przybyła i naradziła się z nim w sprawie smoków. Ludzie się lękają, że stara umowa została złamana, że smoki znów zaczną palić nasze pola i miasta, jak przedtem, nim Erreth-Akbe walczył z Ormem Embarem. A teraz na granicy życia i śmierci dusza odrzuca więź z imieniem… Nie rozumiem tego. Wiem jedynie, że coś się zmienia, wszystko się zmienia.

W jego głosie nie było strachu, tylko napięcie i zachwyt.

Olcha nie potrafił podzielać tego zachwytu. Zbyt wiele stracił, zbyt zmęczyła go walka z siłami, których nie pojmował. Ale serce zabiło mu żywiej.

— Oby zmieniło się na lepsze, panie — rzekł.

— Oby — odparł stary człowiek. — Lecz zmienić się musi.

* * *

Upał zaczął ustępować i Krogulec oznajmił, że musi odwiedzić wioskę. W ręku niósł koszyk śliwek, w którego środku umieścił mniejszy, z jajkami.

Olcha poszedł z nim. Po drodze rozmawiali. Gdy zrozumiał, że Krogulec wymienia owoce, jajka i inne produkty małego gospodarstwa na kaszę i mąkę, że drzewo, którym pali w piecu, zbiera cierpliwie w lesie, że musi żywić się zeszłorocznym serem, bo jego kozy nie dają mleka, zdumiał się. Jak to możliwe, by Arcymag Ziemiomorza żył tak ubogo? Czyż rodacy nie okazują mu szacunku?

Kiedy razem weszli do wioski, Olcha ujrzał, że na widok jego towarzysza kobiety zatrzaskują drzwi. Kramarz, który kupił jajka i owoce, bez słowa wyłożył zapłatę na drewniany blat. Cały czas unikał

ich wzrokiem.

— Dobrego dnia, Iddi — pozdrowił go wesoło Krogulec, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Gdy ruszyli do domu, Olcha spytał:

— Czy oni wiedzą, kim jesteś, panie?

— Nie — odparł były Arcymag, spoglądając na niego z ukosa. — I tak.

— Ale… — Olcha nie umiał wyrazić swego oburzenia.

— Wiedzą, że nie mam mocy czarodziejskiej, ale jest we mnie coś dziwnego. Wiedzą, że mieszkam z cudzoziemką, Kargijką. Wiedzą, że dziewczyna, którą nazywamy córką, jest kimś w rodzaju czarownicy, lecz jeszcze gorszym, bo jej twarz i dłoń spalił ogień, a ona sama spaliła władcę Re Albi, czy może zepchnęła go z urwiska albo zabiła złym okiem — wersje są różne. Szanują dom, w którym mieszkamy, bo należał wcześniej do Aihala i Heletha, a martwi magowie to dobrzy magowie… Olcho, pochodzisz z miasta, z wyspy należącej do królestwa Morreda. Wioska na Goncie to coś zupełnie innego.

— Czemu zatem tu zamieszkałeś, panie? Z pewnością król przyjąłby cię godnie. Z czcią.

— Nie chce niczyjej czci — odparł stary człowiek tak gwałtownie, że Olcha umilkł.

Dotarli do wzniesionego na skraju przepaści domu.

— Oto moje gniazdo — powiedział Krogulec.

Do kolacji każdy wypił szklankę czerwonego wina i jeszcze jedną, siedząc na ławce i patrząc na zachodzące słońce. Niewiele rozmawiali. Olcha czuł narastający lęk przed nocą i snem.

— Nie jestem uzdrowicielem — rzekł jego gospodarz — może jednak uda mi się ulżyć ci we śnie, tak jak uczynił to Mistrz Ziół.

Olcha spojrzał na niego pytająco.

— Zastanawiałem się nad tym i uznałem, że wcale nie zaklęcie utrzymuje cię z dala od owego wzgórza, lecz dotyk żywej ręki. Jeśli chcesz, możemy spróbować.

Olcha zaprotestował, ale Krogulec powiedział tylko:

— I tak przez większość nocy mało śpię.

Tej nocy zatem gość położył się na niskim łóżku w kącie dużej izby, a gospodarz usiadł obok niego, patrząc w ogień i drzemiąc.

Olcha w końcu zasnął. Wkrótce potem zaczął drżeć i wykrzywiać się we śnie. Krogulec wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu obróconego na bok Olchy. Śpiący drgnął lekko, westchnął, odprężył się i ucichł.

Krogulec ucieszył się, że może zdziałać choć tyle. Równie dużo jak mag, pomyślał z lekką ironią.

Nie był senny. Napięcie jeszcze go nie opuściło. Rozmyślał. Wspominał ich rozmowy, chwilę, gdy Olcha stał na ścieżce obok

grządek kapusty, powtarzając zaklęcie wzywające kozy, i wyniosłą obojętność zwierząt wobec pozbawionych mocy słów. Przypomniał sobie, jak sam wymawiał imię krogulca, jastrzębia, szarego orła, przyzywając je z nieba, a one śmigały ku niemu, wbijając mu w ramię żelazne szpony i spoglądając gniewnie złotymi oczami… Koniec z tym. Mógł się przechwalać, nazywać dom swoim gniazdem, ale nie miał skrzydeł.

Lecz Tehanu je miała. Mogła wzlecieć na smoczych skrzydłach.

Ogień się wypalił. Krogulec owinął się ciaśniej owczą skórą, opierając głowę o ścianę. Wciąż trzymał dłoń na nieruchomym, ciepłym ramieniu Olchy. Polubił swego gościa i darzył współczuciem.

Jutro musi pamiętać, by poprosić go o naprawę zielonego dzbanka.

Trawa pod murem była krótka, sucha, martwa, nie poruszał jej żaden wiatr.

Ocknął się, zdumiony, na wpół podnosząc się z krzesła. Po chwili oszołomienia z powrotem oparł dłoń na ramieniu Olchy, ścisnął je lekko i szepnął:

— Haro, odejdź stamtąd! Haro!

Olcha zadrżał i odprężył się. Westchnął ponownie, przewrócił się na brzuch i znieruchomiał.

Krogulec siedział z ręką na jego ramieniu. Jakim cudem sam także się tam znalazł, przy owym kamiennym murze? Nie miał już mocy, by tam dotrzeć. Nie mógłby znaleźć drogi. Podobnie jak zeszłej nocy, zbłąkana dusza Olchy przyciągnęła go do granicy mrocznej krainy.

Senność zupełnie go opuściła. Siedział, spoglądając na szarzejący prostokąt zachodniego okna pełen gwiazd. Trawa pod murem… Dalej, gdzie wzgórze opadało ku mrocznej, suchej równinie, już nie rosła. Powiedział Olsze, iż w dole jest tylko pył i skały. Sam widział ów czarny pył, czarne skały, suche łożyska strumieni, którymi nigdy nie płynęła woda. Ani śladu żywych istot — ptaków, spłoszonych polnych myszy, małych bzyczących owadów połyskujących w blasku słońca. Jedynie martwi ludzie o pustych oczach i pustych twarzach.

Ale czy ptaki nie umierają?

Mucha, giez, koza — biało-brązowa bezwstydna koza Sippy o zgrabnych kopytkach i żółtych oczach, ulubienica Tehanu. Padła zeszłej zimy ze starości. Gdzie teraz była Sippy?

Nie w suchej krainie, w mrocznej krainie. Nie żyła, ale tam jej nie było. Pozostała tam, gdzie jej miejsce, w ziemi. W ziemi, w świetle, na wietrze, w strumyku wody tryskającej ze skały, w żółtym oku słońca.

Czemu zatem, czemu…

* * *

Patrzył, jak Olcha naprawia dzban. Soczyście zielony brzuchaty dzbanek był ulubionym naczyniem Tenar. Przed wielu laty zabrała go ze sobą z Dębowej Farmy. Kilka dni temu wyśliznął się Krogulcowi z palców i rozbił na podłodze. Krogulec zebrał dwa duże kawałki i sporo drobnych odłamków, mając nadzieję, że da się je skleić — nawet gdyby naczynie nie nadawało się już do użytku, stałoby na półce. Za każdym razem, gdy widział czekające w koszyku skorupy, ogarniał go gniew na własną niezręczność.

Teraz zafascynowany obserwował dłonie Olchy. Smukłe, silne, zręczne, poruszały się niespiesznie, obejmując dzbanek, gładząc, zestawiając, łącząc odłamki gliny, pieszcząc i wspomagając. Kciuki naprowadzały mniejsze kawałki na miejsce, łączyły, dodawały otuchy. Podczas pracy Olcha nucił bez przerwy dwa pozbawione melodii słowa. Pochodziły z Dawnej Mowy. Ged wiedział o tym, nie znał jednak ich znaczenia. Olchę do tego stopnia zaabsorbowała praca, iż miał na twarzy wyraz błogości, bezczasowego spokoju, zniknęły z niej smutek i napięcie.

Dłonie oderwały się od dzbanka, rozchylając się niczym płatki rozkwitającego kwiatu. Naczynie stało na dębowym stole, całe.

Gdy Ged dziękował, Olcha rzekł:

— To żaden kłopot. Pęknięcie było bardzo proste. To dobra robota, dobra glina. Najciężej naprawić niechlujną robotę.

— Pomyślałem o czymś, co mogłoby pomóc ci spać — powiedział Ged.

Olcha ocknął się o świcie i wstał, by gospodarz mógł położyć się i przespać do rana. Obaj jednak wiedzieli, że nie może to trwać zbyt długo.

— Chodź ze mną — rzekł stary człowiek.

Wyruszyli w głąb lądu ścieżką okrążającą pastwisko kóz i wijącą się między wzgórzami, małymi, lekko zaniedbanymi spłachetkami pól i przyczółkami lasu. Olsze Gont wydawał się wyspą dziką, niegościnną. Górujący nad nią poszarpany skalny szczyt budził lęk.

— Przyszło mi do głowy — wyjaśnił Krogulec — że jeśli poradziłem sobie równie dobrze jak Mistrz Ziół, utrzymując cię z dala od suchej krainy i muru tylko dzięki dotknięciu ręki, inni może także zdołają ci pomóc. Jeśli lubisz zwierzęta.

— Zwierzęta?

— Widzisz… — zaczął Krogulec, ale urwał, bo ścieżką pędziła ku nim dziwna istota. Opatulona w spódnice i szale, na nogach miała wysokie skórzane buty. Z jej włosów sterczały pióra.

— Paniole, paniole! — krzyknęła.

— Witaj, Wrzosie, spokojnie — odparł Krogulec.

Zatrzymała się, kołysząc na boki. Pióra we włosach tańczyły, twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Wiedziała, że przyjdziesz! — huknęła. — Ułożyła palce w dziób sokoła i pokazała: Idź, idź. Wiedziała, że przyjdziesz.

— I przyszedłem.

— Do nas?

— Do was. Wrzos, to jest pan Olcha.

— Paniolcha — szepnęła i ucichła nagle, jakby po raz pierwszy dostrzegając przybysza. Skuliła się, skurczyła, spuszczając wzrok ku stopom.

Tak naprawdę nie miała butów. Jej nagie nogi od kolan w dół pokrywała warstwa zasychającego brązowego błota. Podkasaną spódnicę wsunęła pod pasek.

— Łapałaś żaby, prawda, Wrzos?

Obojętnie skinęła głową.

— Pójdę, powiem cioteczce — oznajmiła, zaczynając szeptem i wznosząc głos do krzyku, po czym umknęła w stronę, z której przyszła.

— Poczciwa dusza — rzekł Krogulec. — Kiedyś pomagała mojej żonie, teraz mieszka z naszą czarownicą i jej pomaga. Chyba nie masz nic przeciw odwiedzinom w domu czarownicy?

— Ależ nie, panie.

— Wielu by miało, szlachty i zwykłych ludzi, czarodziejów i czarnoksiężników.

— Moja żona, Lilia, była czarownicą.

Krogulec skłonił głowę. Przez chwilę szedł w milczeniu.

— Jak odkryła swój dar, Olcho?

— Urodziła się z nim. Jako dziecko sprawiała, że oderwana gałąź znów przyrastała do drzewa, inne dzieci przynosiły jej do naprawy zniszczone zabawki. Kiedy jednak ojciec widział, co robi, bił ją po rękach. Jej rodzina wiele znaczyła w mieście. Bardzo szanowani ludzie — dodał Olcha swym spokojnym, łagodnym głosem. — Nie chcieli, by zadawała się z czarownicami, bo przez to nie mogłaby poślubić równie szanowanego mężczyzny. Ukrywała zatem przed nimi to, że się uczy. A czarownice z miasta nie chciały mieć z nią nic do czynienia, nawet gdy zwracała się do nich o pomoc. Bały się jej ojca. W końcu pojawił się bogaty zalotnik. Była bowiem piękna, wierz mi, panie; piękniejsza, niż potrafiłbym wyrazić. I ojciec kazał jej go poślubić. Tej nocy uciekła. Przez kilka lat żyła samotnie, wędrowała. Od czasu do czasu wstępowała na naukę do którejś z czarownic, lecz utrzymywała się sama dzięki swym zdolnościom.

— Taon nie jest wielką wyspą.

— Ojciec jej nie szukał. Oznajmił, że marna czarownica nie jest

jego córką.

I znów Krogulec skłonił głowę.

— Aż w końcu przybyła do ciebie.

— Nauczyła mnie więcej, niż ja mogłem nauczyć ją — odparł szczerze Olcha. — Miała ogromny dar.

— Wierzę.

Dotarli do sporej chaty przycupniętej w dolince, otoczonej splątanym gąszczem oczaru i żarnowca. Na jej dachu siedziała koza, wokół przechadzało się stadko biało nakrapianych czarnych kur. Leniwa mała suka, owczarek, na ich widok uniosła głowę, zastanowiła się, czy warto zaszczekać, uznała, że nie warto, i zamerdała ogonem.

Krogulec podszedł do niskiego wejścia i pochylając się, zajrzał do środka.

— Tu jesteś, cioteczko — rzekł. — Przyprowadziłem ci gościa. To Olcha, czarodziej z wyspy Taon. Zajmuje się naprawami i jest w tym mistrzem. Wierz mi, przed chwilą widziałem, jak naprawiał zielony dzbanek Tenar, wiesz który. Straszny niezgrabiasz ze mnie. Parę dni temu upuściłem go i stłukłem.

Wszedł do chaty, Olcha podążył jego śladem. Na wyścielanym fotelu obok drzwi siedziała stara kobieta. Ze swego miejsca mogła wyglądać na rozsłoneczniony świat. W jej rzadkich siwych włosach tkwiły pióra, na kolanach miała dropiatą kurę. Uśmiechnęła się do Krogulca z przejmującą słodyczą i pozdrowiła gościa uprzejmym skinieniem głowy. Kura obudziła się, zagdakała i uciekła.

— To jest Mech — oznajmił Krogulec — czarownica. Posiada wiele zdolności; największą z nich jest dobro.

Olcha pomyślał, że tak mógłby przemawiać Arcymag z Roke, przedstawiając wielkiego maga równie wielkiej damie. Ukłonił się. Staruszka przekrzywiła głowę i zaśmiała się cicho.

Lewą, zdrową ręką zakręciła krąg i spojrzała pytająco na Krogulca.

— Tenar? Tehanu? — odparł. — Wciąż są w Havnorze, u króla. Zapewne świetnie się bawią, oglądają piękne budowle i pałace.

— Zrobiłam nam korony! — wykrzyknęła Wrzos, wypadając z cuchnącego mrocznego chaosu panującego w głębi izby. — Jak królom i królowym. Widzicie? — Z dumą zaprezentowała kurze pióra sterczące pod najróżniejszymi kątami z jej gęstych splotów. Cioteczka Mech, która dopiero teraz uświadomiła sobie, że także ma na głowie ową wątpliwą ozdobę, bezskutecznie spróbowała strącić pióra i skrzywiła się kwaśno.

— Korony są ciężkie — powiedział Krogulec. Delikatnie wyjął pióra z siwych włosów.

— Kto jest królową, paniolcu?! — krzyknęła Wrzos. — Kto jest królową? Bannen to król, a królowa?

— Król Lebannen nie ma królowej, Wrzos.

— Czemu nie? Powinien mieć. Czemu nie ma?

— Może wciąż jej szuka?

— Ożeni się z Tehanu! — wrzasnęła radośnie Wrzos. — Zobaczysz. Krogulcowi twarz zmieniła się nagle, zamknęła, stężała.

— Wątpię — odparł tylko. Trzymając w dłoni pióra wyjęte z włosów czarownicy, pogładził je delikatnie. — Jak zwykle przychodzę prosić o przysługę, cioteczko.

Czarownica wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń z tak wielką czułością, że Olchę ogarnęło głębokie wzruszenie.

— Chcę od ciebie pożyczyć szczeniaka.

Mech wyraźnie posmutniała. Wrzos, stojąca obok z otwartymi ustami, zastanawiała się chwilę, w końcu huknęła:

— Szczeniaka? Cioteczko Mech, szczeniaków już nie ma! Stara kobieta przytaknęła ponuro, gładząc brązową dłoń Krogulca.

— Ktoś je wziął?

— Największy uciekł, może pobiegł do lasu i jakiś stwór go zabił, bo nigdy nie wrócił. Potem zjawił się stary Guła i powiedział, że potrzebuje owczarków, więc weźmie dwa i je wytresuje. I cioteczka dała mu je, bo ganiały młode kurczaki, które wysiedziała Śnieżynka. A poza tym zjadały nam dom.

— No cóż, Gaduła nieźle się pewnie namęczy, nim je wytresuje — odparł z półuśmiechem Krogulec. — Cieszę się, że je dostał, ale żałuję, że ich już nie ma, bo chciałem wypożyczyć jednego na noc bądź dwie. Spały w twoim łóżku, prawda, Mech?

Czarownica przytaknęła, nadal zasmucona. Potem rozpromieniła się lekko, uniosła wzrok, przekrzywiając głowę na bok, i miauknęła.

Krogulec spojrzał pytająco, lecz Wrzos zrozumiała.

— Och, kocięta! — krzyknęła. — Mała Szara urodziła czwórkę. Stary Czarnuch zabił jednego, nim zdążyłyśmy go powstrzymać, ale zostały trzy! Zwykle sypiają z cioteczką i Kwoką, odkąd nie ma już piesków. Kici, kici, kici, gdzie jesteście? Kici, kici! — Po dłuższej chwili pełnej szelestów, poruszeń i rozdzierających miauknięć w mrocznym wnętrzu zjawiła się ponownie, ściskając w ręku piszczącego i wyrywającego się szarego kociaka. — Jest jeden! — zawołała i rzuciła maleństwo przez izbę. Krogulec niezgrabnie schwytał kociaka, który ugryzł go natychmiast.

— No już, już, spokojnie — rzekł Krogulec.

Zwierzątko cichutko warknęło i znowu spróbowało go ugryźć. Mech skinęła dłonią i Krogulec posadził maleństwo na jej kolanach. Powoli je głaskała. Kociątko rozpłaszczyło się na jej nodze, przeciągnęło, zamruczało.

— Mógłbym go wypożyczyć na jakiś czas?

Stara czarownica podniosła rękę w królewskim geście, mówiącym

wyraźnie „jest twój”.

— Pana Olchę nękają bolesne sny. Pomyślałem, że towarzystwo zwierzęcia może mu pomóc.

Mech przytaknęła z powagą. Patrząc na Olchę, wsunęła dłoń pod kociaka i uniosła go wolno. Olcha ostrożnie odebrał od niej zwierzątko. Kociak nie warknął ani nie ugryzł. Wdrapał mu się po ręce i ramieniu, przywarł do szyi pod włosami związanymi luźno na karku.

W drodze powrotnej do domu Starego Maga — Olcha trzymał kociaka za koszulą — Krogulec wyjaśnił:

— Kiedyś, gdy byłem młodym czarodziejem, poproszono mnie, bym uleczył dziecko z gorączki. Wiedziałem, że chłopiec umiera, ale nie potrafiłem pozwolić mu odejść. Próbowałem pójść za nim, sprowadzić go z powrotem zza kamiennego muru… I tak upadłem obok jego łoża, jakbym sam był martwy. Na szczęście miejscowa czarownica odgadła, co się stało. Kazała zanieść mnie do domu i położyć do łóżka. A w moim domu mieszkało zwierzę. Zaprzyjaźniło się ze mną, gdy byłem jeszcze chłopcem na Roke. Dzikie stworzenie, które przyszło do mnie z własnej woli i zostało, otak. Znasz otaki? Chyba nie macie ich na północy.

Olcha zawahał się.

— Znam jedynie z pieśni opowiadającej… o tym jak mag przybył do dworu Terrenon na Osskil, a otak próbował go ostrzec przed gebbethem, który mu towarzyszył. Mag uwolnił się od gebbetha, lecz otak został zabity.

Krogulec przez dwadzieścia kroków szedł w milczeniu.

— Tak — rzekł wreszcie. — No cóż, mój otak jeszcze raz ocalił mi życie, gdy przez własną głupotę utknąłem po niewłaściwej stronie muru. Moje ciało leżało nieruchome, a dusza błąkała się w tamtej krainie. Otak przyszedł do mnie i zaczął mnie myć, tak jak myją się zwierzęta, siebie i młode, niczym kot, suchym języczkiem. Lizał mnie cierpliwie, przywoływał tą pieszczotą, przyciągał z powrotem do mego ciała. Otrzymałem od niego w darze nie tylko życie, lecz wiedzę równie ważną jak wszystko, czego nauczono mnie na Roke… jednak i ją straciłem.

Nazywam to wiedzą, w istocie jednak chodzi o tajemnicę. Czym różnimy się od zwierząt? Mową? Wszystkie zwierzęta potrafią się porozumiewać. Mówią do siebie: „chodź”, „uważaj” i znacznie więcej. Nie potrafią jednak opowiadać historii ani kłamać, a my owszem.

Ale smoki mówią, władają Prawdziwą Mową, Mową Tworzenia, w której nie da się kłamać, a opowiedzieć historię oznaczają stworzyć. Mimo to nazywamy smoki zwierzętami.

Może zatem wcale nie język nas wyróżnia? Może fakt, że zwierzęta nie czynią dobra ani zła, robią to, co muszą. Możemy nazywać ich czyny szkodliwymi bądź pożytecznymi, lecz dobro i zło

to nasze pojęcia, bo my dokonujemy wyboru własnej drogi. Smoki są niebezpieczne, o tak. Mogą krzywdzić, ale nie są złe. Wykraczają poza naszą moralność, podobnie jak zwierzęta, albo stoją ponad nią. Nie mają z nią nic wspólnego.

My wciąż musimy dokonywać wyborów. Zwierzę jedynie działa, jest. My jesteśmy spętani, one wolne. Zatem być ze zwierzęciem, to zaznać odrobiny wolności…

Zeszłej nocy rozmyślałem o tym, że czarownice często mają towarzysza, chowańca. Moja ciotka miała starego psa, który nigdy nie warczał. Nazywała go Wybiegaj. A kiedy pierwszy raz przybyłem na Roke, poznałem Arcymaga Nemmerlego, któremu zawsze towarzyszył kruk. Pomyślałem też o pewnej młodej kobiecie noszącej zamiast bransolety małą jaszczurkę, smoka harekkiego. I w końcu przypomniałem sobie o moim otaku. Potem spytałem sam siebie: skoro Olchę po tej stronie muru zatrzymuje ciepły dotyk, to czy nie mógłby to być dotyk zwierzęcia? Zwierzę widzi życie, nie śmierć. Może pies bądź kot spisze się tu równie dobrze jak Mistrz z Roke?

I rzeczywiście, kociak wyraźnie zadowolony z faktu, że opuścił dom pełen psów, kocurów, kogutów i nieprzewidywalnej Wrzos, usilnie starał się wykazać, że jest godnym zaufania, czujnym, solidnym kotem. Patrolował zatem dom w poszukiwaniu myszy, przy każdej nadarzającej się okazji wdrapywał się na ramię Olchy pod jego włosy, a gdy tylko właściciel układał się do snu, kociak zwijał się w kłębek pod jego brodą, mrucząc głośno. Olcha całą noc przespał spokojnie. Nie pamiętał, by coś mu się śniło. Ocknąwszy się, ujrzał kocię siedzące mu na piersi i z zadowoloną miną myjące uszy.

Gdy Krogulec chciał ustalić płeć nowego domownika, kociak zaczął wyrywać się i prychać.

— W porządku — rzekł stary człowiek, błyskawicznie odsuwając zagrożoną dłoń. — Niech ci będzie. Jedno jest pewne, Olcho. To kot albo kotka.

— Tak czy inaczej nie nadam mu imienia — odparł Olcha. — Małe koty gasną szybko jak płomyk świecy. Jeśli się je nazwie, pozostaje po nich większy żal.

Tego dnia Olcha zaproponował, by razem zajęli się naprawą ogrodzenia wokół pastwiska kóz. Krogulec szedł po stronie wewnętrznej, Olcha po zewnętrznej. Gdy jeden z nich natrafił na miejsce, w którym paliki zaczynały już próchnieć albo węzły słabnąć, Olcha przesuwał rękę po drewnie, naciskając, pociągając, wygładzając i wzmacniając. W jego gardle i piersi rozbrzmiewała niewyraźna pieśń. Twarz miał skupioną, odprężoną.

W pewnym momencie obserwujący go Krogulec mruknął:

— I pomyśleć, że kiedyś uważałem to za coś oczywistego. Olcha, zatopiony w pracy, nie spytał, co gospodarz miał na myśli.

— Już — powiedział tylko. — Teraz wytrzyma.

Ruszyli dalej. Tuż za nimi maszerowały dwie ciekawskie kozy, które po kolei skakały i napierały na naprawione fragmenty ogrodzenia, jakby chciały sprawdzić jego wytrzymałość.

— Myślę — rzekł Krogulec — że dobrze byłoby, gdybyś popłynął do Havnoru.

Olcha spojrzał na niego niespokojnie.

— A ja uznałem, że skoro znam już sposób pozwalający trzymać się z dala… od tamtego miejsca… mógłbym wrócić do domu, na Taon. — Już wymawiając te słowa, przestał w nie wierzyć.

— Mógłbyś, lecz nie uważam, by było to mądre.

— Może za wiele wymagam — odparł z wahaniem Olcha. — Jeden mały kociak ma bronić człowieka przed armiami umarłych.

— Owszem.

— Ale… co miałbym robić w Havnorze? — Nagle w jego głosie zabrzmiała nadzieja. — Popłyniesz ze mną?

Krogulec raz jeden pokręcił głową.

— Zostanę tutaj.

— Mistrz Wzorów…

— Przysłał cię do mnie, a ja wysyłam cię do tych, którzy powinni wysłuchać twej historii i odkryć, co ona znaczy. Powiadam ci, Olcho, że w głębi serca Mistrz Wzorów wierzy, iż jestem tym, kim byłem. Że jedynie ukrywam się tu, w lasach Gontu, i w chwili największej potrzeby znów się zjawię. — Spuścił wzrok, patrząc na swe przepocone, połatane ubranie i zakurzone buty. Roześmiał się krótko. — W całej mojej chwale — dodał.

Stojąca za nim brązowa koza zameczała.

— Mimo wszystko jednak, Olcho, miał rację, przysyłając cię tutaj. Bo ona też by tu była, gdyby nie popłynęła do Havnoru.

— Pani Tenar?

— Hama Gondun. Tak nazwał ją sam Mistrz Wzorów. — Krogulec spojrzał na Olchę ponad ogrodzeniem. Gość nie potrafił odczytać wyrazu jego oczu. — Kobieta na Goncie. Kobieta z Gontu. Tehanu.

ROZDZIAŁ 2
PAŁACE

Gdy Olcha wrócił do portu, „Chyża” wciąż tam stała, przyjmując ładunek drewna. Wiedział jednak, iż nie byłby mile widziany na jej pokładzie, skierował zatem kroki na cumujący obok niewielki statek przybrzeżny, „Piękną Różę”.

Krogulec wręczył mu list przewozowy podpisany przez króla i opieczętowany Runą Pokoju.

— Przysłał mi go na wypadek, gdybym zmienił zdanie — rzekł i prychnął cicho. — Teraz ci się przyda.

Kapitan, gdy jego zaklinacz wiatru odczytał list, przyjął Olchę uniżenie, przeprosił go za ciasne pomieszczenia i długość podróży. „Piękna Róża” istotnie płynęła do Havnoru, ale jako statek przybrzeżny zawijała do kolejnych portów po drodze i dotarcie nią do wielkiej wyspy i miasta królów mogło trwać nawet miesiąc.

— Nie szkodzi — odparł Olcha, choć bowiem lękał się podróży, jeszcze bardziej obawiał się jej końca.

Trwająca od nowiu do półksiężyca podróż morska okazała się dlań czasem spokoju. Szary kociak świetnie znosił trudy wyprawy. Cały dzień polował na myszy, lecz nocami zawsze powracał i zwijał się w kłębek pod brodą Olchy albo w zasięgu jego ręki. I, ku nieustającemu zdumieniu Olchy, owa kruszyna ciepłego życia istotnie utrzymywała go z dala od kamiennego muru i nawołujących umarłych. Nie do końca — tak naprawdę nigdy o nich nie zapominał, wciąż tam byli, tuż za zasłoną snu, w ciemności, za światłem dnia. Kiedy ciepłymi nocami sypiał na pokładzie, często otwierał oczy, by przekonać się, że gwiazdy wciąż się poruszają, kołyszą w rytm falowania morza, podążając swym kursem na nieboskłonie. Nie odzyskał spokoju, lecz przez pół letniego miesiąca, podróżując wzdłuż wybrzeży Kameberu, Barnisku i Wielkiej Wyspy, mógł udawać, że duchów nie ma.

Kociak przez kilka dni polował na młodego szczura, niemal dorównującego mu wielkością. Gdy wreszcie z dumą i wyraźnym wysiłkiem wyciągnął truchło na pokład, jeden z marynarzy, widząc, jak wielki ciężar dźwiga, nazwał go Żurawiem. Olcha zaakceptował to imię.

Przepłynęli przez cieśninę Ebavnoru i przesmyk wiodący do Zatoki Havnorskiej. Z mgiełki ponad rozsłonecznionymi wodami powoli wyłaniały się białe wieże miasta w sercu świata. Olcha stał na dziobie. Na szczycie najwyższej wieży dostrzegł błysk srebrnego światła. Miecz Erreth-Akbego.

Nagle pożałował, że nie może zostać na pokładzie, żeglować dalej, że musi zejść na ląd, do wielkiego miasta, wśród wyniosłych ludzi, niosąc list do króla. Wiedział, że kiepski z niego posłaniec. Czemu właśnie jemu przypadło to brzemię? Dlaczego to on, wioskowy czarodziej nie wyznający się na sprawach wielkich i najwyższych sztukach, musiał podróżować pomiędzy wyspami? Między magiem i monarchą, żywymi i umarłymi?

Przed wyjazdem powiedział coś podobnego do Krogulca.

— To mnie przerasta — rzekł.

Stary człowiek przyglądał mu się chwilę w milczeniu.

— Świat jest olbrzymi i niezwykły, Haro. Lecz nie większy i nie dziwniejszy niż nasze umysły. Pomyśl o tym czasem.

Niebo za miastem pociemniało. W głębi lądu szalała burza. Wieże płonęły bielą na tle ciemnego fioletu nieba. Nad ich szczytami śmigały mewy, roztańczone ogniste iskierki.

„Piękna Róża" zacumowała, rzucono trap. Tym razem, gdy Olcha zarzucał na ramię worek, marynarze życzyli mu powodzenia. Podniósł kosz do przewozu drobiu, w którym cierpliwie przycupnął Żuraw, i zszedł na ląd.

W plątaninie zatłoczonych ulic wyraźnie widział drogę wiodącą do pałacu. Nie miał pojęcia, co robić, postanowił zatem udać się tam i oznajmić, że przynosi list do króla od Arcymaga Krogulca.

Tak też uczynił, powtarzając te słowa wiele razy.

Wędrował od strażnika do strażnika, od urzędnika do urzędnika, pokonując szerokie stopnie zewnętrzne, wysokie sale, schody o złoconych poręczach, wewnętrzne komnaty zawieszone gobelinami, rozległe marmurowe i dębowe posadzki pod niskimi i wysokimi, sklepionymi, malowanymi i belkowanymi stropami, i cały czas powtarzał swe zaklęcie.

— Przybywam od Krogulca, który był Arcymagiem, i przynoszę list do króla.

Nie zgadzał się oddać listu nikomu. Powoli wokół Olchy gromadził się rosnący tłum podejrzliwych, pozornie uprzejmych, wyniosłych, rzucających kłody pod nogi strażników i dworzan. Pokonanie kolejnych przeszkód wymagało coraz więcej czasu.

I nagle wszyscy zniknęli. Jakieś drzwi otwarły się i zamknęły za nim.

Znalazł się sam w cichej komnacie. Szerokie okna wyglądały na północno-zachodnie dachy miasta. Burzowe chmury zniknęły; daleko nad wzgórzami wznosił się szary wierzchołek góry Onn.

Szczęknęły kolejne drzwi. Do środka wszedł mężczyzna odziany w czerń, na oko mniej więcej w wieku Olchy. Poruszał się szybko, jego piękna, silna twarz była gładka niczym z brązu. Podszedł wprost do gościa.

— Mistrzu Olcho, jestem Lebannen.

Wyciągnął prawą rękę, by dotknąć dłoni Olchy, jak nakazuje zwyczaj na Ea i Enladach. Olcha zareagował odruchowo na znajomy gest. Potem przyszło mu do głowy, że powinien uklęknąć lub przynajmniej się skłonić, lecz stosowna chwila już minęła. Stał więc bez ruchu, oszołomiony.

— Przybywasz od pana mego Krogulca? Jak on się miewa? Dobrze?

— Tak, panie. Przysyła ci… — Olcha zaczął pospiesznie grzebać pod kurtą w poszukiwaniu listu, który zamierzał wręczyć królowi na klęczkach, gdy w końcu wprowadzą go do sali, gdzie władca zasiada na swym tronie. — …Ten list, panie.

Obserwujące go oczy były czujne, uprzejmie, bezlitośnie bystre, podobnie jak u Krogulca, lecz jeszcze bardziej skrywające myśli. Król z niezwykłą uprzejmością przyjął list.

— Każdy, kto przynosi choć słowo od niego, zasługuje na me najszczersze podziękowanie i powitanie. Wybaczysz mi?

Olcha w końcu zdołał się ukłonić. Król podszedł do okna i zaczął czytać.

Odczytał list co najmniej dwukrotnie, potem złożył. Jego twarz pozostała obojętna. Podszedł do drzwi, powiedział parę słów, po czym wrócił do Olchy.

— Proszę, usiądź ze mną, przyniosą nam coś do jedzenia. Wiem, że całe popołudnie krążyłeś po pałacu. Gdyby dowódca straży miał dość rozumu, by przysłać mi wiadomość, oszczędziłbym ci godzin pokonywania murów i przepływania fos, jakie wznoszą wokół mnie… Czy mieszkałeś z mym panem Krogulcem w jego domu nad urwiskiem?

— Tak.

— Zazdroszczę ci. Ja nigdy tam nie byłem. Nie widziałem go, odkąd rozstaliśmy się na Roke, pół żywota temu. Nie zgodził się, bym odwiedził go na Goncie, nie przybył na mą koronację. — Lebannen uśmiechnął się, jakby nic, co powiedział, nie miało żadnego znaczenia. — Dał mi moje królestwo.

Usiadł i gestem wezwał Olchę, by zajął miejsce naprzeciw, po drugiej stronie małego stołu. Olcha spojrzał na blat ozdobiony intarsjami ze srebra i kości. Kręte linie, liście i kwiaty jarzębiny oplatały smukłe miecze.

— Jak upłynęła podróż? — spytał król.

Przez chwilę rozmawiali o niczym. Tymczasem służba wnosiła talerze zimnych mięs, wędzonych pstrągów, sałaty i sera. Król dał dobry przykład, z apetytem zabierając się do jedzenia. Nalał im także wina barwy jasnego topazu. Wzniósł w toaście kryształowy kielich.

— Zdrowie mego pana i najdroższego przyjaciela.

— Jego zdrowie — mruknął Olcha i wypił.

Król mówił też o Taonie, który odwiedził kilka lat wcześniej (Olcha pamiętał podniecenie panujące na wyspie, gdy król składał wizytę w Meoni). Wspomniał o muzykach z Taonu, przebywających teraz w mieście, harfiarzach i śpiewakach występujących na dworze. Może Olcha zna chociaż kilku z nich? I w istocie, imiona brzmiały znajomo. Król potrafił sprawić, by gość poczuł się jak w domu, a jedzenie i wino także w tym pomagały.

Gdy skończyli posiłek, nalał im jeszcze po pół kieliszka wina.

— List dotyczy głównie twojej osoby, wiedziałeś o tym? — Ton jego głosu nie zmienił się zbytnio i przez moment Olcha milczał, zagubiony.

— Nie — powiedział w końcu.

— Wiesz, o czym traktuje?

— Może o moich snach? — Olcha spuścił wzrok.

Król przyglądał mu się chwilę. W jego spojrzeniu nie było nic obraźliwego, patrzył jednak bardziej otwarcie niż większość ludzi. W końcu wziął list i podsunął go gościowi.

— Panie mój, niezbyt dobrze czytam.

Słowa te nie zdziwiły Lebannena — niektórzy czarodzieje czytali, inni nie. Natychmiast jednak pożałował, że mógł urazić gościa. Złocistobrązowa twarz pokryła się ciemnym rumieńcem.

— Przepraszam, Olcho — rzekł. — Czy mogę ci go odczytać?

— Proszę, panie. — Pytanie króla sprawiło, że Olcha przez moment poczuł się mu równy i po raz pierwszy przemówił naturalnie, ciepło.

Lebannen przebiegł wzrokiem pozdrowienia i kilka linii tekstu, po czym przeczytał na głos:

— „Olcha z Taonu, przynoszący ci ten list, został wezwany we śnie, nie z własnej woli, do krainy, którą przebyliśmy kiedyś razem. Opowie ci o cierpieniu w miejscu, gdzie wszelkie cierpienie mija, i zmianie tam, gdzie nic się nie zmienia. Kiedyś zamknęliśmy drzwi, które otworzył Cob; być może, teraz runie cały mur. Olcha był na Roke, jedynie Azver go wysłuchał. Mój pan i władca, król, wysłucha go i postąpi tak, jak nakaże mu mądrość i potrzeba. Olcha zapewni mego pana króla o moim wiecznym oddaniu i posłuszeństwie, przekaże też pozdrowienia i słowa oddania mej pani Tenar i ukochanej córce Tehanu, dla której przynosi kilka słów”. List podpisał runą Szpon. — Lebannen uniósł wzrok znad zapisanej karty, spojrzał w oczy Olchy i przez chwilę milczał. — Opowiedz mi o swoim śnie — poprosił.

Raz jeszcze Olcha powtórzył swą historię.

Tym razem mówił krótko i niezbyt składnie. Choć Krogulec budził w nim nabożny podziw, dawny Arcymag wyglądał, ubierał się i żył jak

wieśniak, człowiek równy Olsze, i swą prostotą sprawił, że jego gość zdołał pokonać nieśmiałość. Jednakże król, nieważne jak uprzejmy i przyjazny, wciąż wyglądał jak król, zachowywał się jak król i był królem. Dzieląca ich odległość wydawała się Olsze nie do pokonania. Pospiesznie wyrzucał z siebie słowa i w końcu umilkł z ulgą.

Lebannen zadał mu kilka pytań. Lilia, a później Gap, dotknęli Olchy. Czy później nigdy się to nie powtórzyło? I czy dotyk Gapa parzył?

Olcha wyciągnął rękę. Miesięczna opalenizna niemal całkowicie ukryła blizny.

— Myślę, że ludzie z drugiej strony muru dotknęliby mnie, gdybym się do nich zbliżył.

— Ale ty trzymasz się z daleka.

— Tak.

— I nie znałeś ich za życia?

— Czasem wydaje mi się, że kogoś poznaję.

— Lecz nie widujesz już żony?

— Jest ich tak wielu, mój panie. Czasami wydaje mi się, że tam jest, ale jej nie widzę.

Rozmowa sprawiła, że wszystko znów stało się aż nadto bliskie. Poczuł, że znowu wzbiera w nim strach. Miał wrażenie, iż lada moment ściany komnaty rozpłyną się, wieczorne niebo i wierzchołek góry znikną niczym odsunięta zasłona, pozostawiając go stojącego tam gdzie zawsze, na mrocznym wzgórzu przy kamiennym murze.

— Olcho!

Uniósł wzrok, wstrząśnięty; kręciło mu się w głowie. Widział jasne ściany, twardą, wyraźną twarz króla.

— Zatrzymasz się tu, w pałacu.

To było zaproszenie. Olcha mógł jedynie skinąć głową, przyjmując je jak rozkaz.

— Jutro zorganizuję ci spotkanie z panią Tehanu, byś mógł przekazać jej wiadomość. Wiem też, że Biała Pani zechce z tobą mówić.

Olcha skłonił się. Lebannen ruszył ku drzwiom.

— Mój panie…

Król odwrócił głowę.

— Mogę zatrzymać przy sobie kota?

Ani śladu uśmiechu czy drwiny.

— Oczywiście.

— Mój panie, ból ściska mi serce, że musiałem przekazać ci niepokojące wieści.

— Każda wieść od człowieka, który cię przysłał, to dla mnie radość i zaszczyt. Wolę też złą wiadomość od człeka szczerego niźli kłamstwa pochlebcy — odparł Lebannen, a Olcha poczuł ulgę, słysząc

w słowach władcy prawdziwy akcent swych ojczystych wysp.

Król wyszedł i natychmiast w drzwiach, którymi przybył Olcha, pojawiła się głowa mężczyzny.

— Panie, zechcesz pójść za mną. Zabiorę cię do twojej komnaty.

Dystyngowany, starszy, dobrze odziany człowiek poprowadził Olchę, który nie miał pojęcia, czy to szlachcic, czy sługa; nie śmiał zatem spytać go o Żurawia. Nim wszedł do komnaty, w której spotkał króla, urzędnicy, dworzanie i strażnicy uparli się, by zostawił u nich swój kosz — co najmniej piętnastu zdążyło go już obejrzeć z podejrzliwą miną. Olcha piętnaście razy wyjaśniał, że zabrał ze sobą kota, bo nie miał go gdzie zostawić. Teraz owa komnata pozostała daleko z tyłu, po drodze nie dostrzegł kosza i nigdy go już nie znajdzie, bo został w drugim końcu pałacu, oddzielony od niego korytarzami, salami, przejściami, drzwiami…

Przewodnik ukłonił się i pozostawił go w małym uroczym pokoju. Olcha ujrzał wiszące na ścianach gobeliny, gruby dywan, krzesło z haftowanym siedzeniem, okno wyglądające na port, stół, na którym postawiono misę letnich owoców i dzban pełen wody. Oraz kosz do przewozu drobiu.

Otworzył go. Żuraw niespiesznie wyskoczył na podłogę. Zachowywał się, jakby doskonale znał pałac. Przeciągnął się, obwąchał palce Olchy i zaczął krążyć po komnacie, badając kolejno wszystkie sprzęty. Niemal natychmiast odkrył ukrytą za zasłoną alkowę, w której stało łoże, i na nie wskoczył. Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Do środka wszedł młody mężczyzna niosący duże płaskie drewniane pudło bez pokrywy. Ukłonił się przed Olchą.

— Piasek, panie — mruknął.

Ustawił skrzynkę w najdalszym kącie alkowy, ponownie skłonił głowę i wyszedł.

— Cóż — rzekł Olcha, przysiadając na łóżku. Nie miał zwyczaju rozmawiać z kociakiem; zwykle łączyło ich milczące zaufanie i dotyk. Musiał jednak z kimś pogadać. — Dziś poznałem króla.

* * *

Król, nim mógł spocząć w łożu, musiał porozmawiać jeszcze z wieloma ludźmi, przede wszystkim wysłannikami Najwyższego Króla Kargów. Właśnie zbierali się do powrotu, wypełniwszy swą misję w Havnorze, ku zadowoleniu swego władcy i znacznie mniejszemu Lebannena.

Lebannen traktował odwiedziny owych ambasadorów jak

uwieńczenie lat cierpliwych rozmów, zaproszeń i negocjacji. Przez pierwszych dziesięć lat panowania niczego z Kargami nie osiągnął. Bóg-Król w Awabath odrzucał propozycje traktatów i umów handlowych, i odprawiał wysłanników, nie wysłuchawszy ich nawet. Twierdził, iż bogowie nie pertraktują z marnymi śmiertelnikami, a już na pewno nie z przeklętymi czarownikami. Lecz proklamacje Boga-Króla dotyczące powstania jednego wielkiego boskiego imperium pozostały pustymi groźbami; nie poparły ich floty tysięcy statków niosących na pokładzie wojowników w barwnych pióropuszach, którzy mieliby podbić bezbożny Zachód. Nawet ataki pirackie, od dawna nękające wschodnie wyspy Archipelagu, stopniowo ustały. Piraci zajęli się przemytem i wymianą wszelkich towarów wykradzionych z Karego-At na żelazo, stal i brąz Archipelagu. Wyspy Kargadzkie bowiem były ubogie w surowce i metale.

I właśnie owi przemytnicy po raz pierwszy przekazali na Zachód wieści o pojawieniu się Najwyższego Króla.

Na Hur-at-Hur, wielkiej, biednej, najbardziej wysuniętej na wschód wyspie Kargadu, jeden z miejscowych wodzów, Thol, który twierdził, że wywodzi się od Thorega z Hupun i boga Wuluaha, obwołał się Najwyższym Królem swej krainy. Podbił Atnini, a potem dzięki flocie i armii zgromadzonej na Hur-at-Hur i Atnini zawładnął bogatą wyspą środkową, Karego-At. Gdy jego wojownicy zbliżyli się do stolicy Awabath, mieszkańcy miasta podnieśli bunt przeciw tyranii Boga-Króla. Wymordowali najwyższych kapłanów, przegnali urzędników ze świątyń, szeroko otworzyli bramy i powitali króla Thola na tronie Thorega, tańcząc i świętując na ulicach.

Bóg-Król umknął z resztką swej gwardii i dworzan do Miejsca Grobowców na Atuanie. I tam, na pustyni, w jego świątyni obok zniszczonego przez trzęsienie ziemi przybytku Bezimiennych, jeden z kapłanów-eunuchów poderżnął gardło Boga-Króla.

Thol obwołał się Najwyższym Królem czterech Wysp Kargadzkich. Gdy tylko wieść o tym dotarła do Havnoru, Lebannen wysłał ambasadorów, by powitali jego brata króla i zapewnili o przyjaznym nastawieniu Archipelagu.

Nastąpiło pięć lat trudnych, męczących rozmów dyplomatycznych. Thol był człowiekiem porywczym, zasiadającym na niepewnym tronie. Po upadku teokracji wszelka władza wydawała się wątpliwa, a panowanie przypadkowe. Znikąd wyrastali pomniejsi królowie, których musiał kupić bądź zmusić do posłuszeństwa. W kaplicach i jaskiniach pojawiali się nawiedzeńcy zwiastujący upadek możnych, trzęsienia ziemi, niszczące fale i plagi, które dotkną bogobójców. Rządzący podzielonym, nękanym kłopotami imperium Thol nie mógł ufać potężnemu, bogatemu Archipelagowi.

Fakt, iż jego władca stale mówił o przyjaźni, demonstrując

Pierścień Pokoju, nic dla niego nie oznaczał. Czyż bowiem Kargowie nie mieli prawa do owego pierścienia? Został wykuty w starożytności na Zachodzie, lecz dawno temu król Thoreg z Hupun przyjął go w darze od bohatera Erreth-Akbego, jako znak pokoju pomiędzy Kargadem i wyspami hardyckimi. Potem pierścień zniknął i zamiast pokoju nastały wojny. Wtedy jednak Jastrzębi Mag odnalazł pierścień i ukradł go wraz z kapłanką Grobowców Atuanu, uwożąc klejnot i kobietę do Havnoru. Jak widać, mieszkańcom Archipelagu nie można ufać.

Poprzez swoich wysłanników Lebannen cierpliwie i uprzejmie tłumaczył, że Pierścień Pokoju był przede wszystkim darem Morreda dla Elfarran, bezcenną pamiątką po najukochańszym królu i królowej Archipelagu, a także przedmiotem świętym, gdyż wyryto na nim Runę Więzi, potężne błogosławieństwo. Niemal czterysta lat wcześniej Erreth-Akbe zawiózł go na Wyspy Kargadzkie jako symbol wieczystego pokoju. Lecz kapłani z Awabath nie dotrzymali przysięgi i przełamali pierścień. Czterdzieści lat temu Krogulec z Roke i Tenar z Atuanu go uleczyli. Co zatem z pokojem?

Takie było sedno jego przesłania do króla Thola.

I miesiąc temu, tuż po letnim Długim Tańcu, ze wschodu przybyła flotylla statków. Żeglowała przejściem Felkway, cieśniną Ebavnoru i dalej, pomiędzy przylądkami Zatoki Havnorskiej. Długie czerwone okręty o czerwonych żaglach niosły na pokładach wojowników w pióropuszach, wysłanników we wspaniałych szatach i kilka niewiast w welonach.

„Niechaj córka Thola, Najwyższego Króla, który zasiada na tronie Thorega i wywodzi się od Wuluaha, przywdzieje Pierścień Pokoju na swe ramię, jak kiedyś królowa Elfarran z Solei. I niechaj stanie się to symbolem wieczystego pokoju pomiędzy wyspami Zachodu i Wschodu”.

Tak brzmiała wiadomość Najwyższego Króla. Zapisano ją wielkimi hardyckimi runami na zwoju. Nim jednak ambasador Thola wręczył list królowi Lebannenowi, odczytał go głośno publicznie podczas przyjęcia wysłanników w pałacu, gdzie zgromadził się cały dwór, aby oddać cześć przybyszom z Kargadu.

I może dlatego, że ambasador nie czytał po hardycku, lecz głośno i powoli wygłaszał słowa z pamięci, zabrzmiały one niemal niczym ultimatum.

Księżniczka nie odezwała się ani słowem. Stała wśród dziesięciu dworek czy może niewolnic, które towarzyszyły jej do Havnoru, oraz gromadki pospiesznie zwołanych havnorskich dam mających się nią zająć. Spowijały ją welony; tak najwyraźniej nakazywał zwyczaj z Hur-at-Hur. Welony czerwone, haftowane złotem, opadały prosto z płaskiego nakrycia głowy, toteż księżniczka przypominała czerwony

słup lub kolumnę, nieruchomy, milczący, czerwony walec.

— Najwyższy Król Thol czyni nam wielki zaszczyt — odparł Lebannen cicho, wyraźnie. Potem urwał. Dwór i wysłannicy czekali. — Jesteś tu mile widziana, księżniczko — dodał, zwracając się do zakwefionej postaci, która ani drgnęła. — Niechaj księżniczka zamieszka w Pałacu Rzecznym. Dajcie jej wszystko, czego zapragnie — polecił Lebannen.

Pałac Rzeczny był piękną niewielką budowlą na północnym skraju miasta, przytuloną do starego miejskiego muru, z tarasami wyglądającymi na niewielką rzekę Serrenen. Zbudowała go królowa Heru i często zwano go Pałacem Królowej. Gdy Lebannen wstąpił na tron, kazał go odbudować i odnowić, podobnie jak pałac Mahariona, zwany Nowym, w którym sprawował rządy. Z Pałacu Rzecznego korzystał tylko podczas letnich świąt, czasami odpoczywał w nim kilka dni.

Wśród dworzan rozległ się szmer. Pałac Królowej?

Po wymianie uprzejmości z wysłannikami kargadzkimi Lebannen opuścił salę przyjęć. Udał się do garderoby, gdzie mógł być sam, a przynajmniej do tego stopnia sam, jak może być król, czyli w towarzystwie Dęba, starego sługi, którego znał całe życie.

Gwałtownym gestem cisnął na stół złocony zwój.

— Ser w pułapce na szczury — rzekł. Trząsł się cały. Wyrwał z pochwy sztylet, który zawsze nosił przy boku, i wbił go w blat, przez sam środek listu Najwyższego Króla. — Świnia w worku, kawałek mięsa. Pierścień na jej ramieniu, obroża na mej szyi!

Dąb był oszołomiony i przerażony. Książę Arren z Enladu nigdy nie tracił panowania nad sobą. W dzieciństwie czasami zdarzało się, że płakał, przez moment szlochał gorzko, ale to wszystko. Był zbyt dobrze wychowany, by poddawać się gniewowi. A jako król, król, który zdobył swój tron w krainie umarłych, bywał surowy, lecz, jak sądził Dąb, zawsze zbyt dumny, zbyt silny, by pałać gniewem.

— Nie wykorzystają mnie! — Lebannen ponownie dźgnął sztyletem. Jego twarz wykrzywiła tak potężna i ślepa furia, iż stary Dąb cofnął się, zdjęty prawdziwym strachem.

Lebannen to zauważył. Zawsze dostrzegał otaczających go ludzi. Schował sztylet.

— Dębie — rzekł — na moje imię, przysięgam, że prędzej zniszczę Thola i jego królestwo, nim pozwolę wykorzystać się jako podnóżek do jego tronu.

Potem odetchnął głęboko i usiadł, pozwalając, by służący zdjął mu z ramion ciężki, przetykany złotem płaszcz.

Dąb nigdy nie wspomniał nikomu o tej scenie, lecz rzecz jasna na dworze natychmiast rozpoczęły się domysły i spekulacje dotyczące księżniczki Kargów i tego, co król zamierza z nią począć — oraz co już

uczynił.

Nie powiedział, że pojmie księżniczkę za żonę — wszyscy bowiem zgadzali się, iż to właśnie mu zaproponowano; wzmianka o pierścieniu Elfarran ledwie skrywała ową ofertę, propozycję czy groźbę. Ale też nie odmówił. Jego odpowiedź (bez końca analizowana) brzmiała, iż księżniczka jest mile widziana, dostanie wszystko, czego zapragnie, i zamieszka w Pałacu Rzecznym, czyli Pałacu Królowej. Z pewnością miało to jakieś znaczenie. Ale z drugiej strony czemu nie w Nowym Pałacu? Dlaczego na skraju miasta?

Od dnia koronacji Lebannena damy z najszlachetniejszych rodów i księżniczki z królewskich rodzin Enladu, Ea i Shelieth przybywały na dwór i zostawały na dłużej. Wszystkie podejmowano po królewsku i król tańczył na ich weselach, gdy kolejno zadowalały się szlachcicami bądź bogatymi mieszczanami. Wiadomo było powszechnie, iż król lubi towarzystwo kobiet i ich rady, chętnie flirtuje z ładnymi dziewczętami i wysłuchuje zdania mądrych niewiast, ich rad, żartów czy pociech. Lecz nawet w plotkach imienia żadnej z nich nie łączono poważnie z jego imieniem. Żadna nie miała szans, by go poślubić. I żadna nie zamieszkała w Pałacu Rzecznym.

— Król musi mieć u boku królową — powtarzali mu wciąż doradcy.

— Naprawdę musisz się ożenić, Arrenie — oznajmiła matka, gdy widzieli się po raz ostatni.

— Czyż następca Morreda nie będzie miał dziedzica? — pytali ludzie.

Różnymi słowy i na różne sposoby odpowiadał: „Dajcie mi czas. Muszę odbudować zrujnowane królestwo. Niechaj stanie się godne królowej, gotowe dla mych dzieci". A że kochano go i powszechnie mu ufano, i ponieważ wciąż jeszcze był młody, i mimo swej powagi uroczy i przekonujący, zręcznie wymykał się wszystkim pannom. Aż do teraz.

Kto się krył pod sztywnymi czerwonymi welonami? Kogo osłaniał ów tajemniczy namiot? Dworzanie nieustannie zasypywali pytaniami damy przydzielone do dworu księżniczki. Ładna czy brzydka? Czy to prawda, że jest wysoka i chuda, niska i krępa, biała jak mleko, pokryta śladami po ospie, jednooka, żółtowłosa, czarnowłosa, ma czterdzieści pięć lat, dziesięć? To zaśliniona kretynka czy oszałamiająca piękność?

Stopniowo spośród plotek wyjaśniła się prawda. Księżniczka jest młoda, choć już nie dziecko. Ma włosy ani żółte, ani czarne. Dość ładna, mawiały niektóre panie. Nieokrzesana, dodawały inne. Nie mówi ani słowa po hardycku, powtarzały zgodnie, i nie chce się uczyć. Kryje się wśród swych kobiet, a kiedy musi opuścić komnatę, umyka pod czerwone zasłony. Król złożył jej wizytę. Nie skłoniła się przed nim, nie przemówiła, nie uczyniła nawet znaku, lecz stała tam, jak to

określiła z rezygnacją stara pani Iyesa, niczym ceglany komin.

Król zwrócił się do niej za pośrednictwem ludzi, którzy służyli mu jako wysłannicy na Wyspy Kargadzkie, i przez ambasadora Kargów, nieźle władającego hardyckim. Powoli wygłaszał komplementy i pytał ją, czego sobie życzy. Tłumacze przemawiali do jej kobiet, których welony były krótsze i mniej nieprzeniknione. Następnie kobiety zebrały się wokół nieruchomej czerwonej kolumny. Po dłuższej chwili mamrotania i szeptów powróciły do tłumaczy, którzy poinformowali króla, że księżniczka jest zadowolona i niczego nie pragnie.

Przebywała w Havnorze pół miesiąca, gdy z Gontu przypłynęły Tenar i Tehanu. Lebannen posłał po nie, błagając, by przybyły, niedługo przed odwiedzinami floty z Kargadu i z przyczyn niemających nic wspólnego z księżniczką ani z królem Tholem. Gdy jednak po raz pierwszy znalazł się sam na sam z Tenar, wybuchnął:

— Co ja z nią zrobię? Co mam począć?

— Opowiedz mi o tym — poprosiła Tenar, patrząc na niego ze zdumieniem.

Lebannen spędził z nią niewiele czasu, choć w ciągu tych lat wymienili kilka listów. Nie przywykł jeszcze do faktu, iż jej włosy posiwiały. Wydawała się też mniejsza niż kiedyś. Natychmiast jednak, podobnie jak piętnaście lat wcześniej, poczuł, że może powiedzieć jej wszystko, a ona zrozumie.

— Od pięciu lat rozwijałem stosunki handlowe i próbowałem utrzymywać dobre kontakty z Tholem, bo to wojownik, a ja nie chcę, by — jak w czasach Mahariona — moje królestwo znalazło się w kleszczach pomiędzy smokami na zachodzie i wojownikami na wschodzie. I dlatego że władam w imię pokoju. Wszystko szło dobrze do tej chwili. Nagle przysłał mi tę dziewczynę, mówiąc: „Jeśli pragniesz pokoju, daj jej pierścień Elfarran". Twój pierścień, Tenar. Twój i Geda!

— To jego córka — powiedziała Tenar po namyśle.

— Czymże jest córka dla króla barbarzyńców? Towarem, kartą przetargową, dzięki której może zyskać przewagę. Wiesz o tym. Urodziłaś się tam!

Wybuchy takie nie leżały w jego stylu, sam to pojmował. Ukląkł nagle i w geście pokory przycisnął jej dłoń do swych oczu.

— Tenar, przepraszam. Sam nie rozumiem czemu, lecz budzi to mój gniew. Nie wiem, co robić.

— Póki nie robisz niczego, nic nie jest przesądzone. Może księżniczka ma własne zdanie?

— Jakim cudem? Ukryta w czerwonym worku? Nie chce mówić, wyjrzeć na świat. Równie dobrze mogłaby być żywym słupem. — Spróbował się roześmiać. Zastanowiła go ogromna niechęć, jaką czuł wobec tej kobiety. Próbował ją usprawiedliwić. — Wszystko to stało

się akurat w chwili, gdy otrzymałem niepokojące wieści z zachodu. Dlatego wezwałem was tu z Tehanu. Nie żeby zawracać wam głowę tymi bzdurami.

— To nie bzdury — odparła Tenar. On jednak zlekceważył jej słowa i zaczął mówić o smokach.

Ponieważ wieści z zachodu rzeczywiście były niepokojące, przez jakiś czas Lebannenowi udawało się nie myśleć o księżniczce. Zdawał sobie sprawę z faktu, iż nie ma w zwyczaju ignorować problemów. Kiedy ktoś tobą manipuluje, ty powinieneś zacząć manipulować nim. Kilka dni po pierwszej rozmowie poprosił Tenar, by odwiedziła księżniczkę i spróbowała się z nią porozumieć. Ostatecznie, dodał, władają tym samym językiem.

— Być może — odparła Tenar. — Nigdy nie znałam nikogo z Hur-at-Hur. Na Atuanie uważaliśmy ich za barbarzyńców.

Lebannen zawstydził się. Jednak, rzecz jasna, spełniła jego prośbę. Wkrótce potem poinformowała króla, że mówią z księżniczką prawie tym samym językiem, a księżniczka nie ma pojęcia, że istnieją inne języki. Sądziła, że otaczający ją ludzie, dworzanie i damy to złośliwi wariaci, którzy drwią z niej, bełkocząc i szczekając niczym bezrozumne zwierzęta. Dorastała na pustyni, w pierwszym królestwie króla Thola na Hur-at-Hur, i przed wyjazdem do Havnoru jedynie krótko przebywała na dworze w Awabath.

— Jest przerażona — dodała Tenar.

— I dlatego ukrywa się w namiocie? Za kogo mnie bierze?

— Skąd ma wiedzieć, kim jesteś?

Skrzywił się.

— Ile ma lat?

— Jest młoda, ale to już kobieta.

— Nie mogę jej poślubić — oznajmił, jakby nagle podjął decyzję. — Odprawię ją.

— Odesłana narzeczona to kobieta zhańbiona. Thol może ją zabić, by nie przyniosła hańby jego rodowi. Z pewnością uzna, że zamierzałeś go poniżyć.

Twarz Lebannena ponownie wykrzywiła furia.

Tenar uprzedziła jego wybuch.

— Barbarzyńskie zwyczaje — dodała sztywno. Lebannen zaczął krążyć po komnacie.

— Doskonale. Ale nie dopuszczam nawet możliwości, by ta dziewczyna została władczynią królestwa Morreda. Czy można ją nauczyć hardyckiego, przynajmniej kilku słów? Czy to możliwe? Poinformuję Thola, że hardycki król nie może poślubić kobiety, która nie włada mową jego krainy. Nie obchodzi mnie, czy mu się to spodoba. Potrzebuje nauczki, a ja zyskam na czasie.

— I poprosisz ją, by nauczyła się hardyckiego?

— Jak mogę poprosić, skoro wszystkie moje słowa to dla niej bełkot? Po co w ogóle miałbym ją odwiedzać? Może ty z nią pomówisz, Tenar… Widzisz przecież, jaka to bezczelność. Thol wykorzystał tę dziewczynę, by udawać równego mnie. Użył pierścienia — pierścienia, który nam przywiozłaś! — jako pułapki. Nigdy się na to nie zgodzę. Jestem gotów odwlekać rozwiązanie, opóźniać odmowę, aby utrzymać pokój. Ale nic więcej. A nawet to jest nieuczciwe. Powiedz dziewczynie, co tylko zechcesz. Ja nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

I wyszedł, ogarnięty świątobliwym gniewem, który powoli minął, przeradzając się w niemiłe uczucie, bardzo przypominające wstyd.

Gdy kargijscy wysłannicy oznajmili, że wkrótce odpłyną, Lebannen przygotował staranną odpowiedź dla króla Thola. Podziękował za zaszczyt, jaki czyni mu obecność księżniczki w Havnorze, i obiecał, że chętnie wraz z całym dworem zaznajomi ją ze zwyczajami, mową i manierami swego królestwa. Ani słowem nie wspomniał o pierścieniu, zgodzie bądź niezgodzie na ślub.

W wieczór po rozmowie z nękanym koszmarnymi snami czarodziejem z Taonu, Lebannen po raz ostatni spotkał się z Kargami i przekazał im list do Najwyższego Króla, podobnie jak ambasador uczynił to z listem Thola.

Ambasador wysłuchał go spokojnie.

— Najwyższy Król będzie rad — rzekł.

Lebannen, wygłaszając uprzejme pożegnanie i demonstrując swe dary dla króla, nie mógł się nadziwić, z jaką łatwością wysłannicy zaakceptowali jego uniki. W końcu doszedł do nieprzyjemnego wniosku: Wiedzą, że jestem na nią skazany. Po czym z pasją odpowiedział w duchu: Nigdy.

Spytał, czy ambasador odwiedzi Pałac Rzeczny, by pożegnać się z księżniczką. Ambasador spojrzał na niego tępo, jakby zapytano go, czy chce pożegnać dostarczoną wcześniej paczkę. Lebannen poczuł, jak w jego sercu znów wzbiera gniew. Ujrzał, iż oblicze ambasadora zmienia się lekko, przybiera czujny, przymilny wyraz. Uśmiechnął się i życzył wysłannikom przychylnych wiatrów, po czym wyszedł z sali audiencyjnej.

Niemal wszystko, co robił, ograniczały zwyczaje i ceremonie. Jako król należał do ludu, nie do siebie. Ponieważ jednak objął tron, który od wieków stał pusty, i pałac pozbawiony protokołów, zdołał wywalczyć dla siebie nieco prywatności. Ceremonie kończyły się na progu jego sypialni. Noce należały tylko do niego. Pożegnał się z Dębem, który sypiał w przedsionku, i zamknął drzwi. Usiadł na łóżku. Był zmęczony, wściekły i czuł się dziwnie samotny.

Na szyi zawsze nosił cienki złoty łańcuszek z zawieszoną na nim sakiewką ze złotogłowiu. W sakiewce tkwił kamyk, zwykły czarny

kawałek skały o ostrych krawędziach. Teraz Lebannen wyjął go i położył na dłoni, zatopiony w myślach. Próbował zapomnieć o całej tej bezsensownej sprawie z kargijską księżniczką, skupiając się na opowieści czarodzieja Olchy o jego snach. Poddał się bolesnej zazdrości. Olcha popłynął na Gont, rozmawiał z Gedem, mieszkał z nim.

Dlatego właśnie czuł się samotny. Człowiek, którego nazywał swym panem, którego kochał ponad wszystkich, nie pozwalał mu zbliżyć się do siebie. Nie chciał do niego przybyć.

Czy Ged sądził, że ponieważ stracił swą magiczną moc, Lebannen już go nie szanuje, pogardza nim?

Zważywszy, jak bardzo myśli o potędze władają umysłami i sercami ludzi, nie było to niemożliwe. Z pewnością jednak Ged zbyt dobrze go znał i miał o nim zbyt dobrą opinię.

Czyżby więc, będąc niegdyś prawdziwym panem i przewodnikiem Lebannena, Ged nie mógł znieść teraz myśli, że stał się poddanym? Istotnie, owa brutalna, nieodwracalna zmiana pozycji mogła być trudna do zniesienia dla starego człowieka.

Lecz Lebannen dobrze pamiętał, jak Ged ukląkł przed nim na oba kolana na Pagórku Roke, w cieniu smoka, na oczach mistrzów, których sam był mistrzem. Potem wstał, ucałował Lebannena i życzył mu, by władał mądrze, nazywając go władcą i najdroższym kompanem.

„Dał mi moje królestwo” — powiedział Lebannen do Olchy. Właśnie w tamtej chwili podarował mu je z własnej woli.

I dlatego Ged nie chciał przybyć do Havnoru, Nie chciał, by Lebannen zasięgał jego rady. Przekazał mu władzę z własnej woli. Nie chciał mieszać się do rządów, rzucać cienia na światło Lebannena.

Odźwierny powiedział: „Zrobił już to, co miał zrobić”.

Lecz opowieść Olchy sprawiła, że Ged wysłał go tutaj, do Lebannena, prosząc, by król postąpił, jak nakazuje konieczność.

Istotnie była to dziwna opowieść. Jeszcze dziwniej zabrzmiały słowa Geda, że może sam mur musi runąć. Co to mogło znaczyć? I czemu sny jednego człowieka miałyby oznaczać tak wiele?

On sam śnił dawno temu o granicy krainy umarłych, gdy wraz z Arcymagiem Gedem podróżowali razem, jeszcze nim dotarli na Selidor.

Na owej najbardziej wysuniętej na zachód wyspie podążył za Gedem w głąb suchej krainy, poza kamienny mur, do mrocznych miast, gdzie w drzwiach stały cienie umarłych, a inne krążyły bez celu po ulicach oświetlonych jedynie blaskiem nieruchomych gwiazd. Z Gedem zszedł całą tę krainę, aż w końcu dotarli do mrocznej doliny pełnej kamieni i pyłu, u stóp gór noszących jedną tylko nazwę: Ból.

Rozchylił palce, by spojrzeć na mały czarny kamyk, i ponownie

ścisnął go w dłoni.

Z doliny suchej rzeki, gdy dokonali już tego, po co przybyli, podążyli dalej w góry, bo nie mogli zawrócić. Wstąpili na ścieżkę zakazaną umarłym i wdrapywali się coraz wyżej i wyżej, na skały, które raniły i paliły im ręce, aż w końcu Ged nie mógł już iść dalej. Lebannen niósł go, póki starczyło mu sił, a potem pełznął wraz z nim aż do krańca ciemności, beznadziejnego urwiska nocy. I tak powrócił z Gedem i znalazł się w słońcu, pośród szumu fal załamujących się na brzegu życia.

Od dawna nie wspominał owej straszliwej wędrówki, lecz zawsze nosił na sercu czarny kamień z owych gór.

Teraz zaś wydało mu się, iż pamięć o tej krainie, jej mroku, pyle, zawsze mu towarzyszy, tuż pod jasną barwną powłoką dni, choćby najusilniej starał się odwracać wzrok. Czynił to, bo nie mógł znieść świadomości, że w końcu tam powróci, samotny, obojętny. Stanie z pustymi oczami, milczący, pośród cieni mrocznego miasta, by nigdy już nie oglądać słońca, nie skosztować wody, nie zaznać dotyku żywej dłoni.

Wstał gwałtownie, otrząsając się z ponurych myśli. Schował kamyk do sakiewki, przygotował się do snu, zdmuchnął lampę i położył się. Natychmiast ujrzał ją ponownie: pogrążoną w mroku szarą krainę, skały i pył. W dali zamykał ją łańcuch wysokich czarnych szczytów. Po prawej jednak opadała w dół, stale w dół, w głęboką ciemność.

— Co tam jest? — spytał Geda podczas wędrówki. Towarzysz odparł, że nie wie, że może z tamtej strony kraina nie ma końca.

Lebannen usiadł, zaniepokojony i zirytowany uporem, z jakim jego myśli powracały w tamto miejsce. Poszukał wzrokiem okna. Wychodziło na północ. Lubił ten widok. Daleko ponad wzgórzami wznosiła się wysoka góra Onn o szarym wierzchołku. Jeszcze dalej na północ, przesłonięty przez wielką wyspę i morze Ea, leżał Enlad, jego ojczyzna.

Z łóżka Lebannen widział tylko niebo — pogodne, letnie nocne niebo. Serce Łabędzia płonęło jasno pośród mniejszych gwiazd. Jego królestwo, królestwo światła, życia, w którym gwiazdy rozkwitały niczym białe kwiaty na wschodzie i opadały srebrzyste ku zachodowi. Nie chciał myśleć o tamtej krainie, w której gwiazdy trwają bez ruchu, gdzie człowieczej ręce brak siły i nie istnieją właściwe ścieżki, bo wszystkie prowadzą donikąd.

Leżąc tak i patrząc w gwiazdy, z rozmysłem porzucił wspomnienia i myśli o Gedzie. Zamiast tego pomyślał o Tenar, brzmieniu jej głosu, dotknięciu ręki. Dworzanie byli uroczyści, ostrożni, bardzo uważali, by nie dotknąć króla. Ona nie. Ze śmiechem położyła palce na jego dłoni. Była wobec króla śmielsza niż jego

matka.

Róża, księżniczka z rodu Enladu, zmarła na gorączkę dwa lata wcześniej, gdy jej syn wyruszył statkiem, zamierzając złożyć wizytę w Berili na Enladzie i na dalszych wyspach. Nie wiedział o jej śmierci, póki nie dotarł do miasta i nie zastał dworu pogrążonego w żałobie.

Teraz matka przebywała w mrocznej krainie, suchej krainie. Gdyby tam powrócił i minął ją na ulicy, nie odwróciłaby głowy, nie odezwałaby się ani słowem.

Zacisnął pięści i poprawił poduszki, próbując ułożyć się wygodnie, oderwać myśli od tamtych wizji, skupić się na czymś innym. Myśleć o matce za życia, jej głosie, ciemnych oczach pod wyniosłymi brwiami, delikatnych dłoniach.

Albo o Tenar. Wiedział, że poprosił, by przybyła do Havnoru nie tylko, aby zasięgnąć jej rady. Po śmierci Róży ona zastępowała mu matkę. Łaknął matczynej miłości, pragnął czerpać z niej — z miłości absolutnej, która nie stawia warunków, nie zna wyjątków. Oczy Tenar były szare, nie czarne, spoglądała jednak na niego z przenikliwą czułością, nie dającą się zwieść żadnym słowom ani uczynkom.

Lebannen wiedział, że dobrze sobie radzi z tym, co mu przeznaczono, dobrze sprawdza się w roli króla. Ale tylko przy matce i przy Tenar ostatecznie i do końca pojmował, co to znaczy być królem.

* * *

Tenar poznała go, gdy był młodzieńcem i nie nosił jeszcze korony. Pokochała go wtedy i kochała do tej pory, dla niego samego, Geda i dla siebie. Był dla niej synem, który nigdy nie złamał jej serca.

Teraz jednak pomyślała, że może w końcu mu się to uda, jeśli nadal będzie tak podle i nieuczciwie traktował biedną dziewczynę z Hur-at-Hur.

Przyszła na ostatnią audiencję, której udzielił wysłannikom z Awabath. Lebannen poprosił ją o to, a ona chętnie spełniła prośbę. Gdy przyjechała do Havnoru na początku lata i zastała na dworze Kargów, spodziewała się, że nie będą jej dostrzegać lub przynajmniej potraktują ze wzgardą. Oto renegatka, kapłanka, która wraz ze złodziejem, Jastrzębim Magiem, ukradła pierścień Erreth-Akbego ze skarbca Grobowców Atuanu i zdradziecko uciekła do Havnoru. To ona sprawiła, że Archipelag znów ma króla. Kargowie musieli ją o to obwiniać.

A Thol z Hur-at-Hur przywrócił zwyczaj oddawania czci Bliźniaczym Bóstwom i Bezimiennym, których największą świątynię

zbezcześciła. Jej zdrada miała naturę nie tylko polityczną, ale też religijną.

Jednak wszystko to działo się dawno, ponad czterdzieści lat temu i niemal przeszło już do legendy, a politycy mają bardzo wybiórczą pamięć. Ambasador Thola błagał, by uczyniła mu ten zaszczyt i zechciała go przyjąć, i powitał ją niezwykle uniżenie. Podejrzewała nawet, iż nie do końca udawał szacunek. Nazywał ją panią Arhą, Pożartą, Jedyną Odrodzoną. Od lat nie słyszała tych imion, toteż zabrzmiały w jej uszach bardzo dziwnie, lecz bolesną przyjemność sprawił jej dźwięk ojczystego języka, jak również fakt, że sama wciąż jeszcze nim władała.

Przyszła zatem pożegnać ambasadora i jego towarzyszy. Poprosiła, by zapewnili Najwyższego Króla Kargów, że jego córka miewa się dobrze, i po raz ostatni spojrzała z podziwem na wysokich kościstych mężczyzn o jasnych warkoczach, w upierzonych nakryciach głowy i uroczystych srebrnych kolczugach z wplecionymi piórami. Gdy mieszkała w Kargadzie, niezmiernie rzadko widywała mężczyzn własnej rasy. W Miejscu Grobowców mieszkały tylko kobiety i eunuchowie.

Po uroczystości wykradła się do pałacowych ogrodów. Była ciepła, letnia, tętniąca życiem noc. Kwitnące krzewy szumiały lekko, poruszane powiewami wiatru. Odgłosy miasta dobiegające zza murów przypominały pomruk spokojnego morza. Po trawnikach przechadzała się para splecionych w objęciach młodych ludzi. Starając się im nie przeszkadzać, Tenar przeszła pomiędzy fontannami i krzakami różanymi na drugi koniec ogrodu.

Lebannen znów zakończył audiencję wykrzywiony gniewem. Co się z nim dzieje? Nigdy wcześniej nie buntował się przeciw obowiązkom, jakie niosła ze sobą jego pozycja. Z pewnością rozumiał; że król musi się ożenić i nie ma wiele do powiedzenia co do osoby swej wybranki. Wiedział, iż król nie słuchający poddanych to tyran. Wiedział, że jego lud pragnie królowej, pragnie następców tronu. A jednak nic nie zrobił. Kobiety z dworu radośnie podzieliły się z Tenar plotkami o kilku jego kochankach. Żadna z nich nic nie straciła z powodu faktu, iż wiązano ją z osobą króla. Owszem, doskonale sobie radził, ale nie mógł oczekiwać, że będzie to trwało wiecznie. Czemu tak bardzo rozgniewał się, gdy król Thol podsunął mu doskonałe rozwiązanie?

No, może nie do końca doskonałe. Księżniczka stanowiła pewien problem.

Tenar postanowiła, że musi spróbować nauczyć ją hardyckiego i poszukać dam, które poinstruują księżniczkę w kwestiach obowiązujących w Archipelagu manier i dworskiej etykiety — ona zdecydowanie się na tym nie znała. Znacznie bardziej identyfikowała

się z księżniczką ignorantką niż z wyrafinowanymi dworzanami.

Bardzo nie podobała jej się niezdolność bądź nieumiejętność Lebannena spojrzenia na sytuację z punktu widzenia dziewczyny. Czy nie potrafił sobie wyobrazić, co to dla niej oznacza? Wychowana w kobiecej części fortecy wojownika, na odległej pustyni, gdzie prawdopodobnie nie widziała żadnych mężczyzn poza ojcem, wujami i kilkoma kapłanami, nagle wyrwana z monotonnych, sztywnych ram swego życia przez obcych, po długiej przerażającej podróży morskiej, porzucona wśród ludzi, których znała jedynie jako pozbawione religii, spragnione krwi potwory z końca świata, mniej niż ludzi, czarowników potrafiących zamieniać się w ptaki i zwierzęta — i ma poślubić jednego z nich!

Tenar zdołała opuścić własny lud i zamieszkać wśród potworów i czarnoksiężników zachodu, bo towarzyszył jej Ged, którego kochała i któremu ufała. Nawet wtedy jednak nie było to łatwe. Często zawodziła ją odwaga. Mimo gorącego powitania, jakie zgotowali jej mieszkańcy Havnoru, tłumów, wiwatów, kwiatów i pochwał, słodkich przydomków, jakie jej nadawali: Biała Pani, Niosąca Pokój, Tenar od Pierścienia — mimo to wiele lat temu nocami nieszczęśliwa kuliła się w swej komnacie. Czuła się wówczas tak bardzo samotna, bo nikt nie znał tu jej języka, a ona nie znała niczego, co dla tutejszych ludzi było zupełnie naturalne. Gdy tylko uroczystości dobiegły końca, a pierścień trafił na miejsce, ubłagała Geda, by ją stąd zabrał. On zaś dotrzymał słowa, wywożąc ją na Gont. Tam zamieszkała w domu Starego Maga, jako uczennica i wychowanka Ogiona, ucząc się życia na Archipelagu, póki nie zrozumiała, jaką drogą pragnie podążać, jak dorastać jako kobieta.

Gdy przybyła do Havnoru z pierścieniem, była młodsza niż ta dziewczyna. Nie dorastała jednak całkowicie podporządkowana innym, jak księżniczka. Choć jej władza jedynej kapłanki była głównie nominalna, ceremonialna, Tenar udało się zerwać z przeszłością, odzyskać kontrolę nad własnym losem i zdobyć wolność dla swego więźnia i siebie. Lecz co mogło zależeć od córki wojownika? Gdy jej ojciec obwołał się królem, nazwano ją księżniczką. Dostała wówczas bogatsze szaty, więcej niewolników, eunuchów, klejnotów, i w końcu ją samą oddano przyszłemu mężowi. Nie miała nic do powiedzenia. Świat poza komnatami kobiet poznawała jedynie poprzez wąskie okienka w grubych murach i grube warstwy czerwonych zasłon.

Tenar miała szczęście. Nie urodziła się na barbarzyńskiej wyspie, takiej jak Hur-at-Hur; nigdy nie musiała nosić *feyaga.* Wiedziała jednak, jak to jest dorastać w kleszczach żelaznej tradycji. Postanowiła zatem, że póki pozostanie w Havnorze, zrobi wszystko co w jej mocy, by pomóc księżniczce. Nie zamierzała jednak zatrzymywać się tu długo.

Spacerując po ogrodzie, patrząc na połyskujące w blasku księżyca fontanny, zastanawiała się, jak i kiedy wróci do domu.

Nie przeszkadzały jej formalności życia dworskiego ani świadomość, że pod otoczką uprzejmości wrą ambicje, zawiści, namiętności, spiski. Sama także dorastała pośród rytuałów, hipokryzji i knowań politycznych. Nie przerażały jej, po prostu tęskniła za domem. Chciała wrócić na Gont, do Geda, do domu.

Przybyła do Havnoru, ponieważ Lebannen zaprosił ją, Tehanu i Geda. Ged odmówił, a Tehanu nie chciała popłynąć bez niej. Fakt ten zmartwił i przeraził Tenar. Czyżby córka nie potrafiła się od niej uwolnić? Lebannen potrzebował rady Tehanu, nie jej. Lecz córka trzymała się jej uporczywie, równie niepewna siebie i obca na dworze w Havnorze jak dziewczyna z Hur-at-Hur, i podobnie jak ona milcząca w ukryciu.

Teraz zatem Tenar musiała stać się opiekunką, nauczycielką i towarzyszką obu przerażonych dziewcząt, które nie wiedziały, jak zapanować nad własnym życiem, podczas gdy ona pragnęła tylko wrócić do domu, znów pomagać Gedowi w ogrodzie.

Pożałowała, że w domu nie mogą hodować takich białych róż. Jakże słodko nocą pachniały. Lecz na Overfell było zbyt wietrznie, a latem słońce świeciło zbyt ostro. Poza tym kozy prawdopodobnie i tak by je zjadły.

Wróciła do pałacu i ruszyła w głąb wschodniego skrzydła, do komnat, które dzieliła z Tehanu. Było późno, córka już spała. Knot maleńkiej alabastrowej lampy tlił się płomykiem nie większym niż perła. Wysokie komnaty spowijały miękkie cienie. Tenar zdmuchnęła lampę i wkrótce zapadła w sen.

Wędrowała wąskimi, wysoko sklepionymi kamiennymi korytarzami. W dłoni niosła alabastrową lampę. Owal słabego światła rozpływał się w ciemności przed nią i za nią. W końcu dotarła do drzwi komnaty. Wewnątrz czekali ludzie o ptasich skrzydłach, niektórzy mieli też ptasie głowy, głowy sokołów i sępów. Stali bądź przykucali bez ruchu, nie patrząc na nią ani na nic w ogóle. Oczy otaczały im pierścienie bieli i czerwieni, skrzydła zwisały za plecami niczym olbrzymie czarne płaszcze. Wiedziała, że nie umieją latać. Byli tak smutni, pozbawieni nadziei, a w komnacie tak cuchnęło, że chciała czym prędzej uciec, ale nie mogła nawet drgnąć. Zmagając się z paraliżem, obudziła się. Ujrzała ciepłe cienie, świecące za oknem gwiazdy. W powietrzu unosił się zapach róż. Słyszała cichy pomruk miasta, oddech śpiącej Tehanu.

Usiadła, otrząsając się z resztek koszmaru. Śniła o Malowanej Komnacie w Labiryncie Grobowców, gdzie czterdzieści lat temu pierwszy raz ujrzała Geda. We śnie jednak malunki ze ścian ożyły, tyle że to nie było życie, lecz nieskończone, bezczasowe trwanie tych,

którzy umarli i się nie odrodzili. Przeklętych przez Bezimiennych, niewiernych, ludzi z Zachodu, czarowników.

Po śmierci każdy się odradza — oto wiedza, w której ją wychowano. Gdy jako dziecko zabrano ją do Grobowców, aby została Arhą, Pożartą, powiedziano jej, że ona jedna z całego ludu wciąż odradza się we własnej postaci, każdego kolejnego żywota. Czasami w to wierzyła, lecz, nie zawsze, nawet gdy była kapłanką Grobowców, i nigdy od tamtego czasu. Wiedziała jednak, tak jak wszyscy mieszkańcy Wysp Kargadzkich, że gdy umrą, powrócą w nowym ciele, że gasnąca lampa w tej samej chwili znów zapłonie gdzie indziej, w łonie kobiety, w małym jajeczku płotki, w niesionym z wiatrem nasieniu trawy, powracając, by znów istnieć, bez pamięci o dawnym żywocie, na nowo, bez końca, życie po życiu.

Nie odradzali się tylko ci, których odrzuciła sama ziemia i Dawne Moce, przeklęci czarnoksiężnicy z krain hardyckich. Gdy umierali — tak przynajmniej twierdzili Kargowie — nie dołączali do żyjącego świata; trafiali w upiorne miejsce półżycia, gdzie skrzydlaci, lecz niezdolni do lotu, ni to ludzie, ni ptaki, muszą trwać, pozbawieni nadziei. Och, z jakąż radością kapłanka Kossil opowiadała jej o straszliwym losie czekającym owych chełpliwych nieprzyjaciół Boga-Króla, których dusze skazane są na wieczną rozłąkę ze światem życia i blasku!

Czy jednak to, o czym opowiadał jej Ged, niezmienna kraina pełna pyłu i cieni, do której trafiał jego lud — czy było to mniej straszne, mniej przerażające?

W jej głowie dźwięczały pytania, na które nie znała odpowiedzi. Skoro nie jest już Kargijką, skoro zdradziła uświęcone miejsce, czy po śmierci także musi trafić do suchej krainy? Czy Ged musi tam pójść, czy będą tam mijać się obojętnie? Niemożliwe. A jeśli on tam trafi, a ona się odrodzi i rozstaną się na całą wieczność?

Nie chciała o tym myśleć. To oczywiste, czemu przyśniła jej się Malowana Komnata, choć odkąd widziała ją ostatnio, minęło tak wiele lat. Sprawiło to spotkanie z ambasadorami, rozmowy po kargijsku. Leżała niespokojnie, zdenerwowana i wystraszona. Nie chciała powracać myślami do koszmarów młodości, pragnęła wrócić do domu na Overfell, leżeć obok Geda, słuchać oddechu śpiącej córki. Ged sypiał cicho jak kamień, ale ogień uszkodził gardło Tehanu, toteż jej oddech zawsze brzmiał nieco chrapliwie. I Tenar słuchała go, nasłuchiwała każdej nocy, rok po roku. Oto życie, powrót życia, ów ukochany dźwięk, cichy chrapliwy oddech.

Nasłuchując go teraz, w końcu znów zasnęła i jeśli coś jej się śniło, to jedynie jasne przestworza i barwy poranka na niebie.

* * *

Olcha ocknął się bardzo wcześnie. Kocię całą noc wierciło się niespokojnie, podobnie on. Ucieszył się, mogąc wreszcie wstać i podejść do okna. Sennie patrzył, jak niebo nad portem jaśnieje, łodzie rybackie wypływają w morze, a żagle okrętów wynurzają się z niskiej mgiełki spowijającej olbrzymią zatokę. Słuchał szumu i pomruku budzącego się do życia miasta. Właśnie gdy zaczął się zastanawiać, czy powinien wyjść z sypialni i zaryzykować zgubienie w labiryncie pałacu, by dowiedzieć się, co ma robić, usłyszał pukanie do drzwi. Nieznajomy człowiek przyniósł mu tacę owoców i chleba, dzbanek mleka i małą miseczkę mięsa dla kotka.

— Gdy ogłoszą piątą godzinę, przyjdę, by zaprowadzić cię, panie, do króla — poinformował uroczyście Olchę, po czym znacznie mniej uroczyście udzielił mu wskazówek, jak trafić do pałacowych ogrodów, jeśli zapragnie się przejść.

Olcha wiedział rzecz jasna, że północ od południa dzieli sześć godzin, a kolejnych sześć — południe od północy. Nigdy dotąd jednak nie słyszał, by je ogłaszano, i zastanawiał się, co to znaczy.

Wkrótce dowiedział się, iż w Havnorze na taras, z którego wyrasta najwyższa pałacowa wieża zwieńczona smukłą stalową klingą miecza bohatera, wychodzą czterej trębacze i o czwartej i piątej godzinie przed południem, w południe oraz o pierwszej, drugiej i trzeciej po południu dmą w trąby — jeden ku zachodowi, drugi ku północy, trzeci ku wschodowi, czwarty ku południu. Dzięki temu dworzanie z pałacu oraz kupcy i żeglarze z miasta mogli umawiać się i planować spotkania o wyznaczonej godzinie. Wyjaśniło to Olsze dziecko spotkane w ogrodzie; drobny, szczupły chłopak w zdecydowanie przydługiej tunice. Dodał też, iż trębacze wiedzą, kiedy odegrać sygnał, bo w wieży kryją się wielkie piaskowe zegary, a także Wahadło Ath, które zwisa z najwyższego sklepienia i pchnięte w chwili ogłoszenia godziny przestaje się kołysać wraz z jej upływem. Chłopak wyjaśnił, iż melodie, które odgrywają trębacze, stanowią część „Lamentu po śmierci Erreth-Akbego”, napisanego przez króla Mahariona po powrocie z Selidoru. Każdej godzinie towarzyszył inny fragment; jedynie w południe odgrywali całość. Jeśli pragnie się znaleźć gdzieś o określonej porze, trzeba spoglądać na tarasy, bo trębacze zawsze wychodzą na nie kilka minut wcześniej, a jeśli świeci słońce, srebrzyste trąby lśnią i migocą w jego promieniach. Chłopiec nazywał się Rody, przybył do Havnoru wraz z ojcem, władcą Metamy z wysp Ark, aby przez rok uczęszczać do pałacowej szkoły. Miał dziewięć lat i bardzo tęsknił za matką i siostrą.

Olcha wrócił do swej komnaty akurat na czas, by spotkać się z

przewodnikiem. Denerwował się już znacznie mniej, bo dzięki rozmowie z dzieckiem przypomniał sobie, iż synowie władców także są dziećmi. Władcy to ludzie, a on nie ludzi winien się lękać.

Przewodnik poprowadził go korytarzami pałacu do długiej jasnej sali. Jej okna wychodziły na wieże Havnoru i fantastyczne mosty spinające łukami brzegi kanałów i przerzucone ponad ulicami z dachu na dach, z tarasu na taras. Olcha kątem oka dostrzegł ową wspaniałą panoramę, gdy niepewnie zatrzymał się tuż za progiem. Nie wiedział, czy powinien pójść naprzód i dołączyć do grupki ludzi czekającej po drugiej stronie sali.

Król ujrzał go, podszedł, powitał uprzejmie, zaprowadził do pozostałych i przedstawił mu ich kolejno.

Kobieta około pięćdziesiątki, niska, o bardzo jasnej skórze, siwiejących włosach i wielkich szarych oczach. Tenar, powiedział z uśmiechem król. Tenar od Pierścienia. Spojrzała Olsze prosto w oczy i powitała go cicho.

Mężczyzna, mniej więcej w wieku króla, odziany w aksamit i lekkie płótno, z klejnotami u pasa, u szyi, z wielkim rubinem w uchu. Kapitan Tosla, oznajmił król. Tosla miał twarz ciemną niczym stare dębowe drewno, mądrą i zdecydowaną.

Mężczyzna w średnim wieku, w prostym stroju, o obliczu spokojnym i budzącym zaufanie. Książę Sege z rodu havnorskiego, oświadczył król.

Mężczyzna około czterdziestki, trzymający w dłoni wysoką jak on sam drewnianą laskę, po której Olcha poznał, że ma do czynienia z magiem ze szkoły na Roke. Zmęczona, postarzała twarz, piękne dłonie, zachowanie wyniosłe, lecz uprzejme. Mistrz Onyks, przedstawił go król.

I kobieta, którą Olcha z początku wziął za służącą — z powodu ubogiego stroju, a także dlatego że trzymała się z dala od reszty, odwrócona, jakby wyglądała przez okno. Gdy król poprowadził ją naprzód, Olcha ujrzał kaskadę pięknych czarnych włosów, ciężkich i lśniących.

— Tehanu z Gontu — powiedział król. Jego głos zadźwięczał niczym wyzwanie.

Przez chwilę kobieta patrzyła wprost na Olchę. Była młoda, lewą stronę twarzy miała gładką, miedzianoróżową. Pod wygiętą brwią lśniło ciemne oko. Prawą stronę, bezoką, pokrywała jedna wielka pofałdowana blizna. Prawa dłoń Tehanu przypominała wygięty kruczy szpon.

Wzorem pozostałych kobieta wyciągnęła do Olchy rękę, jak nakazywał zwyczaj z Ea i Enladów. Podała mu jednak lewą dłoń. Ich pałce zetknęły się, potem dłonie. Jej ręka była gorąca, niemal paliła. Dziewczyna spojrzała na niego ponownie, przeszywająco, z napięciem;

jedyne oko zalśniło. Potem odwróciła wzrok i cofnęła się, jakby pragnęła znaleźć się gdzie indziej.

— Pan Olcha przynosi wiadomość dla ciebie od twego ojca, Jastrzębia z Gontu — oznajmił król, widząc, iż posłaniec nie może wykrztusić ni słowa.

Tehanu nie podniosła głowy. Lśniące czarne włosy niemal całkowicie ukrywały twarz.

— Pani — rzekł Olcha ochryple, czując suchość w ustach — miałem zadać ci dwa pytania… — urwał, bo musiał zwilżyć wargi i odetchnąć, ogarnięty nagłą paniką, że zapomniał, co miał rzec. I chwila ta przerodziła się w pełną wyczekiwania ciszę.

— Zadaj je — powiedziała w końcu Tehanu głosem bardziej ochrypłym niż głos Olchy.

— Prosił, by spytać najpierw, kim są ci, którzy udają się do suchej krainy. A gdy już się żegnaliśmy, dodał: Spytaj też mą córkę, czy smok może przekroczyć kamienny mur.

Tehanu skinęła głową i cofnęła się o krok, jakby chciała zabrać ze sobą swe zagadki.

— Sucha kraina — rzekł król — i smoki…

Przez moment wodził czujnym wzrokiem od twarzy do twarzy.

— Chodźcie — polecił w końcu — usiądźmy i porozmawiajmy.

— Czy moglibyśmy pomówić w ogrodzie? — zaproponowała niska szarooka kobieta, Tenar. Król zgodził się natychmiast. Olcha usłyszał, jak dodała, przechodząc obok niego: — Trudno jej cały dzień spędzać w zamknięciu. Pragnie nieba nad głową.

Ogrodnicy ustawili dla nich krzesła w cieniu starej rozłożystej wierzby przy jednej z sadzawek. Tehanu stanęła na brzegu, spoglądając w zieloną wodę, w której leniwie pływało kilka wielkich, srebrzystych karpi. Wyraźnie chciała zastanowić się nad słowami ojca, nie uczestniczyć w rozmowie. Słyszała jednak każde słowo.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, król poprosił, by Olcha raz jeszcze opowiedział swą historię. Słuchali uważnie, ze współczuciem, mógł zatem mówić bez obaw i pośpiechu. Kiedy skończył, długą chwilę milczeli. W końcu czarnoksiężnik Onyks zadał mu jedno pytanie:

— Czy śniłeś zeszłej nocy?

Olcha odparł, iż nie przypomina sobie żadnych snów.

— A ja tak — rzekł Onyks. — Śnił mi się Mistrz Przywołań, który był mym nauczycielem w szkole na Roke. Powiadają o nim, że umarł dwa razy, bo powrócił z krainy za murem.

— Ja śniłam o duchach, które się nie odradzają — wtrąciła cicho Tenar.

— Przez całą noc zdawało mi się, że słyszę na ulicach głosy — dodał książę Sege. — Głosy, które znałem z dzieciństwa, nawołujące jak kiedyś. Gdy jednak wyjrzałem przez okno i wytężyłem wzrok,

okazało się, iż to krzyczą strażnicy i pijani żeglarze.

— Ja nigdy nie miewam snów — oświadczył Tosla.

— Ja natomiast nie śniłem o tamtej krainie — rzekł król. — Wspominałem ją i nie mogłem przestać wspominać.

Spojrzał na Tehanu. Nadal patrzyła w wodę. Milczała.

Nikt więcej się nie odezwał i Olcha nie mógł znieść ciszy.

— Jeśli przyniosłem ze sobą zarazę, musicie mnie stąd odprawić!

— Skoro Roke wysłała cię na Gont, a Gont do Havnoru, to właśnie w Havnorze powinieneś się znaleźć — oznajmił czarnoksiężnik Onyks. Jego głos nie zabrzmiał rozkazująco, lecz było w nim coś ostatecznego.

— Wiele głów rzadko myśli jasno — zauważył ironicznie Tosla.

— Zostawmy na razie sny — powiedział Lebannen. — Nasz gość musi się dowiedzieć, co zajmowało nas przed jego przybyciem. Czemu błagałem o przyjazd Tenar i Tehanu, i czemu wezwałem na naradę Toslę. Opowiesz o tym Olsze, Toslo?

Mężczyzna o ciemnej twarzy przytaknął. Rubin w jego uchu lśnił niczym kropla krwi.

— Chodzi o smoki — zaczął. — Od kilku lat na Zachodnich Rubieżach nawiedzają farmy i wioski na Ully i Usidero. Latają nisko, chwytając szponami dachy domów, potrząsają nimi, sieją przerażenie wśród ludzi. Już dwukrotnie zjawiły się na Toringatach w porze żniw i podpaliły oddechem pola, stogi oraz strzechy domostw. Nie atakowały ludzi, lecz w pożarach kilku zginęło. Nie zaatakowały dworów władców owych wysp, szukając skarbów jak kiedyś, w mrocznych latach. Tylko wioski i pola. Te same wieści przynieśli kupcy zapuszczający się za ziarnem na południowy zachód, aż po Simly. W porze żniw zjawiły się smoki i spaliły zbiory.

A zeszłej zimy na Semel dwa smoki usiadły na szczycie wulkanu Andanden.

Onyks westchnął głośno, po czym, widząc pytające spojrzenie króla, rzekł:

— Czarnoksiężnik Seppel z Palnu mówi, iż góra ta to dla smoków najświętsze z miejsc. W pradawnych czasach przybywały tam, by spijać ogień z wnętrza ziemi.

— No cóż, wróciły — odparł Tosla. — Zaczęły też płoszyć stada stanowiące bogactwo tamtejszych ludzi. Nie robią zwierzętom krzywdy, tylko straszą. Ludzie powiadają, że to młode smoki, czarne i wychudzone, nie mające zbyt wiele ognia.

— Na Palnie, w górach, w północnej części wyspy, dzikiej bezludnej krainie, smoki zamieszkały. Kiedyś myśliwi polowali tam na muflony i chwytali sokoły. Obecnie przegnały ich smoki i nikt już w góry nie chodzi. Może twój pelnijski czarnoksiężnik coś o tym wie.

Onyks skinął głową.

— Mówił, że nad szczytami widywano ich stada, niczym klucze dzikich gęsi.

— Wyspę Havnor od Palnu i Semel oddziela jedynie Morze Pelnijskie — zauważył książę Sege.

Olcha pomyślał, iż od Semel do jego rodzinnej wyspy Taon jest tylko sto mil.

— Tosla wyruszył swym statkiem „Rybitwa" na Smoczy Szlak — powiedział król.

— Lecz zaledwie ujrzałem pierwszą z owych wysp, pojawiło się stado owych bestii — dodał Tosla, uśmiechając się gorzko. — Przegnały mnie, tak jakbym był krową albo owcą. Opadały w dół i przypalały żagle. W końcu uciekłem tam, skąd przybyłem. Lecz to nic nowego.

Onyks ponownie skinął głową.

— Nikt oprócz Władcy Smoków nie przepłynął nigdy Smoczego Szlaku.

— Ja owszem — król uśmiechnął się nagle szeroko, chłopięco — ale byłem wtedy z Władcą Smoków… Właśnie o tamtych czasach myślałem. Gdy podróżowaliśmy z Arcymagiem po Zachodnich Rubieżach w poszukiwaniu czarnego maga Coba, minęliśmy Jessage, leżącą dalej nawet niż Simly, i ujrzeliśmy na niej wypalone pola. A na Smoczym Szlaku widzieliśmy smoki walczące ze sobą i zabijające się niczym oszalałe zwierzęta.

Po długiej chwili odezwał się książę Sege:

— Może owych smoków nie opuścił obłęd tamtych złych czasów.

— Minęło ponad piętnaście lat — zauważył Onyks. Olcha spostrzegł, że mag zerka na Tehanu stojącą z boku przy stawie. — Ale też smoki żyją bardzo długo. Pewnie czas płynie dla nich inaczej. A jednak dopiero w ciągu ostatniego roku czy dwóch zaczęły atakować ludzi.

— Tego nie uczyniły — poprawił Tosla. — Gdyby smok chciał zabić ludzi z farmy bądź wioski, kto zdołałby go powstrzymać? Chodziło im o dobytek, zbiory, stogi, domy, bydło. Jakby mówiły: Odejdźcie. Wynoście się z Zachodu.

— Czemu jednak mówią to poprzez ogień i chaos? — spytał ostro Onyks. — Potrafią przecież mówić. Władają Mową Tworzenia. Morred i Erreth-Akbe rozmawiali ze smokami. Nasz Arcymag także.

— Te, które widzieliśmy na Smoczym Szlaku, utraciły swoją mowę — wyjaśnił król. — Otwarta przez Coba wyrwa w świecie odbierała im moc, tak jak nam. Jedynie wielki smok Orm Embar przybył do nas i przemówił do Arcymaga, radząc, by udał się na Selidor — zawiesił głos, patrząc w dal. — A i Orm Embar przed śmiercią utracił zdolność mowy. — I znów król odwrócił wzrok. Dziwne światło rozjaśniło jego twarz. — Zginął dla nas. Otworzył nam

drogę do mrocznej krainy.

Jakiś czas wszyscy milczeli. W końcu ciszę przerwała Tenar:

— Kiedyś Krogulec powiedział mi… nie wiem, czy przypomnę sobie dokładnie… że smok i mowa smoka to jedno i to samo, jedność. Smok nie uczy się Dawnej Mowy, on nią jest.

— Tak jak rybitwa jest lotem, a ryba pływaniem — dodał wolno Onyks. — O tak.

Tehanu słuchała, stojąc bez ruchu na brzegu stawu. Teraz wszyscy patrzyli wprost na nią. Twarz jej matki zdradzała napięcie. Tehanu odwróciła głowę.

— Jak sprawić, by smok z nami porozmawiał? — spytał król. Powiedział to lekko, jakby żartem, lecz po jego słowach zapadła kolejna długa cisza. — Cóż — rzekł w końcu — mam nadzieję, że się dowiemy. Teraz zaś, mistrzu Onyksie, skoro mowa o smokach, zechcesz opowiedzieć nam historię o dziewczynie, która przybyła do szkoły na Roke? Nikt z nas, oprócz mnie, jej nie słyszał.

— Dziewczyna w szkole! — Tosla uśmiechnął się drwiąco. — Na Roke musiały zajść wielkie zmiany!

— Istotnie. — Mag posłał mu długie, chłodne spojrzenie. — Działo się to jakieś osiem lat temu. Przybyła z Way w przebraniu młodego mężczyzny. Chciała uczyć się sztuki magicznej. Oczywiście jej nędzne przebranie nie oszukało Odźwiernego, a jednak ją wpuścił i stanął po jej stronie. W owym czasie szkołą kierował Mistrz Przywołań, ten sam — zawahał się chwilę — o którym, jak wspominałem, śniłem zeszłej nocy.

— Zechciałbyś opowiedzieć nam coś więcej o tym człowieku, Mistrzu Onyksie? — poprosił król. — To był Thorion, który powrócił z martwych?

— Tak. Gdy Arcymag długo nie wracał i nie mieliśmy żadnych wieści, lękaliśmy się, że nie żyje. Mistrz Przywołań użył swojej sztuki, aby sprawdzić, czy istotnie Arcymag przekroczył mur. Został tam długo i mistrzowie o niego także zaczęli się lękać. W końcu jednak się ocknął, mówiąc, że Arcymag był wśród umarłych. Nie chciał powrócić, lecz nakazał to Thorionowi, mówiąc, że ma kierować szkołą na Roke. Wkrótce jednak smok przyniósł do nas żywego Arcymaga Krogulca wraz z mym panem Lebannenem… A potem, gdy Arcymag znów odszedł, Mistrz Przywołań padł na ziemię i leżał, jakby życie z niego uszło. Mistrz Ziół mimo całej swej sztuki sądził, że nie żyje. Ale gdy byliśmy już gotowi go pogrzebać, poruszył się i odezwał. Mówił, iż powrócił do życia, aby uczynić to, co musi być zrobione. Ponieważ nie potrafiliśmy wybrać nowego Arcymaga, Mistrz Przywołań Thorion kierował szkołą. — Onyks milczał chwilę. — Kiedy zjawiła się dziewczyna, Odźwierny wpuścił ją do Domu, lecz Thorion nie życzył sobie jej obecności, nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Mistrz

Wzorów zabrał ją do Gaju i jakiś czas mieszkała wśród drzew i wędrowała z nim razem. Wraz z Odźwiernym, Mistrzem Ziół i Mistrzem Imion Kurremkarmerrukkiem uważali, iż istnieje powód, dla którego przybyła na Roke. Że choć sama o tym nie wie, jest wysłanniczką bądź zwiastunem wielkich wydarzeń. Toteż ją ochraniali. Inni mistrzowie posłuchali Thoriona, który twierdził, że dziewczyna przynosi jedynie niezgodę i ruinę, i powinno się ją wygnać. Ja sam byłem wówczas studentem. Ogromnie niepokoił nas fakt, że nasi mistrzowie, sami pozbawieni mistrza, kłócą się między sobą.

— I to z powodu dziewczyny — dodał Tosla.

Tym razem Onyks posiał mu lodowate spojrzenie.

— Owszem — przytaknął i urwał. Po minucie podjął opowieść. — Krótko mówiąc, kiedy Thorion wysłał kilkunastu z nas, abyśmy zmusili ją do opuszczenia wyspy, rzuciła mu wyzwanie. Oznajmiła, że spotka się z nim tego wieczoru na Pagórku Roke. Zjawił się i przywołał ją jej imieniem, Irian, by była mu posłuszna. Ona jednak odparła: „Nie jestem tylko Irian", i mówiąc to, przemieniła się. Stała się… przyjęła postać smoka. Dotknęła Thoriona, a on rozsypał się w proch. Potem wspięła się na wzgórze. Patrząc na nią, nie wiedzieliśmy, czy widzimy płonącą jak ogień kobietę, czy też skrzydlatą bestię. Gdy jednak dotarła na szczyt, ujrzeliśmy wyraźnie: była smokiem jasnym niczym złocistoczerwony płomień. Uniosła skrzydła i odleciała na zachód.

Jego głos złagodniał, twarz rozjaśniła się dawnym podziwem. Nikt się nie odezwał.

W końcu czarodziej odchrząknął.

— Nim weszła na Pagórek, Mistrz Imion spytał ją: Kim jesteś? Odparła, że nie zna swego drugiego imienia. Wówczas przemówił do niej Mistrz Wzorów, pytając, dokąd pójdzie i czy powróci. Odparła, że udaje się poza zachód, by poznać swoje imię od własnego ludu. Przybędzie jednak, jeśli on ją wezwie.

W ciszy odezwał się ochrypły, słaby głos, szorstki niczym metal trący o metal. Olcha nie zrozumiał słów, a przecież zabrzmiały znajomo, jakby powinien pamiętać, co znaczą.

Tehanu podeszła do maga i stanęła obok, napięta niczym naciągnięta cięciwa. To ona się odezwała.

Zdumiony i wstrząśnięty czarodziej spojrzał na nią, wstał i cofnął się o krok.

— Owszem, tak brzmiały jej słowa — powiedział w końcu, odzyskując panowanie nad sobą. — Mój lud poza zachodem.

— Wezwij ją, och, wezwij ją! — szepnęła Tehanu, wyciągając ku niemu obie ręce. I znów odruchowo cofnął się przed nią.

Tenar wstała.

— O co chodzi? — spytała cicho. — Co się stało, Tehanu?

Tehanu powiodła po nich wzrokiem. Olcha miał wrażenie, że jej spojrzenie przenika przez niego, jakby był tylko zjawą.

— Wezwijcie ją tutaj. — Spojrzała na króla. — Możesz ją wezwać?

— Nie mam takiej mocy. Może Mistrz Wzorów z Roke, może ty sama?

Tehanu gwałtownie pokręciła głową.

— Nie, nie, nie, nie — szepnęła. — Nie jestem taka jak ona. Nie mam skrzydeł.

Lebannen spojrzał na Tenar, jakby prosił ją o radę. Tenar z boleśnie ściągniętymi brwiami patrzyła na córkę. Tehanu stanęła naprzeciw króla.

— Przepraszam — rzekła sztywno swym słabym, ochrypłym głosem. — Muszę pobyć sama, panie. Zastanowię się nad tym, co powiedział mój ojciec. Spróbuję odpowiedzieć na jego pytania, ale proszę, muszę zostać sama.

Lebannen skłonił się przed nią i zerknął na Tenar, która objęła córkę ramieniem. Razem odeszły słoneczną ścieżką pomiędzy fontannami.

Czterej mężczyźni znów usiedli. Przez kilka minut milczeli.

— Miałeś rację, Onyksie — rzekł w końcu Lebannen, a zwracając się do pozostałych, dodał: — Mistrz Onyks opowiedział mi historię kobiety-smoka, gdy ja opowiedziałem mu nieco o Tehanu. O tym, jak jako dziecko wezwała na Gont smoka Kalessina, jak rozmawiała z nim w Dawnej Mowie i jak Kalessin nazwał ją córką.

— Panie, to bardzo dziwne czasy, gdy smok jest kobietą, a nieuczona dziewczyna przemawia w Mowie Tworzenia. — Onyks był wyraźnie głęboko wstrząśnięty, przerażony. Olcha dostrzegł to i zastanowił się, czemu sam nie czuje lęku. Uznał, że zapewne nie wie dosyć, by się bać.

— Ale przecież jest mnóstwo starych opowieści — zauważył Tosla. — Nie słyszeliście ich na Roke? Może wasze ściany nie dopuszczają ich do was. To tylko legendy powtarzane przez prostych ludzi, pieśni. Jest taka marynarska piosenka, „Dziewka z Belilo", o tym, jak marynarz w każdym porcie zostawiał płaczącą dziewczynę, aż jedna z nich na mosiężnych skrzydłach doścignęła statek, chwyciła go z pokładu i zjadła.

Onyks spojrzał na Toslę z niesmakiem, a Lebannen się uśmiechnął.

— Dawny Mistrz Arcymaga, Aihal zwany Ogionem, opowiedział Tenar o kobiecie z Kemay. To była zwykła stara wieśniaczka. Zaprosiła Ogiona do swej chaty, poczęstowała go zupą rybną. Twierdziła, że ludzie i smoki byli kiedyś jednym ludem. Ona sama

miała być nie tylko kobietą, lecz i smokiem. A Ogion, mag, ujrzał w niej smoka… Tak jak ty w Irian, Onyksie — dodał król.

— Gdy Irian opuściła Roke, Mistrz Imion pokazał nam ustępy z najdawniejszych ksiąg wiedzy — odparł mag wyniośle, zwracając się wyłącznie do króla. — Nigdy do końca ich nie rozumieliśmy, ponoć jednak traktują o istotach będących zarówno ludźmi, jak i smokami. I o wielkim sporze, który je podzielił. Nic z tego jednak nie pojmujemy.

— Miałem nadzieję, że Tehanu pomoże nam to zrozumieć — rzekł Lebannen. Jego głos nie zdradzał niczego, toteż Olcha nie wiedział, czy król porzucił ową nadzieję, czy też wciąż ją żywi.

Ścieżką zbliżał się siwowłosy żołnierz, jeden z królewskiej gwardii. Lebannen wstał, podszedł do niego. Naradzali się cicho. Potem żołnierz odszedł pospiesznie. Król wrócił do swych towarzyszy.

— Mam nowiny. — W jego głosie zabrzmiało wyzwanie. — Na zachodzie Havnoru widziano wielkie stada smoków. Podpaliły lasy, a załoga statku przybrzeżnego słyszała od ludzi uciekających do Portu Południowego, że miasto Resbel płonie.

* * *

Tej nocy najszybszy królewski okręt popłynął na drugą stronę Zatoki Havnorskiej, niesiony bystrym magicznym wiatrem przywołanym przez Onyksa. O świcie dotarł do ujścia rzeki Onneva, w cieniu góry Onn. Na pokładzie był Lebannen i jego towarzysze. Wzięli z sobą jedenaście koni, pięknych, silnych, smukłych, z królewskiej stajni. Rzadko hodowano je na wyspach poza Havnorem i Semel. Tehanu dobrze znała osły, ale wcześniej nie widziała koni. Prawie całą noc pomagała stajennym uspokoić zwierzęta. Były to opanowane, dobrze wyszkolone wierzchowce, ale nie przywykły do morskich podróży.

Gdy na piaskach Onnevy nadeszła pora, by dosiąść koni, Onyks nie umiał sobie poradzić. Stajenni musieli mu pomóc. Tehanu natomiast tuż po królu wskoczyła w siodło. Ujęła wodze okaleczoną dłonią i w ogóle ich nie używała. Zdawało się, iż w dziwny sposób porozumiewa się ze swoją klaczą.

Niewielki orszak wyruszył na zachód u stóp gór Faliern, utrzymując całkiem niezłe tempo. Był to najszybszy sposób podróżowania, jaki mógł wybrać Lebannen. Opłynięcie wyspy dookoła trwałoby zbyt długo. Towarzystwo maga Onyksa zapewniało im przychylną pogodę, wolną od przeszkód drogę i ochronę przed wszystkim z wyjątkiem smoczego ognia. Przeciw smokom, gdyby

jakieś spotkali, nie mieli żadnej obrony. Może poza Tehanu.

Wieczorem przed wyjazdem Lebannen spotkał się ze swymi doradcami i oficerami gwardii. Szybko ustalił, że w żaden sposób nie można walczyć ze smokami ani bronić przed nimi miast i pól. Strzały na nic się nie zdawały, podobnie tarcze. Tylko najwięksi magowie potrafili pokonać smoka, nie miał jednak na służbie takiego maga i zapewne żaden wielki już nie żył. Jednakże król musiał bronić swych ludzi, znalazł więc tylko jedno rozwiązanie. Próbę pertraktacji ze smokami.

Ochmistrz był wstrząśnięty, gdy Lebannen skierował się do komnat, w których mieszkały Tenar i Tehanu. Król powinien wzywać do siebie tych, z którymi pragnie się spotkać, rozkazywać, żeby doń przybyli.

— Nie, jeśli zamierza ich błagać — rzekł Lebannen.

Kiedy zaskoczona pokojówka otworzyła drzwi, poprosił, by spytała Białą Panią i Kobietę z Gontu, czy mógłby z nimi pomówić. Pod takimi imionami mieszkańcy pałacu znali je obie. Podobnie jak król otwarcie nosiły swe prawdziwe imiona, co było tak rzadkie, tak bardzo niezgodne ze zwyczajem i prawem, zasadami bezpieczeństwa i przyzwoitości, że choć ludzie znali te imiona, nie chcieli ich wymawiać i woleli posługiwać się przydomkami.

Król pokrótce przekazał Tenar i Tehanu otrzymane wieści.

— Tehanu, możliwe, że ty jedna w całym mym królestwie możesz mi pomóc. Gdybyś mogła wezwać te smoki, tak jak kiedyś Kalessina; gdybyś miała nad nimi jakąś władzę, mogła z nimi pomówić i spytać, czemu wypowiedziały wojnę memu ludowi, uczyniłabyś to?

Młoda kobieta skuliła się i z lękiem odwróciła ku matce.

Lecz Tenar nie pozwoliła jej się ukryć. Stała bez ruchu.

— Tehanu — rzekła — dawno temu powiedziałam ci: Kiedy zwraca się do ciebie król, powinnaś odpowiedzieć. Byłaś wtedy dzieckiem i nie odpowiedziałaś. Teraz nie jesteś już dzieckiem.

Tehanu cofnęła się o krok. Niczym mała dziewczynka zwiesiła głowę.

— Nie mogę ich wezwać — powiedziała słabym, ochrypłym głosem. — Nie znam ich.

— Mogłabyś wezwać Kalessina? — spytał Lebannen.

Pokręciła głową.

— Za daleko — szepnęła. — Nie wiem gdzie.

— Przecież jesteś córką Kalessina — przypomniała Tenar. — Nie mogłabyś porozmawiać z tymi smokami?

— Nie wiem — rzekła Tehanu z nieszczęśliwą miną.

— Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że zgodziłyby się z tobą pomówić, że mogłabyś się z nimi porozumieć, błagam, spróbuj. Ja nie mogę z nimi walczyć, a nie znam ich mowy. Jak mam się dowiedzieć,

czego chcą od nas istoty, które mogą zniszczyć mnie jednym tchem, spojrzeniem? Pomówisz z nimi w moim imieniu? W naszym?

Przez chwilę milczała. W końcu odpowiedziała tak cicho, że ledwo usłyszał:

— Tak.

— Zatem przygotujcie się do wyjazdu. Wyruszamy o czwartej godzinie wieczoru. Moi ludzie zaprowadzą was na statek. I dziękuję ci, Tenar — dodał, na moment ujmując jej dłoń. Po czym odszedł, przed wyjazdem bowiem musiał dopilnować wielu spraw.

Gdy spóźniony szybkim krokiem dotarł na nabrzeże, ujrzał drobną postać w kapturze. Ostatni koń parskał i zapierał się przed wejściem na pokład, nie pozwalając poprowadzić się po trapie. Tehanu chwilę naradzała się ze stajennym. W końcu ujęła uzdę konia, porozmawiała z nim i razem spokojnie weszli na pokład.

Statki to małe, zatłoczone domy. Około północy Lebannen usłyszał cichą rozmowę dwóch stajennych.

— Ma dobrą rękę do zwierząt — rzekł jeden, a drugi, młodszy, odparł:

— O tak, ale wygląda strasznie, prawda?

— Jeśli koniowi to nie przeszkadza — powiedział pierwszy — czemu miałoby przeszkadzać tobie?

A drugi:

— Nie wiem. Ale tak jest.

Teraz, gdy zjechali z plaży Onnevy i zagłębiali się między wzgórza, gdzie droga rozszerzała się nieco, Tosla podjechał do króla.

— Ma być naszą tłumaczką, tak? — spytał, wskazując Tehanu.

— Jeśli zdoła.

— Cóż, w takim razie jest odważniejsza, niż sądziłem. Skoro podczas pierwszej rozmowy to ją spotkało, może się powtórzyć.

— Co masz na myśli?

— Prawie spłonęła żywcem.

— Nie zrobił tego smok.

— A więc kto?

— Ludzie, wśród których się urodziła.

— Jak to możliwe?!

— To byli złodzieje, włóczędzy. Miała wówczas pięć, sześć lat. Cokolwiek zrobiła, czy też oni zrobili, skończyło się na tym, że pobili ją do nieprzytomności i wepchnęli w ognisko. Pewnie myśleli, że nie żyje albo umrze, a inni potraktują to jako wypadek. Uciekli. Wieśniacy ją znaleźli, a Tenar przygarnęła.

Tosla podrapał się po uchu.

— Piękna opowieść o ludzkim dobru. Więc nie jest też córką starego Arcymaga. Ale czemu mówią o niej smoczy pomiot?

Lebannen żeglował z Toslą, walczyli razem w oblężeniu Sorry,

znał go i wiedział, że kapitan jest odważny, mądry, opanowany. Gdy szorstkie słowa Tosli raniły, król obwiniał własną delikatność.

— Nie wiem — odparł łagodnie. — Wiem tylko, że smok nazwał ją swą córką.

— Twój czarownik z Roke, Onyks, mówi, że na nic się tu nie przyda. Ale przecież zna Dawną Mowę, prawda?

— Tak, za pomocą kilku słów mógłby spalić cię na popiół. Nie zrobił tego dotąd z szacunku dla mnie, nie dla ciebie.

Tosla przytaknął.

— Wiem.

Cały dzień jechali co koń wyskoczy. O zmroku dotarli do miasteczka, w którym mogli nakarmić i oporządzić wierzchowce, a sami odpocząć w niezbyt wygodnych łóżkach. Ci z nich, którzy nie przywykli do końskiej jazdy, odkryli nagle, że ledwie mogą chodzić. Mieszkańcy miasta nie słyszeli o smokach. Oszołomiła ich groza i wspaniałość oddziału bogatych przybyszów, którzy zjawili się u nich, żądając owsa i noclegów, a płacili srebrem i złotem.

Na długo przed świtem znów wyruszyli w drogę. Od plaży Onnevy do Resbel było niemal sto mil. Drugiego dnia mieli pokonać niską przełęcz w górach Faliern i skierować się w dół ku zachodowi. Yenay, jeden z najbardziej zaufanych oficerów Lebannena, wysforował się naprzód, Tosla pilnował tyłów. Lebannen prowadził główną grupę. Jechał sennie naprzód w ciszy przedświtu, gdy nagle obudził go głośny tętent. Yenay wracał. Lebannen spojrzał w stronę, którą wskazywał żołnierz.

Właśnie wynurzyli się z lasu okalającego szczyt wzgórza. W pierwszym świetle brzasku widzieli przed sobą całą drogę aż do przełęczy. Po obu stronach wznosiły się czarne masywy gór, jeszcze ciemniejsze na tle ciemnoczerwonej łuny poranka.

Tyle że patrzyli ku zachodowi.

— To bliżej niż Resbel — zauważył Yenay. — Jakieś piętnaście mil. Klacz Tehanu, choć drobna, była najszybsza i przekonana, że powinna prowadzić. Kiedy Tehanu jej nie wstrzymywała, klaczka wyprzedzała kolejne wierzchowce, dopóki nie znalazła się na przedzie. Teraz, gdy Lebannen ściągnął wodze swego wielkiego wałacha, natychmiast zjawiła się obok niego. Tehanu spojrzała w stronę, w którą patrzył.

— Las płonie — rzekł.

Była do niego zwrócona pokrytą bliznami polową twarzy, toteż zdawała się ślepa. Widziała jednak i szponiasta dłoń trzymająca wodze zadrżała. Poparzone dziecko boi się ognia, pomyślał.

Cóż za okrutne szaleństwo, co za tchórzostwo sprawiło, że powiedział do tej dziewczyny: Porozmawiaj ze smokami, ocal moją skórę, i sprowadził ją w ogień?

— Zawracamy — oznajmił.

Tehanu uniosła zdrową rękę.

— Patrz — rzekła — patrz!

Iskra z ogniska, płomyk nad ciemną przełęczą, ognisty orzeł, smok. Leciał wprost ku nim.

Tehanu podniosła się w strzemionach i krzyknęła ochryple, przeszywająco, niczym morski ptak bądź jastrząb. W krzyku tym dźwięczało słowo, jedno słowo.

— Medeu!

Potężny stwór zbliżył się z przerażającą szybkością. Jego długie wąskie skrzydła leniwie biły w powietrzu. W łuskach nie odbijał się już ogień i w pierwszym świetle poranka wydawały się czarne czy może ciemnobrązowe.

— Uważajcie na konie — poleciła szorstko Tehanu.

W tym samym momencie szary wałach Lebannena ujrzał smoka i szarpnął się gwałtownie, potrząsając głową. Król mógł go jeszcze opanować, lecz za jego plecami jeden z koni zarżał panicznie. Odpowiedział mu głośny tupot i głosy stajennych. Mag Onyks wybiegł naprzód i stanął obok wierzchowca Lebannena. Wszyscy obserwowali nadlatującego smoka.

Znów Tehanu wykrzyknęła to słowo. Smok opadł niżej, zwolnił i zatrzymał się w powietrzu jakieś pięćdziesiąt stóp od nich.

— *Medeu*! — zawołała Tehanu.

Odpowiedź przyszła natychmiast, niczym echo.

— Me-de-uuu!

— Co to znaczy? — spytał Lebannen, schylając się do Onyksa.

— Brat, siostra — szepnął mag.

Tehanu zeskoczyła z konia, cisnęła wodze Yenayowi i ruszyła naprzód łagodnym zboczem, w miejsce gdzie unosił się smok. Jego długie skrzydła biły szybko, krótko, jak u czekającego jastrzębia. Skrzydła te jednak liczyły sobie pięćdziesiąt stóp szerokości od krańca do krańca. Każdemu uderzeniu towarzyszył odgłos przypominający walenie w kotły, grzechot mosiężnych blach. Gdy się zbliżyła, z otwartego smoczego pyska o długich zębach wypłynęła wąska smużka dymu.

Tehanu uniosła rękę — nie smukłą brązową, lecz tę spaloną, szpon. Blizny pozwalały podnieść ją zaledwie na wysokość głowy.

Smok obniżył się nieco, skłonił głowę i dotknął jej dłoni smukłym, rozszerzającym się na końcu, pokrytym łuskami pyskiem. Zupełnie jak pies, zwierzę obwąchujące na powitanie, pomyślał Lebannen. Jak sokół lądujący na przegubie; król składający ukłon przed królową.

Tehanu przemówiła, potem smok. Oboje krótko, głosami dźwięczącymi niczym metalowe cymbały. Kolejna wymiana zdań. Chwila ciszy. Potem smok zaczął coś mówić. Onyks słuchał w

napięciu. Jeszcze jedna wymiana słów, obłoczek dymu ze smoczych nozdrzy, sztywny wyniosły gest okaleczonej kobiecej dłoni. Tehanu wymówiła wyraźnie dwa słowa.

— Sprowadź ją — przetłumaczył szeptem czarodziej.

Smok mocno załopotał skrzydłami, skłonił długą głowę i syknął. Znów coś powiedział, po czym wzbił się w powietrze wysoko nad Tehanu, zawrócił, zatoczył koło i niczym strzała pomknął ku zachodowi.

— Nazwał ją Córką Najstarszego — wyszeptał mag.

Tehanu stała bez ruchu, odprowadzając smoka wzrokiem.

Potem się odwróciła. Wydawała się drobna i krucha, samotna na wielkim wzgórzu wśród lasów, w szarym świetle świtu. Lebannen zeskoczył z konia i podbiegi ku niej. Sądził, że zastanie ją wyczerpaną i przerażoną. Wyciągnął rękę, by pomóc jej iść, ona jednak powitała go uśmiechem. Jej twarz, na wpół piękna, na wpół straszna, jaśniała czerwonym blaskiem słońca, które jeszcze nie wzeszło.

— Nie zaatakują więcej. Zaczekają w górach — oznajmiła.

Potem rozejrzała się wokół, jakby nie wiedziała, gdzie jest, a gdy Lebannen ujął jej ramię, pozwoliła mu na to. Lecz ogień i uśmiech pozostały na jej twarzy i stąpała lekko.

Podczas gdy stajenni pilnowali koni skubiących wilgotną od rosy trawę, Onyks, Tosla i Yenay podeszli bliżej, utrzymując jednak pełen szacunku dystans.

— Moja pani, Tehanu — powiedział Onyks. — Nigdy nie widziałem większego pokazu odwagi.

— Ani ja — dodał Tosla.

— Bałam się — w głosie Tehanu nie dźwięczały żadne emocje — ale nazwałam go bratem, a on mnie siostrą.

— Nie rozumiałem wszystkiego — przyznał mag. — Nie znam Dawnej Mowy tak dobrze jak ty. Powiesz nam, o czym rozmawialiście?

Dziewczyna cały czas spoglądała ku zachodowi, tam gdzie odleciał smok. Niebo na wschodzie jaśniało, czerwony blask odległego ognia zaczynał słabnąć.

— Spytałam: Czemu palicie wyspę króla? Odpowiedział: Czas, abyśmy odzyskali nasze ziemie. Ja na to: Czy Najstarszy polecił wam zdobyć je ogniem? Wówczas rzekł, że Najstarszy, Kalessin, odszedł z Orm Irian poza zachód, by pofrunąć na innym wietrze. A młode smoki, które pozostały tu, na wiatrach tego świata, twierdzą, że ludzie złamali przysięgi i ukradli smocze ziemie. Powtarzają sobie, że Kalessin już nie wróci, a one nie chcą dłużej czekać, toteż przegnają ludzi ze wszystkich wysp zachodu. Ostatnio jednak Orm Irian powróciła. Jest teraz na Palnie, rzekł, a ja poprosiłam, by ją wezwał. Odparł, iż przybędzie na wezwanie córki Kalessina.

ROZDZIAŁ 3
SMOCZA RADA

Z okna swej komnaty w pałacu Tenar patrzyła, jak statek niosący na pokładzie Lebannena i jej córkę odpływa w mrok nocy. Nie zeszła na przystań z Tehanu. Trudno, bardzo trudno przyszło jej odmówić udziału w tej podróży. Tehanu błagała. Ona, która nigdy o nic nie prosiła. Nigdy nie płakała, nie potrafiła płakać, lecz teraz jej oddech załamał się w szlochu.

— Nie mogę, nie mogę popłynąć sama. Jedź ze mną, matko.

— Moja ukochana, serce moje. Gdybym mogła oszczędzić ci tego strachu, zrobiłabym to. Nie rozumiesz? Uczyniłam dla ciebie wszystko, co mogłam. Mój ognisty płomyczku, moja gwiazdko. Król ma rację, tylko ty, ty sama możesz tego dokonać.

— Ale gdybyś tam była, gdybym wiedziała, że jesteś…

— Zostanę tutaj. Musicie szybko dotrzeć do celu, czeka was trudna podróż. Ja bym was opóźniała, stanowiłabym jedynie ciężar. A ty bałabyś się o mnie. Nie potrzebujesz mnie, na nic ci się nie przydam. Musisz się tego nauczyć, Tehanu.

Po czym odwróciła się od swego dziecka i zaczęła sortować ubrania, które Tehanu miała wziąć ze sobą — domowe stroje, nie ozdobne, dworskie; solidne buty, ciepły płaszcz. Jeśli nawet płakała, nie pozwoliła, by córka to zobaczyła.

Tehanu stała oszołomiona, sparaliżowana lękiem. Gdy Tenar wręczyła jej nowe ubranie, dziewczyna wzięła je posłusznie. Kiedy porucznik królewski Yenay zapukał do drzwi i spytał, czy może zaprowadzić panią Tehanu na brzeg, popatrzyła jedynie na niego niczym spłoszone zwierzę.

— Idź już. — Tenar objęła córkę, położyła dłoń na wielkiej bliźnie pokrywającej pół jej twarzy. — Jesteś nie tylko moją córką, ale i Kalessina.

Dziewczyna długą chwilę obejmowała ją bardzo mocno, potem odwróciła się bez słowa i ruszyła w ślad za Yenayem.

Tenar stała bez ruchu, czując nagły chłód po ciepłym uścisku Tehanu.

Podeszła do okna. Światła w porcie, krzątający się ludzie, stukot końskich kopyt. Przy nabrzeżu czekał wysoki „Delfin”. Znała go. Ujrzała stojącą na brzegu Tehanu. Widziała, jak dziewczyna wchodzi na pokład, prowadząc spłoszonego konia. Lebannen podążył tuż za nią. Widziała, jak marynarze odrzucają cumy, jak statek porusza się powoli, ciągnięty przez wiosłowy holownik, który wyprowadził go na środek zatoki. Nagle w ciemności rozkwitły białe żagle. Światło latarni

na rufie odbijało się w ciemnej, falującej wodzie. Powoli malało, zamieniając się w mały jasny punkcik, i wreszcie zniknęło.

Tenar zaczęła krążyć po komnacie, zbierając odrzucone przez Tehanu ubranie — jedwabną koszulę i wierzchnią spódnicę. Podniosła lekkie sandały i nim odłożyła je na miejsce, przez moment przycisnęła do policzka.

Leżąc w łóżku, oczami duszy oglądała raz po raz tę samą scenę: oto droga i wędrująca samotnie Tehanu, a także węzeł, kłębowisko, czarna, wijąca się masa opadająca z nieba. Rój smoków, z których paszcz bucha ogień wprost ku niej. Płonące włosy, płonący strój… Nie, powiedziała w myślach Tenar, tak się nie stanie. Zmuszała się, by skupić myśli na czym innym. W końcu jednak znów widziała drogę, samotną Tehanu i czarny, ognisty węzeł na niebie, zbliżający się coraz bardziej.

Gdy niebo za oknem poszarzało, zasnęła wreszcie, wyczerpana. Śniło jej się, że wróciła do domu Starego Maga na Overfell, do swojego domu. Czuła ogromną, niewyobrażalną radość. Wzięła stojącą za drzwiami szczotkę, aby zamieść lśniącą dębową podłogę, bo Ged pozwolił, by pokrył ją kurz. Z tyłu domu ujrzała drzwi, których wcześniej tam nie było. Gdy je otwarła, zobaczyła mały, niski pokój o kamiennych ścianach pokrytych białą farbą. Czekał w nim Ged, przykucnięty, z łokciami na kolanach i bezwładnie wiszącymi rękami. Jego głowa nie była głową człowieka, ale sępa — małą, czarną, z zakrzywionym dziobem.

— Tenar — rzekł słabym, ochrypłym głosem — nie mam skrzydeł. — A kiedy to powiedział, wezbrał w niej taki gniew i groza, że się ocknęła, gwałtownie chwytając oddech. Ujrzała plamę słonecznego blasku na wysokich ścianach pałacowej komnaty. Z dali dobiegała słodka fanfara zwiastująca czwartą godzinę poranka.

Przyniesiono śniadanie. Zjadła odrobinę, rozmawiając z Jagodą, starszą służącą, którą wybrała z całego grona pokojówek i dam do towarzystwa przysłanych przez Lebannena. Jagoda była bystrą, sprawną kobietą, urodzoną w wiosce w głębi Havnoru. Tenar dogadywała się z nią lepiej niż z większością dworskich dam, które, uprzejme i pełne szacunku, w istocie nie wiedziały, co z nią począć, jak rozmawiać z kobietą będącą kargijską kapłanką i żoną farmera z Gontu. Łatwiej przychodziło im mile traktować Tehanu; sprawiała to jej nieśmiałość i skromność. Tehanu mogły współczuć, Tenar nie.

Natomiast Jagoda ją rozumiała. I tego ranka zdecydowanie dodała Tenar otuchy.

— Król przywiezie ją z powrotem całą i zdrową — tłumaczyła. — Sądzisz, że naraziłby twoją córkę na niebezpieczeństwo, przed którym nie zdołałby jej obronić? Nigdy! Nie on.

Jagoda tak bardzo wierzyła w prawdziwość swych słów, że Tenar

musiała się zgodzić, co odrobinę podniosło ją na duchu.

Potrzebowała jakiegoś zajęcia, bo cały czas brakowało jej Tehanu. Postanowiła porozmawiać z kargijską księżniczką. Przekonać się, czy dziewczyna jest gotowa nauczyć się kilku słów po hardycku lub chociaż zdradzić swoje imię.

Na Wyspach Kargadzkich ludzie nie mieli tajemnych prawdziwych imion, jak ci mówiący po hardycku. Podobnie jak tutejsze imiona użytkowe, imiona kargijskie często coś znaczyły — Róża, Olcha, Honor, Nadzieja. Bywały też tradycyjne, dziedziczone po przodkach. Ludzie podawali je otwarcie, szczycąc się starym imieniem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Tenar za wcześnie zabrano z domu, toteż nigdy się nie dowiedziała, czemu rodzice tak ją nazwali, podejrzewała jednak, że mogło tak być na pamiątkę babki albo prababki. Imię to odebrano jej, gdy została uznana za Arhę, Odrodzoną, Bezimienną, i zapomniała je, póki Ged jej go nie zwrócił. Dla niej i dla niego było to jej prawdziwe imię. Nie dawało nikomu nad nią władzy, ponieważ nie pochodziło z Dawnej Mowy, więc nie musiała go ukrywać.

Teraz zastanawiała się, czemu księżniczka swe imię ukrywa. Służki nazywały ją wyłącznie księżniczką albo panią, ambasador mówił o niej Najwyższa Księżniczka, córka Thola, pani z Hur-at-Hur i tak dalej. Biedaczka miała stanowczo za dużo tytułów. Czas, by zdobyła też imię.

Tenar wiedziała, że królewski gość nie powinien przechadzać się samotnie ulicami Haynoru. Zdawała sobie też sprawę z faktu, iż Jagoda ma obowiązki w pałacu. Poprosiła zatem o służącego, który mógłby jej towarzyszyć. Wkrótce w jej komnacie pojawił się uroczy lokaj, czy może lokajczyk, liczył sobie bowiem zaledwie piętnaście lat. Na każdym przejściu przez ulicę krzątał się wokół niej, jakby była zdziecinniałą staruszką.

Lubiła spacerować po mieście. Teraz, w drodze do Pałacu Rzecznego, musiała sama przed sobą przyznać, że łatwiej jej spacerować bez Tehanu u boku. Ludzie patrzyli na okaleczoną twarz i natychmiast odwracali wzrok, a Tehanu szła ze sztywną bolesną dumą, nienawidząc ich spojrzeń i tego, że się odwracają. Tenar cierpiała wówczas wraz z nią, może nawet bardziej.

Teraz jednak mogła przechadzać się powoli, oglądać uliczne przedstawienia, kramy, najróżniejsze oblicza i stroje z całego Archipelagu. Zejść z głównej drogi, pozwalając, by lokaj pokazał jej ulice, gdzie nad głowami wznosiły się szeregi malowanych mostów przerzuconych między dachami i tworzących ażurowe sklepienie, z którego zwisały pnącza pokryte czerwonymi kwiatami. Ludzie zawieszali w oknach na złoconych drążkach klatki z ptakami. Wydawało się, że w powietrzu rozkwitają ogrody.

Tak bym chciała, żeby Tehanu mogła to zobaczyć, pomyślała Tenar. Nie mogła jednak myśleć o Tehanu, o tym gdzie jest teraz.

Pałac Rzeczny, podobnie jak Nowy, powstał w czasach królowej Heru, pięćset lat wcześniej. Gdy Lebannen wstąpił na tron, pałac leżał w ruinie. Król odbudował go starannie i tak powstał uroczy, spokojny pałacyk, w którym było niewiele mebli, a ciemnych błyszczących podłóg nie wyścielały dywany. Rzędy wąskich okien-drzwi rozsuwały się, otwierając komnaty wprost na rzekę i wierzby. Można też było wyjść na głębokie drewniane balkony wzniesione nad wodą. Damy dworu opowiadały, że tu właśnie król lubił wymykać się czasem na noc, czy to sam, czy z kochanką. Sugerowały, iż może coś znaczyć fakt, że umieścił tu księżniczkę. Tenar podejrzewała, że po prostu nie chciał, by Kargijka zamieszkała z nim pod jednym dachem. Może jednak damy dworu miały rację?

Wartownicy w uroczystym rynsztunku poznali ją i przepuścili. Lokaje zaanonsowali przybycie Tenar, po czym odeszli wraz z jej towarzyszem rozbijać orzechy i plotkować (najwyraźniej stanowiło to ulubione zajęcie służących). Natychmiast zjawiły się damy dworu, witając ją serdecznie, uradowane widokiem nowej twarzy i złaknione wieści o królewskiej wyprawie przeciw smokom. Po dłuższych ceregielach w końcu wpuszczono ją do komnat księżniczki.

Podczas dwóch poprzednich wizyt Tenar musiała jakiś czas czekać w przedpokoju. Potem zakwefione służki wprowadzały ją do wewnętrznej komnaty, jedynego mrocznego pomieszczenia w jasnym pałacu. Tam, na środku, stała księżniczka w okrągłym kapeluszu, z którego opadał aż do ziemi czerwony woal. Wyglądała jak jeden ze sprzętów w komnacie, wmurowany, nieruchomy. Pani Iyesa nazwała ją ceglanym kominem i określenie to pasowało doskonale.

Tym razem wszystko potoczyło się inaczej. Gdy tylko Tenar znalazła się w przedpokoju, usłyszała dobiegający ze środka wrzask i tupot rozbiegających się ludzi. Księżniczka wypadła przez drzwi i z przeszywającym okrzykiem zarzuciła jej ramiona na szyję. Tenar była drobnej budowy, księżniczka wysoka, energiczna i silna, toteż zbiła ją z nóg i przytrzymała w mocnym uścisku.

— Och, pani Arho, pani Arho, uratuj mnie, uratuj! — krzyczała.

— Księżniczko, co się stało?

Księżniczka płakała, nie wiadomo — z ulgi czy ze strachu. Mówiła coś nieskładnie. Tenar zrozumiała jedynie coś o ofierze i smokach.

— W pobliżu Havnoru nie ma żadnych smoków — oświadczyła surowo, uwalniając się z objęć dziewczyny — i nikogo nie składamy w ofierze. O co chodzi? Co ci powiedziano?

— Kobiety mówiły, że przybywają smoki, a tutejsi ludzie zamiast kozy złożą w ofierze córkę króla, bo są czarnoksiężnikami. Boję się.

Księżniczka wytarła twarz. Zacisnęła pięści, próbując opanować

panikę. Była to prawdziwa, niepohamowana groza. Tenar pożałowała dziewczyny, nie okazała tego jednak. Jej towarzyszka musiała nauczyć się opanowania.

— Twoje kobiety nie są kształcone i nie znają hardyckiego dość, by zrozumieć, co mówią ludzie. A ty w ogóle nie mówisz po hardycku. Gdybyś mówiła, wiedziałabyś, że nie ma się czego bać. Czy widzisz, by tutejsi ludzie biegali po pałacu z płaczem i krzykiem?

Księżniczka spojrzała na nią. Nie miała na sobie kapelusza ani welonu, jedynie lekką przewiewną suknię, gdyż dzień był upalny. Tenar po raz pierwszy ujrzała coś więcej niż niewyraźną postać za czerwoną zasłoną. Choć oczy księżniczki napuchły od płaczu, a twarz pokrywały czerwone plamy, była wspaniała — płowowłosa i płowooka, o krągłych ramionach, pełnych piersiach i smukłej talii. Kobieta w pierwszym rozkwicie siły i urody.

— I nikt nie zostanie złożony w ofierze? — spytała w końcu.

— Nikt.

— Po co zatem przybywają smoki?

Tenar odetchnęła głęboko.

— Księżniczko, jest wiele rzeczy, o których powinnyśmy pomówić. Uważasz mnie za przyjaciółkę?

— Tak. — Księżniczka postąpiła krok naprzód i mocno chwyciła Tenar za ramię. — Jesteś moją przyjaciółką, nie mam innej. Przelałabym za ciebie mą krew.

Choć słowa te zabrzmiały śmiesznie, Tenar wiedziała, że są prawdziwe. Postarała się jak najmocniej powtórzyć gest dziewczyny.

— Jesteś moją przyjaciółką. Podaj mi swe imię.

Oczy księżniczki rozszerzyły się gwałtownie. Na górnej wardze pozostał ślad łez, dolna zadrżała. W końcu dziewczyna odetchnęła głęboko.

— Seserakh.

— Seserakh, nie nazywam się Arha, ale Tenar.

— Tenar — powtórzyła dziewczyna, mocniej ściskając jej ramię.

— Mam za sobą długą przechadzkę — oznajmiła Tenar, próbując odzyskać panowanie nad sytuacją — i jestem spragniona. Usiądźmy, proszę. Czy mogłabym dostać trochę wody? Potem porozmawiamy.

Księżniczka wybiegła z pokoju niczym polująca lwica. W wewnętrznych komnatach rozległy się krzyki i kolejne tupoty. Wkrótce zjawiła się jedna ze służących. Trzęsącymi się rękami poprawiała swój woal i mamrotała coś w tak niewyraźnym dialekcie, że Tenar nie zrozumiała ani słowa.

— Mów w przeklętym języku! — krzyknęła zza drzwi księżniczka.

— Usiąść? — spytała jękliwie kobieta w łamanym hardyckim. — Pić, pani?

Pośrodku ciemnego, dusznego pokoju ustawiono naprzeciw siebie

dwa krzesła. Seserakh stała obok jednego z nich.

— Chętnie usiadłabym na dworze, w cieniu nad wodą — powiedziała Tenar. — Jeśli masz ochotę, księżniczko.

Księżniczka krzyknęła, kobiety podbiegły i wyniosły krzesła na balkon. Tenar i Seserakh usiadły obok siebie.

— Tak lepiej. — Tenar westchnęła. Wciąż czuła się dziwnie, mówiąc po kargijsku. Nie sprawiło jej to żadnych trudności, ale nieustannie odnosiła wrażenie, że nie jest sobą, że to mówi ktoś inny, aktorka wcielająca się w cudzą rolę.

— Ty lubisz wodę? — spytała księżniczka. Jej twarz odzyskała normalną barwę śmietanki, oczy, już nie spuchnięte, miały barwę błękitnego złota czy może błękitu ze złotymi cętkami.

— Tak. A ty nie?

— Nienawidzę. Tam, gdzie żyłam, nie było wody.

— Na pustyni? Ja też mieszkałam na pustyni, aż do szesnastego roku życia. Potem przepłynęłam morze i przybyłam na zachód. Kocham morze, wodę, rzeki.

— Och, morze! — Seserakh skuliła się, ukrywając głowę w dłoniach. — Jakże go nienawidzę. Nienawidzę. Myślałam, że zwymiotuję duszę. Bez chwili przerwy, raz po raz, całymi dniami. Nigdy więcej nie chcę oglądać morza. — Zerknęła między gałązkami wierzby na cichy, płytki strumień w dole. — Tej rzeki się nie boję — dodała nieufnie.

Jedna z kobiet przyniosła tacę z dzbankiem i kubkami. Tenar pociągnęła długi łyk chłodnej wody.

— Księżniczko, mamy wiele do omówienia. Smoki wciąż przebywają daleko stąd na zachodzie. Król i moja córka wybrali się, by z nimi porozmawiać.

— Porozmawiać?

— Tak. — Zamierzała dodać coś więcej, jednak zmieniła temat. — A teraz proszę, opowiedz mi o smokach z Hur-at-Hur.

Gdy była dzieckiem na Atuanie, usłyszała, iż na Hur-at-Hur żyją smoki. Smoki w górach, rozbójnicy na pustyni. Hur-at-Hur była biedna i daleka. Nie pochodziło stamtąd nic dobrego oprócz opali, turkusów i drzewa cedrowego.

Seserakh westchnęła głęboko, do jej oczu napłynęły łzy.

— Myśli o domu sprawiają, że chce mi się płakać — wyjaśniła z tak szczerą prostotą, iż oczy Tenar także zwilgotniały. — Smoki żyją w górach, dwa, trzy dni drogi od Mesreth. Są tam tylko skały, nikt nie niepokoi smoków i one także nie niepokoją nikogo. Lecz raz w roku schodzą w dół, pełzną ścieżką. To gładka, pylista ścieżka wyżłobiona przez ich brzuchy, gdy tak wędrują co roku od początku czasu. Zwiemy ją Smoczą Drogą. — Widząc, iż Tenar słucha uważnie, księżniczka podjęła opowieść. — Przekroczenie Smoczej Drogi to tabu,

nie wolno postawić na niej stopy, trzeba ją okrążyć na południe od Miejsca Ofiary. Zaczynają nią pełznąć późną wiosną. Czwartego dnia piątego miesiąca zjawiają się wszystkie w Miejscu Ofiary. Nigdy się nie spóźniają. A wszyscy mieszkańcy Mesreth i okolicznych wiosek czekają tam na nie. Potem zaś, gdy wszystkie zejdą ze Smoczej Drogi, kapłani zaczynają ofiarę. To… Na Atuanie nie składacie wiosennej ofiary?

Tenar pokręciła głową.

— No cóż, dlatego właśnie się przestraszyłam. Bo widzisz, czasem to może być ludzka ofiara. Jeśli czasy nie były najlepsze, składali w ofierze córkę króla. W inne lata zwykłą dziewczynę, ale od bardzo dawna tego nie robili, odkąd byłam bardzo mała, a mój ojciec pokonał pozostałych królów. Od tego czasu składali w ofierze kozę i owcę. Chwytają krew do mis, tłuszcz ciskają w święty ogień i wzywają smoki. A smoki pełzną ku nim, piją krew i pożerają ogień. — Na moment zamknęła oczy, podobnie Tenar. — Potem wracają w góry, a my do siebie, do Mesreth.

— Jak duże są smoki?

Seserakh szeroko rozłożyła ręce.

— Czasem większe.

— I nie potrafią latać ani mówić?

— O nie. Nie mają skrzydeł, tylko kikuty. Wydają z siebie dziwny syk. Zwierzęta nie mówią, ale to święte zwierzęta, symbol życia, bo ogień to życie, a one jedzą ogień i wypluwają go z pysków. Są święte, bo przychodzą na wiosenną ofiarę. Nawet gdyby nie zjawił się żaden człowiek, smoki by przybyły i zgromadziły się w tamtym miejscu. Przychodzimy tam z powodu smoków; kapłani zawsze to powtarzają przed złożeniem ofiary.

Przez chwilę Tenar porządkowała w głowie zasłyszane fakty.

— Tu, na zachodzie — rzekła w końcu — smoki są duże, olbrzymie i umieją latać. To zwierzęta, a mimo to mówią. Są też święte i niebezpieczne.

— Cóż — zauważyła księżniczka — może smoki to tylko zwierzęta, ale bardziej nas przypominają niż przeklęci czarownicy.

Wypowiedziała to jako słowo, bez szczególnego nacisku. Tenar przypomniała sobie to określenie z dzieciństwa. Oznaczało ciemnych ludzi, hardyckich mieszkańców Archipelagu.

— Dlaczego?

— Bo smoki się odradzają! Jak wszystkie zwierzęta, jak my. — Seserakh spojrzała na Tenar ze szczerą ciekawością. — Sądziłam, że skoro byłaś kapłanką w najświętszym Miejscu Grobowców, wiesz o tych rzeczach więcej ode mnie.

— Ale my nie mieliśmy tam smoków — odparła Tenar. — Nic o nich nie słyszałam. Proszę, przyjaciółko, opowiedz mi.

— Spróbuję opowiedzieć ci tę historię. To opowieść zimowa, ale tu chyba można powtórzyć ją w lecie. Tutaj wszystko jest inaczej. — Westchnęła. — Na początku, no wiesz, u zarania dziejów, wszyscy byliśmy tacy sami, wszyscy ludzie i zwierzęta, i robiliśmy to samo. A potem nauczyliśmy się umierać i tym samym odradzać. Czasem jako ta sama istota, czasem inna. Nie ma to znaczenia, bo tak czy inaczej znów się umiera i odradza. Wcześniej czy później każdy z nas jest wszystkim.

Tenar przytaknęła. Jak dotąd historia brzmiała znajomo.

— Najlepiej jednak odrodzić się jako człowiek albo smok, bo to święte istoty. Każdy zatem stara się nie łamać tabu, przestrzegać Nakazów, by zwiększyć swe szansę ponownego stania się człowiekiem, a przynajmniej smokiem… Skoro tutejsze smoki umieją mówić i są wielkie, widzę, że może to być nagrodą. Stanie się jednym z naszych smoków nigdy nie wydawało mi się zbyt pociągające.

Historia opowiada o przeklętych czarownikach, którzy odkryli Vedurnan. Było to coś, nie wiem co, co powiedziało niektórym ludziom, że jeśli zgodzą się nigdy nie umrzeć i się nie odrodzić, mogą nauczyć się czarów. A oni to wybrali. Wybrali Vedurnan i odeszli wraz z nim na zachód. A on uczynił ich ciemnymi. Żyją tutaj. Wszyscy tutejsi ludzie to ci, którzy wybrali Vedurnan. Żyją, czynią przeklęte czary, ale nie mogą umrzeć. Tylko ich ciała umierają, reszta pozostaje w mrocznym miejscu i nigdy się nie odradza. Wyglądają jak ptaki, ale nie potrafią latać.

— Tak — szepnęła Tenar.

W jej umyśle zabrzmiała opowieść, którą Ogion usłyszał od kobiety z Kemay: na początku czasu ludzie i smoki byli tym samym. Lecz smoki wybrały wolność i dzikość, a ludzie bogactwa i władzę. Wybór, podział — czy to ta sama historia?

Ale w jej sercu krył się inny obraz. Ged przykucnięty w kamiennym pokoju. Mała czarna głowa, dziób…

— Vedurnan to nie pierścień, o którym wciąż gadają? Ten, który będę musiała założyć?

Tenar z wysiłkiem powróciła myślami z Malowanej Komnaty i pokoju z wczorajszego snu.

— Pierścień?

— Pierścień Urtakbego.

— Erreth-Akbego. Nie, to Pierścień Pokoju i założysz go, tylko jeśli i kiedy zostaniesz małżonką króla Lebannena. Aby się tak stało, musisz mieć wiele szczęścia.

Twarz Seserakh przybrała osobliwy wyraz — nie cyniczny bądź nadąsany, lecz pozbawiony nadziei, lekko rozbawiony, cierpliwy. Wyraz twarzy kobiety starszej o kilkadziesiąt lat.

— Nie ma w tym żadnego szczęścia, moja droga przyjaciółko

Tenar — odparła. — Muszę go poślubić, a wówczas będę stracona.

— Czemu miałabyś być stracona, jeśli go poślubisz?

— Bo wtedy będę musiała zdradzić mu moje imię. Jeżeli je wymówi, ukradnie mi duszę. To właśnie robią przeklęci czarownicy. Dlatego zawsze ukrywają swe imiona. A jeżeli ukradnie mi duszę, nie będę mogła umrzeć. Będę musiała żyć wiecznie, bez ciała, jak ptak, który nie lata, i nigdy się nie odrodzę.

— Dlatego właśnie ukryłaś imię?

— Tobie je podałam, przyjaciółko.

— Doceniam ten dar, przyjaciółko — odparła żywo Tenar. — Ale tu możesz ujawnić swe imię każdemu, komu tylko zechcesz. Nie mogą ukraść ci duszy, wierz mi, Seserakh. Poza tym możesz mu zaufać, on… nie zrobi ci krzywdy.

Dziewczyna zauważyła jej wahanie.

— Ale chciałby — powiedziała. — Tenar, przyjaciółko, wiem, kim tu jestem. W wielkim mieście Awabath, gdzie mieszka mój ojciec, byłam głupią, nieuczoną kobietą z pustyni, *feyagat*. Kobiety z miasta, dziewki o odsłoniętych twarzach, drwiły ze mnie i szturchały się łokciami na mój widok. A tu jest jeszcze gorzej. Nikogo nie rozumiem, a oni nie rozumieją mnie. I wszystko, wszystko jest zupełnie inne. Nie wiem nawet, co jem, to jedzenie czarnoksiężników sprawia, że kręci mi się w głowie. Nie wiem, jakie są tabu, nie ma tu kapłanów, których mogłabym spytać. Tylko magiczne kobiety, czarne, bez zasłon. I widzę, jak na mnie patrzą. Przez *feyag* wszystko widać. Widziałam jego twarz, jest bardzo piękny, wygląda jak wojownik. Ale to czarny czarownik i nienawidzi mnie. Nie mów, że to nieprawda, bo wiem, że tak jest. I myślę, że gdy pozna me imię, na zawsze pośle mą duszę do tego miejsca.

Po dłuższej chwili, patrząc na kołyszące się gałęzie wierzb nad leniwie płynącą wodą, czując smutek i znużenie, Tenar powiedziała:

— Zatem, księżniczko, musisz nauczyć się, jak sprawić, by cię polubił. Co innego ci pozostało?

Seserakh żałośnie wzruszyła ramionami.

— Byłoby lepiej, gdybyś rozumiała, co mówi — dodała Tenar.

— Bagaba, bagaba. Wszyscy tylko bełkoczą.

— A nasze słowa brzmią dla nich jak bełkot. Daj spokój, księżniczko, jak on może cię polubić, jeśli potrafisz mu powiedzieć tylko bagaba, bagaba? Spójrz — wskazała swą dłoń i wymówiła słowo, najpierw po kargijsku, potem po hardycku.

Seserakh posłusznie powtórzyła oba słowa. Poznawszy nazwy jeszcze kilku części ciała, nagle dostrzegła potencjał, jaki kryje w sobie znajomość obcego języka. Wyprostowała się.

— Jak czarnoksiężnicy mówią „król”?

— Agni. To słowo w dawnej mowie. Nauczył mnie go mąż.

Mówiąc to, uświadomiła sobie, że niemądrze robi, wprowadzając w tym momencie jeszcze jeden język. Lecz nie to przyciągnęło uwagę księżniczki.

— Masz męża? — Seserakh spojrzała na nią lwimi, lśniącymi oczami i roześmiała się w głos. — Och, jak cudownie! Myślałam, że jesteś kapłanką. Proszę, przyjaciółko, opowiedz mi o nim. Czy to wojownik, czy jest przystojny, kochasz go?

* * *

Gdy król wyruszył na spotkanie ze smokami, Olcha nie miał pojęcia, co ze sobą począć. Czuł się niepotrzebny, miał wrażenie, że jest pasożytem, bo tylko siedzi w pałacu i spożywa królewskie jedzenie. Dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu kłopotów, które ze sobą przywiózł. Nie mógł cały dzień siedzieć w komnacie, toteż wędrował ulicami, lecz bogactwa miasta i krążące wokół tłumy go onieśmielały. A że nie miał pieniędzy ani celu, mógł jedynie spacerować, póki nie poczuł znużenia. Wracał do Pałacu Mahariona, zastanawiając się, czy surowi strażnicy wpuszczą go z powrotem. Najlepiej czuł się w pałacowych ogrodach. Miał nadzieję, że znów spotka tam Rody'ego, lecz chłopiec już się nie pojawił. Może i dobrze. Olcha uważał, że nie powinien rozmawiać z ludźmi. Ręce, które sięgały ku niemu z krainy śmierci, ich także mogłyby pochwycić.

Trzeciego dnia po wyjeździe króla wybrał się na spacer wśród stawów. Dzień był bardzo gorący, wieczór duszny i upalny. Olcha wziął ze sobą Żurawia, by kociak mógł polować na owady pod krzakami. Sam usiadł na ławce obok rozłożystej wierzby i obserwował tłuste srebrzystozielone karpie. Czuł się samotny i zniechęcony. Miał wrażenie, że jego ochrona przed głosami i sięgającymi ku niemu rękami słabnie. Po co właściwie tu siedział? Czemu nie miałby raz jeszcze pogrążyć się we śnie, już na zawsze zejść ze wzgórza, skończyć z tym wszystkim? Nikt na świecie by go nie opłakiwał, a jego śmierć oszczędziłaby innym choroby, którą ze sobą przyniósł. Z pewnością mieli dość na głowie, walcząc ze smokami. Może gdyby tam zszedł, znów spotkałby Lilię…

Tak, ale po śmierci nie mogliby się dotknąć. Magowie twierdzili, że nawet by tego nie chciał, że umarli zapominają, co to znaczy żyć. Ale przecież Lilia sięgnęła ku niemu. Może z początku, przez jakiś czas, pamiętają jeszcze coś z życia? Dość, by szukać się nawzajem, spotykać, nawet jeśli nie mogą się już dotknąć?

— Olcho.

Powoli uniósł wzrok i ujrzał stojącą obok niską siwowłosą kobietę, Tenar. Dostrzegł troskę na jej twarzy, nie wiedział jednak, skąd się wzięła. Potem przypomniał sobie, iż jej córka, poparzona dziewczyna, odjechała z królem. Może dotarły do niej złe wieści, może wszyscy nie żyją.

— Jesteś chory, Olcho? — spytała.

Pokręcił głową. Rozmowy przychodziły mu z trudem. Teraz rozumiał już, jak łatwo byłoby w tamtej krainie w ogóle nie mówić, nie patrzeć ludziom w oczy, niczym się nie przejmować.

Usiadła na ławce obok niego.

— Wyglądasz, jakby coś cię trapiło.

Machnął lekceważąco ręką — wszystko w porządku, nieważne.

— Byłeś na Goncie, u mojego męża Krogulca. Jak on się miewał? Uważał na siebie?

— Tak — mruknął Olcha. Spróbował odpowiedzieć pełniej: — Był najmilszym gospodarzem.

— Cieszy mnie to — rzekła. — Martwię się o niego. Potrafi prowadzić dom równie dobrze jak ja, ale nie lubię zostawiać go samego… Proszę, opowiedz, co robił, gdy u nas byłeś.

Olcha odparł, że Krogulec zebrał śliwki i sprzedał je, że obaj naprawili ogrodzenie, że Krogulec pomógł mu spać.

Tenar słuchała uważnie, z powagą, jakby wszystkie te drobnostki miały równie wielkie znaczenie jak niezwykłe wydarzenia, o których rozmawiali w tym samym miejscu trzy dni wcześniej — umarli wzywający żywego do swej krainy, dziewczyna zmieniająca się w smoka, smoki podpalające wyspy zachodu.

I w istocie nie wiedział, co w ostatecznym rozrachunku liczy się bardziej — wielkie, doniosłe wydarzenia czy te drobne, codzienne.

— Chciałabym móc już wrócić do domu. — Kobieta westchnęła.

— Chciałbym móc powiedzieć to samo, ale na próżno. Myślę, że już nigdy nie wrócę do domu. — Nie miał pojęcia, czemu to powiedział, ale usłyszał własne słowa i zrozumiał, że są prawdziwe.

Przez chwilę przyglądała mu się spokojnymi szarymi oczami, nie zadając pytań.

— Chciałabym móc marzyć o tym, że wróci ze mną córka — rzekła w końcu — ale to także próżne marzenie. Wiem, że ona musi iść dalej. Nie wiem tylko dokąd.

— Zdradzisz mi, jaki ma dar, kim jest, co sprawiło, że król ją wezwał i zabrał ze sobą na spotkanie smoków?

— Och, gdybym wiedziała, kim jest, powiedziałabym ci — twarz Tenar była pełna smutku, miłości i goryczy. — Nie jest moją rodzoną córką. Zapewne zgadłeś albo już to usłyszałeś. Trafiła do mnie w dzieciństwie, ocalona z ognia… Gdy Krogulec do mnie powrócił, stała się także jego córką i uratowała nas oboje od okrutnej śmierci,

wzywając smoka Kalessina, zwanego Najstarszym, a ów smok nazwał ją swą córką. Jest zatem dzieckiem wielu i nikogo. Nie oszczędzono jej bólu, lecz ocalała z ognia. Może nigdy się nie dowiem, kim jest naprawdę. Chciałabym jednak, by w tej chwili siedziała tu, obok mnie, bezpieczna!

Pragnął ją pocieszyć, lecz nie znalazł pociechy w sercu.

— Opowiedz mi o swojej żonie, Olcho — poprosiła.

— Nie mogę — rzekł w końcu w ciszy, która tak łatwo zapadała między nimi. — Gdybym mógł, zrobiłbym to, pani Tenar. Przygniata mnie wielkie brzemię. Dziś ciąży mi strach, zgroza. Staram się myśleć o Lilii, ale widzę tylko ową ciemną pustynię ciągnącą się w dół, bez końca. Jej tam nie dostrzegam. Wszystkie wspomnienia, które były dla mnie niczym oddech i woda, trafiły do owej suchej krainy. Nic już nie pozostało.

— Przykro mi — szepnęła.

Długi czas siedzieli w milczeniu. Cienie stawały się coraz głębsze, było duszno, bardzo ciepło. Światła pałacu przeświecały przez rzeźbione okiennice i nieruchomą kaskadę wierzbowych witek.

— Coś się dzieje — oznajmiła Tenar. — Wielka zmiana dotyka świata. Może nie pozostanie nam nic, co znamy.

Olcha uniósł wzrok, spoglądając w ciemniejące niebo. Wyraźnie widział wieże pałacu; biały marmur i alabaster chwytały i odbijały resztki światła z zachodu. Olcha poszukał wzrokiem ostrza miecza na szczycie najwyższej wieży i ujrzał je, słaby srebrzysty błysk.

— Spójrz — rzekł.

Na samym czubku, niczym diament, zalśniła gwiazda. Na ich oczach gwiazda oderwała się od miecza i wzniosła w górę.

Gdzieś w dali usłyszeli podniesione głosy, tupot nóg. Potem dźwięk rogu, ostry rozkazujący okrzyk.

— Wrócili. — Tenar wstała.

Jakby zarażony podnieceniem, Olcha także podniósł się z ławki. Jego towarzyszka pospieszyła do pałacu, z którego okien widać było port. Nim jednak Olcha przywołał Żurawia, raz jeszcze spojrzał na miecz, teraz lśniący słabym blaskiem, i jaśniejącą w górze gwiazdę.

* * *

„Delfin” wpłynął do bezpiecznej zatoki gnany magicznymi podmuchami. Pochylał się naprzód, jego żagle wydymały się gwałtownie. Nikt w pałacu nie oczekiwał tak szybkiego powrotu króla, lecz gdy władca się zjawił, wszystko czekało w należytym porządku.

Na nabrzeżu natychmiast zaroiło się od dworzan, żołnierzy nie pełniących akurat służby i mieszkańców miasta gotowych powitać monarchę. Pieśniarze i harfiarze czekali, by wysłuchać, jak walczył i pokonał smoki, i ułożyć o tym ballady.

Zawiedli się jednak. Król wraz ze swym orszakiem skierował się wprost do pałacu, a żołnierze i marynarze ze statku powtarzali tylko: Pojechali do kraju nad plażą Onneva i po dwóch dniach wrócili. Czarodziej przysłał nam ptaka z wiadomością, bo już zdążyliśmy dopłynąć do ujścia zatoki, przecież zamierzaliśmy spotkać się z nimi w Porcie Południowym. Wróciliśmy, a oni czekali u ujścia rzeki, cali i zdrowi. Lecz nad południowymi Faliernami widzieliśmy dym płonących lasów.

Tenar znalazła się wśród tłumów na nabrzeżu i Tehanu podbiegła wprost do niej. Uścisnęły się mocno. Gdy ruszyły naprzód ulicami pośród świateł i radosnych głosów, Tenar pomyślała: Wszystko się zmieniło. Ona się zmieniła. Już nigdy nie wróci do domu.

Lebannen maszerował wśród swoich gwardzistów. Pełen napięcia i energii, wydawał się wyniosły, władczy, promienny.

— Erreth-Akbe! — wołali ludzie na jego widok. A także: — Syn Morreda!

Na stopniach pałacu odwrócił się ku nim. Jeśli chciał, potrafił mówić bardzo głośno, i teraz głos jego zadźwięczał wyraźnie, uciszając zamęt.

— Ludu Havnoru, posłuchaj. Kobieta z Gontu rozmawiała w naszym imieniu z wodzem smoków. Zawarliśmy rozejm. Jeden z nich do nas przybędzie. Smok przybędzie tu, do miasta Havnor, do pałacu Mahariona, nie niszczyć, lecz rozmawiać. Nadszedł czas, gdy ludzie i smoki muszą spotkać się i pomówić. Powiadam wam zatem, gdy zjawi się smok, nie lękajcie się go, nie walczcie z nim, nie uciekajcie, lecz powitajcie go znakiem pokoju. Powitajcie niczym wielkiego pana, który przybywa z daleka w pokoju. I nie bójcie się, chroni nas bowiem miecz Erreth-Akbego, pierścień Elfarran i imię Morreda. Na me własne imię przysięgam, że póki żyję, bronić będę tego miasta i tego królestwa.

Wszyscy słuchali, wstrzymując oddech. Potem rozległy się okrzyki i wiwaty. Lebannen zawrócił i zniknął w bramie pałacu.

— Pomyślałem, że lepiej będzie ich uprzedzić — dodał swym zwykłym cichym głosem, zwracając się do Tehanu, która przytaknęła. Mówił do niej niczym do towarzysza, a ona tak się zachowywała. Dostrzegła to Tenar i dworzanie.

Lebannen polecił, by o czwartej godzinie poranka zebrała się cała jego rada, i wszyscy się rozeszli. Zatrzymał przy sobie jeszcze chwilę Tenar, choć Tehanu już odeszła.

— To ona nas chroni — powiedział.

— Sama?

— Nie bój się o nią. To córka smoka, siostra smoka. Podąża tam, gdzie my nie możemy dotrzeć. Nie bój się o nią, Tenar.

Skłoniła głowę, przyjmując jego słowa.

— Dziękuję, że przyprowadziłeś ją do mnie bezpieczną. Przynajmniej na jakiś czas.

Stali na korytarzu wiodącym do zachodnich komnat pałacu. Tenar uniosła głowę i spojrzała na króla.

— Rozmawiałam o smokach z księżniczką.

— Z księżniczką — powtórzył martwym głosem.

— Ma imię. Nie mogę ci go zdradzić, bo uważa, że mógłbyś z niego skorzystać i zniszczyć jej duszę.

Skrzywił się.

— Na Hur-at-Hur żyją smoki. Małe i bezskrzydłe, nie potrafią też mówić. Są jednak święte, stanowią święty symbol, obietnicę śmierci i ponownych narodzin. Przypomniała mi, że nasz lud po śmierci nie idzie tam gdzie wasz. Nie do suchej krainy, o której mówił Olcha. My trafiamy gdzie indziej. Księżniczka, ja i smoki.

Twarz Lebannena zmieniła wyraz. Czujna rezerwa zniknęła, zastąpiona wyraźnym skupieniem.

— Pytania Geda do Tehanu — rzekł, zniżając głos. — Czy to są odpowiedzi?

— Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi księżniczka. Czy raczej przypomniała. Dziś wieczór pomówię o tym z Tehanu.

Król zmarszczył brwi, potem jego twarz pojaśniała. Pochylił się i ucałował Tenar w policzek, życząc jej dobrej nocy. Odszedł, a ona odprowadziła go wzrokiem. Poruszał jej serce, oszałamiał. Nie była jednak ślepa. Wciąż boi się księżniczki, pomyślała.

* * *

Sala tronowa była najstarszym pomieszczeniem w Pałacu Mahariona. Kiedyś mieścił się w niej dwór Gemala z Morza Zrodzonego, księcia z Hien, który został królem w Havnorze i z którego rodu wywodzili się królowa Heru i jej syn Maharion. „Pieśń Havnorska” mówi:

> Stu wojowników, kobiet sto zasiadło w dworze Gemala,
> U królewskiego stołu do rozmów.
> Godna i zacna szlachta z Havnoru,
> Świat nie zna śmielszych wojów ni piękniejszych niewiast.

Wokół tego właśnie dworu w ciągu stulecia potomkowie Gemala wznieśli jeszcze większy pałac. W końcu Heru i Maharion zbudowali Wieżę Alabastrową, Wieżę Królowej, Wieżę Miecza.

Wieże te wciąż stały. Od śmierci Mahariona minęło kilkaset lat, lecz ludzie z Havnoru z uporem nazywali budowlę Nowym Pałacem, choć leżała w ruinie. Gdy Lebannen wstąpił na tron, odbudował pałac i bogato wyposażył. Kupcy z Wysp Wewnętrznych, zdjęci radością, gdyż władza królewska gwarantowała prawa chroniące handel, wyznaczyli duże opłaty i dodatkowo ofiarowali mu pieniądze na podobne przedsięwzięcia. Przez pierwszych kilka lat jego panowania nie uskarżali się nawet na podatki, nie krzyczeli, że ich dzieci zostaną żebrakami. Lebannen zdołał zatem odnowić Nowy Pałac i sprawić, iż ponownie stał się godny i wspaniały. Salę tronową jednak, gdy wymieniono już belki sufitu, wzmocniono kamienne mury i wstawiono nowe szyby do wysokich, wąskich okien, pozostawił taką, jaką była, mroczną i surową.

Przez czas krótkiego panowania Fałszywych Dynastii i przez Mroczne Lata tyranów, uzurpatorów i władców piratów, wśród burz ludzkich ambicji tron królestwa stał niezmiennie na końcu długiej sali, na zwykłym podwyższeniu. Drewniane krzesło o wysokim oparciu. Niegdyś pokryto je złotem, jednakże drogocenny metal dawno już zniknął. Małe złote gwoździki pozostawiły otwory w drewnie w miejscach, z których je wyrwano. Jedwabne poduszki i baldachimy zostały skradzione bądź zniszczone przez mole, myszy i pleśń. Nic nie wskazywało na rangę tego krzesła, oprócz miejsca, w którym stało, i niewyraźnej rzeźby na oparciu — czapli w locie niosącej w dziobie gałąź jarzębiny. Było to godło rodu Enladów.

Królowie z owego rodu przybyli z Enladu do Havnoru osiemset lat temu. Ludzie mawiali, że tam, gdzie stoi Stolec Morreda, wciąż trwa królestwo.

Lebannen kazał oczyścić tron, wymienić spróchniałe fragmenty, naoliwić i wygładzić drewno tak, że lśniło niczym ciemny aksamit. Poza tym jednak pozostawił go nietknięty, niepomalowany, niezłocony, nagi. Niektórzy bogacze odwiedzający wspaniale urządzony pałac narzekali na salę tronową i tron. Sala jak wnętrze stodoły, mawiali. To Stolec Morreda czy stare chłopskie krzesło?

Jedni twierdzili, iż król odpowiadał na to: „Czymże jest królestwo bez stodół, które karmią ludzi, i bez zbierających ziarno chłopów?” albo: „Czy moje królestwo to złocona błyskotka, miękkość aksamitu, czy też stoi mocno dzięki sile kamienia i drewna?”. Inni — że nic nie odpowiedział poza tym, iż tron podoba mu się taki, jaki jest. A ponieważ na twardym krześle sadzał jedynie swe królewskie pośladki,

krytycy nie mieli w tej materii nic więcej do powiedzenia.

Tę właśnie surową salę o wysokim, belkowanym suficie w chłodny letni poranek spowity gęstą mgłą wypełniła rada królewska: dziewięćdziesiąt jeden osób, mężczyzn i kobiet (gdyby wszyscy tu przybyli, zebrałaby się setka). Król wybrał ich osobiście. Niektórzy reprezentowali wielkie rody książęce i szlacheckie z Wysp Wewnętrznych, zaprzysiężonych wasali korony. Inni przemawiali w imieniu pozostałych wysp i części Archipelagu. Jeszcze innych król uznał za mądrych i godnych zaufania doradców. Byli to kupcy, marynarze i właściciele faktorii z Havnoru i innych wielkich portów wokół Morza Ea i Morza Najgłębszego, poruszający się ze świadomą powagą i odziani we wspaniałe ciemne szaty z ciężkiego jedwabiu, a także mistrzowie rzemieślniczych cechów, zręczni i przebiegli negocjatorzy, spomiędzy których wyróżniała się jasnooka, waleczna kobieta, przywódczyni górników z Osskil. Byli wśród nich również magowie z Roke, tacy jak Onyks, mężczyźni w szarych płaszczach, trzymający w dłoniach wysokie laski, oraz czarnoksiężnik pelnijski, mistrz Seppel, który nie nosił laski i którego ludzie omijali zwykle szerokim łukiem, choć zachowywał się spokojnie i uprzejmie. Były też szlachcianki, młode i stare, pochodzące z najróżniejszych krain i lenn królestwa, odziane w jedwabie z Lorbanery i perły z wysp Piasku, a także dwie wyspiarki, solidne, stateczne niewiasty, jedna z Iffish, a druga z Korp, przemawiające w imieniu mieszkańców Rubieży Wschodnich. Byli też poeci, mędrcy ze starych uczelni Ea i Enladów, kilku dowódców żołnierzy i kapitanów statków królewskich.

Wszystkich tych członków rady król wybrał sam. Po dwóch, trzech latach prosił, by pozostali, bądź też odsyłał ich z podziękowaniami i honorami, i zastępował kim innym. Omawiał z nimi wszelkie prawa i podatki, sprawy, które rozsądzał w imieniu korony. Wysłuchiwał ich rad, a potem przeprowadzał głosowanie. Dopiero gdy uzyskał zgodę większości, wprowadzał decyzje w życie. Niektórzy twierdzili, iż rada składa się jedynie z królewskich pochlebców i marionetek, i może tak było w istocie. Zwykle jeśli się uparł, stawiał na swoim. Często jednak nie wyrażał własnej opinii, pozwalając, by członkowie rady podjęli decyzję. Wielu doradców przekonało się, że jeśli dysponują dostateczną ilością faktów popierających sprzeciw i potrafią dobrze argumentować, udaje im się przekonać innych, a nawet króla. Często zatem wybuchały gorące debaty, tak w częściach rady specjalizujących się w różnych problemach, jak i na walnych zgromadzeniach. Zdarzało się, iż doradcy sprzeciwili się królowi i przegłosowali go. Lebannen był dobrym dyplomatą, lecz nie pasjonował się polityką.

Przekonał się, iż rada dobrze mu służy. Dysponujący władzą ludzie z królestwa wkrótce zaczęli ją szanować. Zwykli ludzie nie

zwracali uwagi na radę. Wszystkie ich nadzieje i uwaga skupiały się wokół osoby władcy. Po Archipelagu krążyły tysiące pieśni i ballad o synu Morreda, księciu, który powrócił na grzbiecie smoka z krainy umarłych u brzegu dnia, bohaterze spod Sorry, władcy miecza Serriadha, Jarzębinie, Wyniosłym Jesionie z Enladu, ukochanym królu rządzącym Znakiem Pokoju. Trudno jednak układać pieśni o doradcach kłócących się o podatki i cła.

Teraz zatem ludzie ci, których pomijały pieśni, zajęli miejsca na wyścielanych ławach przed twardym tronem. Gdy zjawił się król, znów powstali. Wraz z nim przybyła Kobieta z Gontu — większość z nich widziała ją już, toteż jej wygląd nie wywołał poruszenia — oraz niewysoki mężczyzna w brązie i czerniach.

— Wygląda jak wioskowy czarownik — zauważył kupiec z Kamery, zwracając się do szkutnika z Way.

— Bez wątpienia — odparł tamten z czułością i rezygnacją. Wielu członków rady kochało, a przynajmniej lubiło króla. Ostatecznie to on dał im władzę i nawet jeśli nie czuli się zobowiązani okazywać mu wdzięczności, szanowali jego osąd.

Do sali wbiegła spóźniona starsza władczyni z Ebea i książę Sege kierujący obradami polecił doradcom zająć miejsca. Wszyscy usiedli.

— Wysłuchajcie króla — zaczął Sege. I wysłuchali. Opowiedział im — dla wielu były to pierwsze wieści w tej materii — o ataku smoków na zachodni Havnor i o tym, jak wyruszył w drogę z Kobietą z Gontu, Tehanu, by z nimi pertraktować.

Utrzymywał doradców w napięciu, opowiadając o wcześniejszych atakach smoków na wyspy Zachodu. Powtórzył też krótko historię Onyksa o dziewczynie, która na pagórku Roke zamieniła się w smoka. Przypomniał, iż Tehanu uznawana jest za córkę przez Tenar od Pierścienia, niegdysiejszego Arcymaga z Roke i smoka Kalessina, który przyniósł króla na grzbiecie z Selidoru.

W końcu powtórzył, co się zdarzyło na przełęczy w górach Faliern trzy dni temu o świcie. Zakończył, mówiąc:

— Smok ów zaniósł wiadomość od Tehanu do Orm Irian na Palnie. Czeka ją daleki lot, ponad trzysta mil. Lecz smoki szybsze są niźli statek, nawet ten niesiony magicznym wiatrem. W każdej chwili możemy spodziewać się przybycia Orm Irian.

Książę Sege odezwał się pierwszy. Zadał pytanie, wiedząc, że król będzie mu rad.

— Co chcesz zyskać, panie, pertraktując ze smokiem? Odpowiedź padła natychmiast.

— Więcej, niż moglibyśmy zyskać, próbując z nim walczyć. Trudno mi to przyznać, taka jednak jest prawda. Gdyby te potężne stworzenia zechciały nas zaatakować, nie dysponujemy żadną obroną przed ich gniewem. Mędrcy powiadają, że być może, jedna wyspa

zdołałaby się im oprzeć. Roke. A na Roke, być może, pozostał jeden człowiek, który potrafiłby stawić czoło gniewowi smoka i nie zginąć. Musimy zatem odkryć przyczynę tego gniewu i usunąć ją, aby zawrzeć z nimi pokój.

— To przecież zwierzęta — zauważył stary władca Felkway. — Ludzie nie mogą rozmawiać ze zwierzętami, zawierać z nimi pokoju.

— Czyż nie mamy miecza Erreth-Akbego, który zabił wielkiego smoka?! — wykrzyknął młody członek rady.

Natychmiast odpowiedział mu ktoś inny.

— A kto zabił Erreth-Akbego?

Debaty rady bywały zwykle hałaśliwe, choć książę Sege utrzymywał ścisły porządek, nie pozwalając, by doradcy przerywali sobie nawzajem lub przemawiali dłużej niż dwie minuty odmierzane przez klepsydrę. Gadułów uciszał uderzeniem okutej srebrem laski, po czym wzywał do głosu następnego mówcę. Rozmawiali i krzyczeli zatem, wymieniając szybkie uwagi. Mówili wszystko, co trzeba i czego nie trzeba, powtarzali kolejno argumenty, zbijali je i wzmacniali. Większość upierała się, iż należy ogłosić wojnę, podjąć walkę ze smokami i pokonać je.

— Oddział łuczników na jednym z okrętów wojennych wystrzelałby je jak kaczki! — wykrzyknął gorącokrwisty kupiec z Wathortu.

— Czyż mamy poniżać się przed bezrozumnymi zwierzętami? Czyż nie ma już wśród nas bohaterów? — spytała z pogardą wyniosła pani z O-Tokne.

Słysząc to, Onyks odparł ostro:

— Bezrozumne? Władają przecież Mową Tworzenia, na znajomości której opiera się nasza sztuka i moc. Są zwierzętami, tak jak my nimi jesteśmy. Ludzie to zwierzęta, które mówią.

Na to odezwał się kapitan statku, stary doświadczony mężczyzna.

— Czy zatem to nie wy, magowie, powinniście z nimi rozmawiać? Znacie przecież ich mowę i może dysponujecie podobną mocą. Król opowiadał o młodej nieuczonej dziewczynie, która zamieniła się w smoka. Magowie jednak potrafią to zrobić w każdej chwili. Czyż zatem Mistrzowie z Roke nie mogliby pomówić ze smokami i w razie potrzeby podjąć z nimi walki jak równy z równym?

Czarnoksiężnik z Palnu podniósł się z miejsca. Był niskim mężczyzną o cichym głosie.

— Przybrać czyjąś postać, kapitanie, oznacza stać się tą istotą — rzekł uprzejmie. — Mag może upodobnić się do smoka, lecz prawdziwa przemiana to ryzykowna sztuka, zwłaszcza teraz. Mała zmiana pośród wielkich to tchnienie wobec huraganu. Jest jednak wśród nas ktoś, kto nie potrzebuje korzystać z naszych sztuk, a jednak potrafi lepiej przemówić w naszym imieniu do smoków niż ktokolwiek

inny. Jeśli zechce to uczynić.

Tehanu wstała ze swej ławki u stóp tronu.

— Zechcę — oznajmiła i usiadła.

To sprawiło, że dyskusja na moment zamarła. Wkrótce jednak wybuchła ze zdwojoną siłą.

Król słuchał, nie odzywając się ani słowem. Chciał poznać zdanie swych poddanych.

Na Wieży Miecza srebrne trąby czterokrotnie odegrały fanfarę, zwiastując nadejście godziny szóstej, południa. Król wstał i książę Sege ogłosił przerwę do pierwszej godziny popołudniowej.

W komnacie w Wieży Królowej Heru przygotowano lekki posiłek złożony z sera, warzyw i letnich owoców. Lebannen zaprosił tam Tehanu i Tenar, Olchę, Sege'a i Onyksa, który, za pozwoleniem króla, przyprowadził ze sobą pelnijskiego czarnoksiężnika Seppela. Razem zasiedli do posiłku, rozmawiając lekko, swobodnie. Okna komnaty wyglądały na port i północny brzeg zatoki niknący w błękitnej mgiełce — pozostałości porannej mgły, a może dymu z pożarów lasów na zachodzie wyspy.

Olcha wciąż czuł oszołomienie. Czemu znalazł się wśród najbliższych króla i trafił do sali rady? Co on ma wspólnego ze smokami? Nie potrafił z nimi walczyć ani rozmawiać. Nawet sobie ich nie wyobrażał. Chwilami przechwałki i wyzwania rzucane przez członków rady przypominały mu ujadanie psów. Widział kiedyś na plaży szczeniaka oszczekującego ocean, atakującego fale rozbijające się na piasku, a potem uciekającego przed nimi z mokrym ogonem między nogami.

Cieszył się jednak, że może być z Tenar. Przy niej był spokojny. Lubił ją za uprzejmość i odwagę. Odkrył także, iż dobrze się czuje w obecności Tehanu.

Okaleczenie sprawiało, iż wydawała się mieć dwie twarze. Nie widział ich obu jednocześnie, zawsze jedną albo drugą. Przywykł jednak do tego i przyjmował spokojnie. Twarz jego matki w połowie przesłaniało ciemnoczerwone znamię. Tehanu mu ją przypominała.

Wydawała się dziś mniej niespokojna niż przedtem. Siedziała cicho. Kilka razy odezwała się do siedzącego obok Olchy nieśmiało, przyjaźnie. Miał wrażenie, że podobnie jak on nie znalazła się tu z własnego wyboru. Musiała podążać drogą, której nie pojmuje. Może ich drogi się zbiegały, przynajmniej na jakiś czas. Pomysł ten dodał mu odwagi. Wiedział, że coś musi zrobić, że już to zaczął i musi skończyć, i uznał, iż cokolwiek to jest, lepiej załatwić to z nią niż bez niej. Może ją także pchnęła ku niemu ta sama samotność. Lecz w rozmowie nie poruszali równie poważnych tematów.

— Mój ojciec dał ci kociaka — rzekła, gdy wstali od stołu. — To jedno z kociąt cioteczki Mech?

Przytaknął.

— Szare?

— Tak.

— Najlepsze z całego miotu.

— Zaczyna mi tu tyć, mała kicia.

Tehanu zawahała się, po czym powiedziała nieśmiało:

— Myślę, że to on, nie ona.

Olcha odkrył, że się uśmiecha.

— Dobry z niego kompan. Marynarz nazwał go Żuraw.

— Żuraw — powtórzyła z uśmiechem.

— Tehanu — zagadnął król. Usiadł obok Tenar na ławie przy oknie. — Nie wezwałem cię dziś na obrady, by rozmawiać o pytaniach, które zadał ci pan Krogulec. Nie była to dobra pora. A teraz?

Olcha obserwował ją. Nim odpowiedziała, zastanowiła się chwilę. Zerknęła przelotnie na matkę, która nie zareagowała.

— Wolę porozmawiać tutaj — odparła w końcu Tehanu swym ochrypłym głosem. — Z tobą i może z księżniczką z Hur-at-Hur.

— Mam po nią posłać? — spytał uprzejmie król po chwili ciszy.

— Nie, mogę do niej pójść później. Tak naprawdę nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Mój ojciec spytał: Kto udaje się po śmierci do suchej krainy? Rozmawiałyśmy o tym z matką i pomyślałyśmy: Ludzie tam idą, ale zwierzęta? Czy latają tam ptaki, czy rosną drzewa, trawa? Olcho, widziałeś to miejsce.

— Tam… — odparł, kompletnie zaskoczony — jest tam trawa, po mojej stronie muru, ale wydaje się martwa. A dalej? Nie wiem.

Tehanu spojrzała na króla.

— Przeszedłeś tę krainę panie.

— Nie widziałem żadnych zwierząt, ptaków, niczego żywego.

— Pan Krogulec rzekł: kamień, pył — wtrącił Olcha.

— Myślę, że po śmierci nie trafiają tam żadne istoty oprócz ludzi — oznajmiła Tehanu. — Ale nie wszystkich — znów spojrzała na matkę i tym razem nie odwróciła wzroku.

— Kargowie są jak zwierzęta — odezwała się Tenar. Jej suchy głos nie zdradzał żadnych uczuć. — Umierają, by znów się odrodzić.

— To przesąd — rzekł Onyks. — Wybacz, pani, ale ty sama… — zawiesił głos.

— Nie wierzę już — odparła Tenar — że jestem bądź byłam, jak twierdzili, Arhą, Odradzającą się Wiecznie, jedyną duszą powracającą bez końca i nieśmiertelną. Wierzę jednak, że kiedy umrę, podobnie jak każdy śmiertelnik dołączę do wielkiej istoty świata. Tak jak trawa, drzewa, zwierzęta. Ludzie to jedyne zwierzęta, które mówią, sam powiedziałeś to, panie, dziś rano.

— Ale my władamy Mową Tworzenia — zaprotestował mag. —

Poznając słowa, dzięki którym Segoy stworzył świat, Mowę Życia, uczymy nasze dusze, jak pokonać śmierć.

— To miejsce, gdzie istnieje jedynie pył i cienie. Czy to wasze zwycięstwo? — Jej głos nie brzmiał już beznamiętnie, oczy błysnęły.

Zdjęty oburzeniem Onyks nie potrafił odpowiedzieć.

W tym momencie zainterweniował król.

— Pan Krogulec zadał jeszcze drugie pytanie — przypomniał. — Czy smok może pokonać kamienny mur?

— Odpowiedź mieści się w pierwszej — odparła Tehanu. — Skoro smoki to jedynie zwierzęta, które mówią, a zwierzęta tam nie trafiają.

Czy mag kiedykolwiek widział tam smoka albo ty, panie? — Spojrzała najpierw na Onyksa, potem na Lebannena. Onyks zastanawiał się chwilkę.

— Nie — odrzekł.

Król sprawiał wrażenie zdumionego.

— Dlaczego sam nigdy o tym nie pomyślałem? Nie, nie widzieliśmy tam żadnego. Myślę, że nie ma tam smoków.

— Panie! — Olcha odezwał się głośniej niż kiedykolwiek wcześniej w pałacu. — Smok jest tutaj.

Stał przy oknie; wskazał ręką.

Wszyscy się odwrócili. Na niebie nad Zatoką Havnorską ujrzeli nadlatującego z zachodu smoka. Jego długie, wąskie skrzydła poruszały się wolno, połyskując złocistoczerwonym blaskiem. W zasnutym leciutką mgiełką letnim powietrzu zostawiał za sobą niewyraźny ślad dymu.

— W jakiejż komnacie przyjmę takiego gościa? — mruknął król.

Mówił z rozbawieniem i zachwytem, gdy jednak ujrzał, jak smok skręca i opada ku Wieży Miecza, wybiegł i popędził po schodach, zaskakując i wyprzedzając gwardzistów przy drzwiach i w korytarzach. Jako pierwszy wypadł na taras pod Białą Wieżą.

Taras stanowił jednocześnie dach sali bankietowej, rozległy marmurowy plac otoczony niską balustradą. Dokładnie nad nim wznosiła się Wieża Miecza, nieopodal stała Wieża Królowej. Smok wylądował na marmurowych płytach i gdy zjawił się król, zwijał właśnie z głośnym metalicznym zgrzytem potężne skrzydła. Jego szpony wyżłobiły w marmurze głębokie rysy.

Długa, pokryta złotą łuską głowa poruszyła się. Smok spojrzał na króla.

Król spuścił wzrok, nie patrząc mu w oczy. Stał jednak wyprostowany i przemawiał wyraźnie.

— Orm Irian, witaj. Jestem Lebannen.

— *Agni Lebannen* — odparł donośny syczący głos, witając go jak niegdyś Orm Embar, dawno temu, na najdalszym zachodzie, nim jeszcze Lebannen został królem.

Tuż za nim na taras wypadli Onyks i Tehanu w towarzystwie kilkunastu strażników. Jeden z nich dobył miecza. W oknie Wieży Królowej król dostrzegł kolejnego żołnierza z naciągniętym łukiem, celującego wprost w pierś smoka.

— Opuścić broń! — wykrzyknął tak głośno, że wieże zadrżały. Pierwszy gwardzista zareagował tak szybko, iż niemal upuścił miecz.

Łucznik powoli zwolnił cięciwę, jakby nie potrafił pozostawić swego władcy bezbronnego.

— *Medeu* — szepnęła Tehanu, stając obok Lebannena. Cały czas wpatrywała się w smoka. Głowa olbrzymiej istoty obróciła się ponownie i ogromne bursztynowe oko, otoczone pierścieniem lśniących, pomarszczonych łusek spojrzało niewzruszenie na dziewczynę.

Smok przemówił.

Onyks, który rozumiał każde słowo, zaczął cicho tłumaczyć królowi. Podobnie postąpił z odpowiedzią Tehanu.

— Córko Kalessina, siostro ma — rzekł smok — nie latasz.

— Nie potrafię odmienić postaci, siostro — odparła Tehanu.

— Mam więc ja to zrobić?

— Na jakiś czas, jeśli zechcesz.

Wówczas ludzie zebrani na tarasie i w oknach wież ujrzeli najdziwniejszą rzecz, jaką oglądali w życiu, mimo że nieobcy był im świat magii i cudów. Zobaczyli olbrzymiego smoka, którego pokryty łuskami brzuch i kolczasty ogon ciągnęły się na niemal pół długości tarasu, a głowa o czerwonych rogach spoglądała z wysokości większej niż dwukrotny wzrost króla. I ujrzeli, jak ów smok opuszcza wielką głowę i zaczyna drżeć. Jego skrzydła zadźwięczały niczym cymbały. Z głębokich nozdrzy wypłynęła chmura — nie dymu, lecz mgły. Smok stał się niewyraźny niczym odbicie w zaparowanym zwierciadle bądź starym szkle. A potem zniknął. Promienie południowego słońca prażyły przypalone, podrapane białe płyty. Smok zniknął; pojawiła się kobieta. Stała dziesięć kroków od Tehanu i króla, w miejscu gdzie wcześniej biło smocze serce.

Była młoda, wysoka, mocno zbudowana. Ciemna, ciemnowłosa, ubrana w chłopską koszulę i spodnie, bosa. Stała bez ruchu, jak oszołomiona. Spojrzała na własne ciało, uniosła dłoń i przyjrzała się jej.

— Jakie małe! — rzekła we wspólnej mowie i roześmiała się. Popatrzyła na Tehanu. — Zupełnie jakbym włożyła buty, które nosiłam, gdy miałam pięć lat — dodała.

Dwie kobiety ruszyły ku sobie godnie i statecznie, niczym pozdrawiający się zbrojni lub statki mijające się na morzu. Objęły się i zostały tak chwilę. Potem rozłączyły się i zwróciły do króla.

— Pani Irian — rzekł Lebannen, skłaniając głowę.

Kobieta w chłopskiej koszuli dygnęła niezgrabnie. Sprawiała wrażenie nieswojej. Gdy uniosła wzrok, ujrzał, że jej oczy mają barwę bursztynu. Natychmiast odwrócił spojrzenie.

— W tej postaci nie uczynię ci krzywdy — oznajmiła z szerokim białym uśmiechem. — Wasza wysokość — dodała niezręcznie.

Ponownie skłonił głowę. Teraz on poczuł się nieswojo. Spojrzał na Tehanu i kątem oka na Tenar, która wraz z Olchą wyszła na taras. Nikt nie odezwał się nawet słowem.

Wzrok Irian powędrował ku stojącemu tuż za królem Onyksowi w szarym płaszczu. Jej twarz znowu pojaśniała.

— Panie, czy jesteś z wyspy Roke? Znasz Mistrza Wzorów?

Onyks ukłonił się, czy może skinął głową. On także uporczywie unikał jej wzroku.

— Czy dobrze się miewa? Wciąż wędruje pośród drzew?

Kolejny ukłon.

— A Odźwierny, Mistrz Ziół i Kurrremkarmerruk? Obdarzyli mnie przyjaźnią i stanęli u mego boku. Jeśli kiedyś tam powrócisz, przekaż im, proszę, wyrazy szacunku i miłości.

— Tak uczynię — oznajmił mag.

— Jest tu moja matka — powiedziała cicho Tehanu. — Tenar z Atuanu.

— Tenar z Gontu — poprawił z naciskiem Lebannen.

Irian zmierzyła ją spojrzeniem pełnym podziwu.

— To ty wraz z Arcymagiem przywiozłaś Pierścień Runiczny z Krainy Mroźnych Ludzi?

— Tak. — Tenar równie otwarcie patrzyła wprost na Irian.

Nad nimi, na balkonie otaczającym Wieżę Miecza, tuż pod jej szczytem coś się poruszyło. To trębacze wyszli ogłosić godzinę. W tej chwili jednak wszyscy czterej zebrali się po południowej stronie, patrząc na taras w nadziei ujrzenia smoka. W każdym oknie każdej wieży widać było ludzkie twarze. Z ulicy dobiegał pomruk głosów, narastający niczym fala przypływu.

— Gdy ogłoszą pierwszą godzinę — powiedział Lebannen — rada znów się spotka. Jej członkowie widzieli twoje przybycie, pani, albo o nim usłyszą. Jeśli zatem zechcesz, najlepiej będzie cię im przedstawić. A jeśli zechcesz przemówić, obiecuję, że cię wysłuchają.

— Doskonale — odparła Irian. Przez chwilę było w niej coś wyniosłego, obojętnego, gadziego. Gdy się poruszyła, owo ulotne wrażenie zniknęło. Pozostała jedynie wysoka młoda kobieta idąca trochę niezręcznie.

— Czuję się, jakbym lada moment miała poszybować w górę niczym iskra — rzekła ze śmiechem do Tehanu. — W ogóle nic nie ważę.

Czterej trębacze na wieży wznieśli swe trąby ku zachodowi,

północy, wschodowi i południu, i odegrali pierwszą zwrotkę lamentu, który król sprzed pięciuset lat napisał po śmierci swego przyjaciela.

Przez moment obecny król wspomniał owego przyjaciela, Erreth-Akbego, stojącego na plaży Selidoru — ciemne oczy, pełną smutku twarz śmiertelnie ranionego człowieka pośród kości smoka, który go zabił. Wydało mu się dziwne, że może rozmyślać o tak odległych sprawach, jakby wydarzyły się zaledwie przed chwilą. A przecież w istocie nie było w tym nic dziwnego, albowiem żywi i umarli, ludzie i smoki łączyli się w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia, którego nie potrafił dostrzec.

Odczekał, póki nie podeszły Irian i Tehanu. Wraz z nimi przekroczył próg pałacu.

— Pani Irian, chciałbym zapytać cię o wiele rzeczy, lecz mój lud i rada przede wszystkim zechcą usłyszeć, czy twoi pobratymcy zamierzają wydać nam wojnę i czemu.

Skinęła głową mocno, zdecydowanie.

— Powiem im wszystko, co wiem.

Kiedy dotarli do przesłoniętych kotarą drzwi za podwyższeniem, w sali tronowej panował chaos. Słyszeli podniecone głosy tak donośne, że niemal zupełnie zagłuszały stukot laski księcia Sege'a. Potem zapadła gwałtowna cisza. Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na króla przybywającego ze smokiem.

Lebannen nie usiadł. Stanął obok tronu, a Irian zatrzymała się u jego lewego boku.

— Wysłuchajcie króla — polecił Sege w martwej ciszy.

— Członkowie rady — zaczął Lebannen — oto dzień, o którym długo jeszcze będą wspominać pieśni. Córki waszych synów i synowie córek będą mawiać: Jestem wnukiem jednego z ludzi zasiadających w Smoczej Radzie. Uczcijcie zatem tę, która zaszczyca nas swą obecnością. Wysłuchajcie Orm Irian.

Niektórzy z członków Smoczej Rady mówili potem, że gdy patrzyli na nią wprost, widzieli jedynie wysoką kobietę, lecz kątem oka dostrzegali olbrzymią, mglistą, migocącą złocistym blaskiem postać, przy której król wydawał się maleńki. Wielu innych, wiedząc, że człowiek nie może spojrzeć w oczy smoka, odwracało wzrok. Nadal jednak zerkali ukradkiem. Niektóre kobiety uważały, że Irian jest brzydka, inne, że piękna, jeszcze inne litowały się nad biedaczką, która chodzi boso po pałacu. A kilku członków rady, nie do końca zrozumiawszy słowa króla, zastanawiało się, kim jest ta kobieta i kiedy pojawi się smok.

Mówiła w absolutnej ciszy. Jej głos, wysoki, kobiecy, niósł się po całej sali. Przemawiała powoli i uroczyście, jakby w myślach tłumaczyła swe słowa z dawniejszej mowy.

— Niegdyś nazywałam się Irian, ze starej Irii na Way. Obecnie

jestem Orm Irian. Kalessin, Najstarszy, nazywa mnie córką. Jestem siostrą Orm Embara, którego znał król, i wnuczką Orma, który zabił królewskiego towarzysza Erreth-Akbego i zginął z jego ręki. Zjawiłam się tu, bo wezwała mnie moja siostra Tehanu.

Gdy Orm Embar zginął na Selidorze, niszcząc śmiertelne ciało czarnoksiężnika Coba, Kalessin przybył spoza zachodu i zaniósł króla wraz z wielkim magiem na Roke. Potem Najstarszy powrócił na Smoczy Szlak i wezwał do siebie lud zachodu, któremu Cob odebrał mowę i którego wciąż nie opuszczało szaleństwo. Kalessin rzekł: „Pozwalacie, by zło skaziło was także. Oszaleliście. Teraz odzyskaliście zmysły, lecz póki wieje wiatr ze wschodu, nie możecie stać się znowu istotami wolnymi od dobra i zła".

Kalessin powiedział: „Dawno temu dokonaliśmy wyboru. Wybraliśmy wolność. Ludzie wybrali jarzmo. My wybraliśmy ogień i wiatr, oni wodę i ziemię. My wybraliśmy zachód, oni wschód".

I powiedział: „Wśród nas zawsze znajdowali się tacy, którzy zazdroszczą im bogactw, a wśród nich zazdroszczący nam naszej wolności. W ten sposób między nas wtargnęło zło i znów nas ogarnie, póki nie zdecydujemy się na zawsze pozostać wolni. Wkrótce powrócę poza zachód, by wzlecieć na innym wietrze. Poprowadzę was tam albo zaczekam, jeśli zechcecie przybyć".

Wtedy wiele smoków tak rzekło do Kalessina: „Zdjęci zazdrością ludzie dawno temu ukradli nam połowę naszej krainy poza zachodem i wznieśli mury z zaklęć, które nas powstrzymują. Pozwól nam zatem przegnać ich na najdalszy wschód i odebrać im wyspy. Ludzie i smoki nie mogą dzielić się tym samym wiatrem".

Na co Kalessin odpowiedział: „Kiedyś byliśmy jednością. Na znak tego w każdym pokoleniu ludzkim rodzi się dziecko bądź dwoje, które są także smokami, a w każdym naszym pokoleniu, żyjącym dłużej niż ulotne ludzkie istoty, pojawia się jedno z nas, które jest także człowiekiem. Ktoś taki żyje teraz na Wyspach Wewnętrznych, podobnie jedno z nich, które jest także smokiem. Ta dwójka to posłańcy, zwiastuni wyboru. Nikt więcej taki nie przyjdzie już na świat ani wśród nas, ani wśród nich. Równowaga bowiem ulega zmianie".

I powiedział Kalessin: „Wybierajcie. Odejdźcie ze mną, by wzlecieć na najdalszym końcu świata, na innym wietrze, albo zostańcie, przywdziewając jarzmo dobra i zła, zmieńcie się w bezrozumne zwierzęta. Jako ostatnia wyboru dokona Tehanu. Po niej nie pozostanie już żaden wybór. Droga na zachód będzie zamknięta. Zostanie tylko, jak zawsze, las pośrodku świata".

Członkowie rady królewskiej siedzieli bez ruchu niczym kamienie, zasłuchani. Irian stała nieruchomo, spoglądając na nich, poprzez nich.

— Minęło kilka lat i Kalessin odleciał poza zachód. Niektórzy

podążyli za nim, inni nie. Gdy przybyłam, by dołączyć do mego ludu, wyruszyłam w ślad za Kalessinem. Teraz podążam tam i wracam, póki wiatry zechcą mnie nieść.

Mój lud czuje gniew i zazdrość. Ci, którzy pozostali tu, na wiatrach świata, zaczynają łączyć się w grupy bądź samotnie odwiedzać wyspy ludzi, powtarzając: „Ukradli pół naszej krainy, teraz my odbierzemy im cały zachód i przegnamy ich stąd, aby nie mogli zarażać nas swoim dobrem i złem. Nie włożymy głów w ich jarzmo".

Nie próbują jednak zabijać mieszkańców wysp, bo pamiętają czasy obłędu, gdy smok zabijał smoka. Nienawidzą was, ale nie będą was zabijać. Chyba że wy spróbujecie zabijać ich.

Jedna z tych grup przybyła na tę wyspę, Havnor. My nazywamy ją Zimnym Wzgórzem. Smok, który stanął przed wami i rozmawiał z Tehanu, to mój brat, Ammaud. Inni chcą przegnać was na wschód, lecz Ammaud, podobnie jak ja, wypełnia wolę Kalessina i próbuje uwolnić mój lud od jarzma, które wy nosicie. Dzieci Kalessina chcą uchronić oba nasze ludy, ale czy zdołają? Smoki jednak nie mają króla i nie słuchają nikogo. Latają tam, gdzie zechcą. Przez jakiś czas posłuchają mnie i mojego brata, w imię Kalessina. Ale niedługo. I nie boją się niczego na świecie, poza waszą magią śmierci.

Ostatnie słowo zadźwięczało ostro w wielkiej sali.

Król odezwał się pierwszy. Podziękował Irian.

— Twoje szczere słowa przynoszą nam zaszczyt. Na moje imię, przysięgam, że my także mówić będziemy prawdę. Błagam cię zatem, córko Kalessina, który przyniósł mnie do mego królestwa, wyjaśnij, czego lękają się smoki. Sądziłem, że nie boją się niczego w tym świecie ani poza nim.

— Boimy się waszych zaklęć nieśmiertelności — odparła otwarcie.

— Nieśmiertelności? — Lebannen zawahał się. — Nie jestem magiem. Mistrzu Onyksie, jeśli córa Kalessina zgodzi się, przemów w mym imieniu.

Onyks wstał. Irian spojrzała na niego z zimną obojętnością i skinęła głową.

— Pani Irian — zaczął czarnoksiężnik — my nie rzucamy zaklęć nieśmiertelności. Jedynie czarnoksiężnik Cob usiłował umknąć śmierci. Aby to uczynić, wypaczył naszą sztukę. — Mówił wolno i bardzo ostrożnie, starannie dobierał słowa. — Nasz Arcymag wraz z moim panem, królem, i z pomocą Orm Embara zniszczył Coba i wyrządzone przez niego zło. Arcymag poświęcił całą swą moc, aby uleczyć świat, przywrócić równowagę. Żaden inny mag za naszego życia nie próbował… — urwał nagle.

Irian spojrzała wprost na niego. Spuścił wzrok.

— Mag, którego zniszczyłam — powiedziała — Mistrz Przywołań

z Roke, Thorion. Czego pragnął?

Wstrząśnięty Onyks nie odpowiedział.

— Powrócił z martwych — dodała — ale nie żywy, jak Arcymag i król. Był martwy, lecz wrócił poza mur dzięki swej sztuce, waszej sztuce, waszej, ludzi z Roke! Jak mamy ufać waszym słowom? Zakłóciliście równowagę świata. Czy możecie ją przywrócić?

Onyks popatrzył na króla, głęboko poruszony.

— Panie, nie jest to miejsce do omawiania podobnych spraw, przy wszystkich. Najpierw musimy się dowiedzieć, o czym rozmawiamy, co mamy robić…

— Roke strzeże swych sekretów — w głosie Irian zabrzmiała spokojna wzgarda.

— Ale na Roke… — zaczęła Tehanu, nie wstając. Jej słaby głos ucichł. Książę Sege i król gestem polecili, by mówiła dalej.

Wstała. Z początku odwracała od członków rady lewą stronę swej twarzy. Słuchający jej tłum siedział bez ruchu na ławach, niczym obdarzone oczami kamienie.

— Na Roke jest Gaj Wewnętrzny — rzekła. — Czy nie to miał na myśli Kalessin, mówiąc o lesie stojącym pośrodku świata, siostro? — Odwracając się do Irian, pokazała słuchaczom swą całą zniszczoną twarz, zapomniała jednak o ich obecności. — Może musimy się tam udać, do środka świata.

— Udam się tam — rzekła Irian z uśmiechem.

Obie spojrzały na króla.

— Zanim wyślę was na Roke albo udam się tam z wami — powiedział powoli — muszę wiedzieć, o co toczy się gra. Mistrzu Onyksie, przykro mi, że sprawy tak poważne i niebezpieczne każą nam otwarcie rozmawiać o wszystkim. Ufam jednak, że jeśli znajdę właściwy kurs, moi doradcy mnie poprą. Rada musi wiedzieć, czy nasze wyspy mają lękać się ataków ludu zachodu, czy też rozejm potrwa dalej.

— Potrwa — odparła Irian.

— Możesz powiedzieć, jak długo?

— Pół roku — zaproponowała lekko, jakby mówiła: dzień czy dwa.

— Utrzymamy rozejm przez pół roku w nadziei, że po nim nastanie pokój. Czy mam rację, pani Irian, zgadując, że twój lud, nim zawrze z nami pokój, zechce wiedzieć, czy wtrącanie się naszych czarnoksiężników w sprawy życia i śmierci im nie zagrozi?

— Czy nie zagrozi nam wszystkim — przytaknęła Irian. — Tak.

Lebannen zastanowił się chwilę. W końcu odezwał się swym najbardziej królewskim, przyjaznym, uprzejmym tonem.

— Uważam tedy, że powinienem udać się z wami na Roke. — Odwrócił się w stronę ław. — Członkowie rady, po ogłoszeniu rozejmu

musimy dążyć do pokoju. Ponieważ władam w imię Pierścienia Elfarran, muszę udać się wszędzie, gdzie trzeba, by to osiągnąć. Jeśli dostrzegacie coś, co mogłoby przeszkodzić tej wyprawie, przemówcie tu i teraz. Możliwe bowiem, iż na szali spoczywa równowaga władzy w Archipelagu i równowaga całego świata. Jeżeli mam wyruszyć, muszę uczynić to teraz. Nadchodzi jesień, a droga na Roke nie jest krótka.

Kamienie z oczami siedziały długą chwilę, patrząc na niego w milczeniu. W końcu odezwał się książę Sege:

— Wyruszaj zatem, mój panie i królu, a nasza nadzieja i zaufanie będzie ci towarzyszyć. Niechaj magiczny wiatr wypełnia twe żagle.

Wśród doradców rozległ się cichy pomruk zgody. Tak, tak, słusznie prawi.

Sege zapytał, czy są jakieś pytania. Nikt się nie odezwał. Zamknął obrady.

Lebannen zwrócił się do niego, wychodząc z sali tronowej:

— Dziękuję ci, Sege.

— Biedacy — odparł stary książę. — Znaleźli się pomiędzy tobą i smokiem. Cóż jeszcze mogli powiedzieć?

ROZDZIAŁ 4
„DELFIN”

Nim król mógł opuścić stolicę, należało uzgodnić wiele spraw i poczynić sporo ustaleń. Pozostawało także pytanie, kto właściwie uda się z nim na Roke. Oczywiście musiały mu towarzyszyć Irian i Tehanu, a Tehanu chciała mieć przy sobie matkę. Onyks oznajmił, iż z całą pewnością należy zabrać Olchę i pelnijskiego czarnoksiężnika Seppela, Kunszty Palneńskie bowiem zajmowały się także kwestią granicy pomiędzy życiem a śmiercią. Król, jak już wielekroć wcześniej, wybrał na kapitana statku Toslę. Książę Sege miał pod nieobecność władcy zarządzać sprawami państwowymi, przewodząc grupie wybranych członków rady.

Lebannen sądził, że wszystko już ustalono, gdy dwa dni przed wypłynięciem przyszła do niego Tenar.

— Czekają cię rozmowy o wojnie i pokoju, o walce ze smokami, i o sprawach jeszcze ważniejszych. Jak twierdzi Irian, sprawach dotyczących równowagi całego Ziemiomorza. Ludzie z Wysp Kargadzkich powinni wysłuchać owych dyskusji i zabrać w nich głos.

— Ty będziesz ich przedstawicielką.

— Nie, nie jestem poddaną Najwyższego Króla. Jedyna osoba, która może go reprezentować, to jego córka.

Lebannen cofnął się o krok, odwrócił głowę i rzekł głosem stłumionym od wysiłku, jaki włożył w opanowanie gniewu:

— Wiesz, że absolutnie nie nadaje się do podobnej wyprawy.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Brak jej wykształcenia.

— Jest inteligentna, silna i odważna. Zdaje sobie sprawę, czego wymaga jej pozycja. Nie przygotowano jej do rządzenia, ale czego zdoła się nauczyć zamknięta w Pałacu Rzecznym, w otoczeniu służek i dam dworu?

— Choćby języka!

— Już to robi. W razie potrzeby będę jej tłumaczką.

Lebannen milczał chwilę.

— Rozumiem twoją troskę o jej lud — rzekł, ostrożnie dobierając słowa. — Zastanowię się, co począć, ale na pokładzie nie ma miejsca dla księżniczki.

— Tehanu i Irian twierdzą, że powinna popłynąć z nami, podobnie mistrz Onyks, który mówi, że nie przypadkiem została przysłana tu akurat teraz, podobnie jak Olcha z Taonu.

Lebannen cofnął się o jeszcze jeden krok. Ton jego głosu pozostał oschły i uprzejmy.

— Nie mogę na to pozwolić. Przez swą ignorancję i brak doświadczenia będzie dla nas ciężarem. Zresztą nie mogę narażać księżniczki. Stosunki z jej ojcem…

— Mimo swej ignorancji, jak ją nazywasz, pokazała nam, jak odpowiedzieć na pytania Geda. Nie szanujesz jej, dokładnie tak samo jak jej ojciec. Traktujesz jak bezrozumny przedmiot. — Tenar pobladła z gniewu. — Skoro boisz się ją narażać, poproś, by sama podjęła decyzję.

I znów zapadła cisza.

— Jeśli ty, Tehanu i Orm Irian uważacie, że kobieta ta powinna popłynąć z nami na Roke — odpowiedział w końcu Lebannen z tą samą pozorną obojętnością, nie patrząc na Tenar — a Onyks się z wami zgadza, przyjmuję wasz osąd, choć uważam, iż popełniacie błąd. Proszę, powiedz jej, że jeśli chce z nami płynąć, może to uczynić.

— Ty powinieneś jej powiedzieć.

Umilkł, po czym bez słowa wyszedł z komnaty.

Po drodze minął Tenar i choć na nią nie patrzył, ujrzał ją wyraźnie. Sprawiała wrażenie starej i zmęczonej, trzęsły jej się ręce. Współczuł jej, wstydził się swej własnej opryskliwości, czuł ulgę, że nikt inny nie był świadkiem tej sceny. Jednakże wszystkie te uczucia stanowiły zaledwie iskierki w ogromnym, ciemnym obłoku wściekłości na nią, na księżniczkę, na wszystkich i wszystko, co narzucało mu owo fałszywe zobowiązanie, groteskowy obowiązek. Po wyjściu z komnaty szarpnięciem rozpiął kołnierz koszuli, jakby się dusił.

Jego ochmistrz, Dobroczyn, powolny, metodyczny, nie spodziewał się, że władca wyjdzie tak szybko, toteż zerwał się z miejsca zaskoczony. Lebannen spojrzał na niego lodowato.

— Wezwij Najwyższą Księżniczkę, aby złożyła mi wizytę.

— Najwyższą Księżniczkę?

— Jest może więcej niż jedna? Czyż nie wiesz, że gościmy na dworze córkę Najwyższego Króla?

Oszołomiony Dobroczyn wymamrotał przeprosiny.

— Sam udam się do Pałacu Rzecznego — przerwał mu Lebannen.

Wyszedł, ścigany przez ochmistrza, który stopniowo zdołał zatrzymać króla dość długo, by zgromadzić odpowiedni orszak, sprowadzić ze stajni konie, odłożyć do popołudnia audiencję i tak dalej. Wszystkie obowiązki, zależności, królewska otoczka, rytuały i hipokryzje, które czyniły z niego władcę, teraz przytłoczyły go, wciągnęły, wessały niczym ruchome piaski.

Gdy przyprowadzono na dziedziniec wierzchowca, Lebannen wskoczył na siodło tak szybko, iż koń zarażony nastrojem pana stanął dęba do wtóru krzyków odskakujących stajennych i służby. Lebannen z ponurą satysfakcją patrzył, jak się rozstępują. Skierował konia wprost do bramy, nie czekając na dworzan. Poprowadził ich szybkim

kłusem ulicami miasta, jadąc daleko na przedzie, świadom dylematu dręczącego młodego oficera, który powinien jechać przed nim, nawołując: „Droga dla króla!”, ale nie śmiał wyprzedzić swego władcy.

Dochodziło południe. Ulice i place Havnoru były jasne, gorące i niemal zupełnie wyludnione. Słysząc stukot kopyt, ludzie spieszyli do drzwi małych, ciemnych sklepików, by spojrzeć na króla i go pozdrowić. Kobiety siedzące w oknach, wachlujące się i plotkujące ponad ulicą, spoglądały w dół, kiwając rękami. Jedna rzuciła mu kwiat. Końskie kopyta uderzały z donośnym łoskotem w cegły szerokiego, rozsłonecznionego placu. Wokół nie dostrzegał ludzi, jedynie psa z podwiniętym ogonem, który lekceważąc obecność władcy, odbiegł powoli na trzech nogach. Król skręcił w wąską uliczkę wiodącą do wybrukowanej drogi wzdłuż Serrenen i podążył nią aż do skrytego w cieniu wierzb i starego miejskiego muru Pałacu Rzecznego.

Przejażdżka nieco poprawiła mu humor. Upał, cisza i piękno miasta, świadomość ukrytych za ścianami i okiennicami setek ludzkich istnień, uśmiech kobiety, która rzuciła mu kwiat, złośliwa satysfakcja, że zdołał wyprzedzić wszystkich swych strażników i pochlebców, wreszcie zapach i chłód rzeki oraz cienisty dziedziniec pałacu, w którym zaznał dni i nocy spokoju i rozkoszy, pozwoliły mu nieco otrząsnąć się z gniewu. Czuł się dziwnie obco, jakby oddalił się od samego siebie. Furia opuściła go, pozostawiając pustkę.

Pierwsi jeźdźcy z orszaku docierali właśnie na dziedziniec, gdy Lebannen zeskoczył z konia. Wszedł do środka, niczym kamień ciśnięty do spokojnego stawu, sprawiając, iż lokaje i służący rozbiegli się, tworząc kolejne kręgi oszołomienia i paniki.

— Powiadomcie księżniczkę, że tu jestem — polecił.

Pani Opal ze starego majątku Hien, obecnie zawiadująca damami księżniczki, pojawiła się przed nim natychmiast, uprzejmie powitała i zaproponowała poczęstunek, zachowując się, jakby królewska wizyta zupełnie jej nie zaskoczyła. Owa wytworna uprzejmość uspokoiła go, a jednocześnie dziwnie zirytowała. Niekończąca się hipokryzja. Cóż jednak miała począć pani Opal — gapić się oszołomiona, niczym wyrzucona na brzeg ryba (jak to czyniła bardzo młoda dwórka), bo król zechciał w końcu niespodziewanie odwiedzić księżniczkę?

— Bardzo mi przykro, że nie ma tu pani Tenar — rzekła stara dama. — Z jej pomocą znacznie łatwiej rozmawia się z księżniczką. Choć przyznaję, iż moja pani czyni zadziwiające postępy w języku.

Lebannen zupełnie zapomniał o problemie języka. Przyjął zimny napój i nic nie odpowiedział. Pani Opal zagadywała go uprzejmie z pomocą pozostałych dam, niewiele się jednak dowiedziała. Lebannen uświadomił sobie, że zapewne będzie musiał rozmawiać z księżniczką w obecności wszystkich dworek. Tak nakazywał zwyczaj. Nieważne,

co zamierzał jej powiedzieć, teraz nie mógł rzec nic. Chciał już właśnie wstać i wyjść, gdy w drzwiach stanęła kobieta, której głowę i ramiona skrywał czerwony woal. Upadła miękko na kolana.

— Proszę, król, księżniczka, proszę.

— Księżniczka przyjmie cię w swych komnatach, panie — przetłumaczyła pani Opal.

Skinieniem głowy wezwała lokaja, który odeskortował ich na górę długim korytarzem, przez przedsionek, wielką mroczną komnatę pełną kobiet w czerwonych zasłonach, na balkon wychodzący na rzekę. Tam właśnie czekała postać, którą tak dobrze pamiętał: nieruchomy czerwonozłoty walec.

Wietrzyk znad wody sprawiał, że zasłony falowały lekko, toteż postać nie wydawała się masywna, lecz delikatna, zwiewna niczym wierzbowy listek. Nagle jakby skurczyła się, zmalała. Księżniczka dygnęła przed nim. Skłonił głowę. Oboje wyprostowali się, stojąc w milczeniu.

— Księżniczko — rzekł Lebannen. Miał wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. W uszach dźwięczał mu własny głos. — Przybywam poprosić cię, abyś towarzyszyła nam w wyprawie na wyspę Roke.

Nie odpowiedziała. Nagle lekkie welony rozsunęły się, gdy uniosła je na boki. Złociste dłonie o długich palcach przytrzymywały cienką materię, ukazując skąpaną w czerwonym cieniu twarz. Nie widział jej rysów wyraźnie. Spojrzała mu prosto w oczy.

— Moja przyjaciółka Tenar mówi: król widzi króla, twarz i twarz. Ja mówię: tak. Jechać.

Nie do końca rozumiejąc, Lebannen ukłonił się ponownie.

— Czynisz mi zaszczyt, o pani.

— Tak — odparła — czynię.

Zawahał się. Nagle zrozumiał, że znalazł się na obcym gruncie, jej gruncie.

Księżniczka stała bez ruchu, wyprostowana, złote nitki zasłon drżały. Jej oczy spoglądały na niego z cienia.

— Tenar, Tehanu i Orm Irian zgadzają się, że księżniczka Wysp Kargadzkich powinna towarzyszyć nam w wyprawie na wyspę Roke. Proszę zatem, abyś popłynęła z nami.

— Popłynęła.

— Na Roke.

— Na statku — rzekła i nagle jęknęła cicho, żałośnie, po czym dodała: — Tak, płynę.

Nie wiedział, co rzec.

— Dziękuję, o pani.

Ukłoniła się, równa przed równym.

On także się skłonił i odszedł, tak jak go nauczono odchodzić po

oficjalnym spotkaniu z ojcem, księciem Enladu — nie odwracając się plecami, lecz cofając wolno.

Księżniczka patrzyła na niego, wciąż podtrzymując zasłony, póki nie dotarł do drzwi. Wtedy opuściła ręce, welon opadł i Lebannen usłyszał, że odetchnęła głośno, jakby zmuszała się do czegoś całą siłą woli.

Odważna, tak mówiła o niej Tenar. Wówczas tego nie rozumiał, pojął dopiero teraz, gdy mógł rozmawiać z nią, uosobieniem odwagi. Cały gniew, który go przepełniał i przyniósł tutaj, teraz zniknął bez śladu. Nie wciągnęły go ruchome piaski, nie zadławiły. Zamiast tego wyniosły do stóp skały, wyniosłego szczytu w czystym powietrzu prawdy.

Przeszedł salę pełną szepczących, wyperfumowanych, zakwefionych kobiet, które cofały się przed nim w ciemności. Na dole pogawędził chwilę z panią Opal i innymi damami, pozdrowił też przyjaźnie oszołomioną jego przybyciem dwunastolatkę. Przemówił ciepło do członków swego orszaku czekających na dziedzińcu. W milczeniu dosiadł wysokiego szarego wierzchowca i pogrążony w myślach podążył do Pałacu Mahariona.

* * *

Olcha z fatalistyczną obojętnością wysłuchał informacji, że ma powrócić na Roke. Życie na jawie stało się ostatnio tak dziwne, dziwniejsze niż sen, że nie miał nawet siły zadawać pytań czy protestować. Skoro los każe mu przez resztę życia żeglować z wyspy na wyspę, niechaj i tak będzie. Doskonale zdawał sobie sprawę, iż nigdy już nie wróci do domu. Przynajmniej pozostanie w towarzystwie pań Tenar i Tehanu, które koiły jego serce. A czarodziej Onyks również okazał mu sympatię.

Olcha był nieśmiały, Onyks bardzo zamknięty w sobie. Różniły ich także pozycja i wykształcenie. Lecz Onyks odwiedził go kilkakrotnie, by pomówić jak mag z magiem. Olcha w swej nieśmiałości nie potrafił pojąć, czemu mag traktuje go z takim szacunkiem, jednak ufał mu głęboko. Gdy zatem zbliżała się pora wyruszenia w drogę, właśnie do Onyksa zwrócił się z dręczącym go pytaniem.

— Chodzi o kotka — rzekł zakłopotany. — Uważam, że nie powinienem go zabierać. Takie długie przebywanie na pokładzie jest nienaturalne dla młodego stworzenia. Zastanawiam się, co z nim będzie…

— Wciąż utrzymuje cię z dala od kamiennego muru? — zapytał Onyks.

— Bardzo często.

Mag zastanowił się chwilę.

— Potrzebujesz ochrony, póki nie dotrzemy do Roke. Zastanawiałem się… czy rozmawiałeś z czarnoksiężnikiem Seppelem?

— Tym z Palnu? — W głosie Olchy zabrzmiał lekki niepokój.

Paln, największa wyspa na zachód od Havnoru, uważany był powszechnie za miejsce niesamowite. Palnijczycy mówili po hardycku z osobliwym akcentem, używając wielu własnych słów. W dawnych czasach ich władcy odmówili złożenia hołdu królom z Enladu i Havnoru. Magowie nie pobierali nauk na Roke. Kunszty Palneńskie, przywołujące dawne Moce Ziemi, uważano powszechnie za niebezpieczne, gorzej niż niebezpieczne. Dawno temu Szary Mag z Palnu zniszczył swą wyspę, przywołując dusze zmarłych, by doradzały mu i jego władcom. Każdy młody mag musiał wysłuchać owej opowieści. Żywi nie powinni zasięgać rady umarłych. Czarnoksiężnicy z Roke i Palnu wiele razy ścierali się w pojedynkach magicznych. Podczas jednej z takich walk, dwieście lat temu, uwolniono zarazę, która zaatakowała mieszkańców Palnu i Semel, wyludniła miasta i wioski. A piętnaście lat temu, gdy czarnoksiężnik Cob wykorzystał Kunszty Palneńskie, by pokonać mur dzielący życie i śmierć, Arcymag Krogulec musiał zużyć całą swą moc, by go pokonać i uleczyć wyrządzone zło.

Olcha, jak niemal wszyscy na dworze i w królewskiej radzie, uprzejmie unikał czarnoksiężnika Seppela.

— Poprosiłem króla, by zabrał go z nami na Roke — oznajmił Onyks.

Olcha zdziwił się.

— Oni wiedzą o tych sprawach znacznie więcej niż my — wyjaśnił mag. — Większa część sztuki przywoływania wywodzi się z Kunsztów Palneńskich. Thorion był jej mistrzem. Obecny Mistrz Przywołań z Roke, Brand z Venway, odmawia korzystania z zaklęć wywodzących się z owych kunsztów. Źle użyte czynią ogromne szkody. Może jednak to nasza ignorancja sprawiła, iż niewłaściwie z nich korzystaliśmy. Pochodzą z bardzo dawnych czasów. Czy kryją w sobie wiedzę, którą utraciliśmy? Seppel to mądry człowiek i mag. Uważam, że powinien z nami popłynąć. I myślę, że jeśli zdołasz mu zaufać, może ci pomóc.

— Skoro ty obdarzyłeś go zaufaniem — odparł Olcha — ja uczynię to samo.

Gdy Olcha przemawiał srebrnym językiem z Taonu, Onyks często uśmiechał się cierpko.

— W tej kwestii twój osąd jest równie dobry jak mój, Olcho —

rzekł. — Może nawet lepszy. Zabiorę cię do Seppela.

Razem ruszyli do miasta. Seppel mieszkał w starej dzielnicy nieopodal stoczni, tuż przy ulicy Szkutników. Istniała tam niewielka kolonia Palnijczyków sprowadzonych do pracy w stoczniach królewskich, znakomicie bowiem opanowali sztukę budowy statków. Stare domy napierały na siebie. Ich dachy łączyły mosty, które sprawiały, że Wielki Port Havnorski dysponował drugim kompletem napowietrznych ulic wznoszących się wysoko ponad zwykłymi, brukowanymi.

Pokoje Seppela, położone na trzecim piętrze, były mroczne i w upale późnego lata bardzo duszne. Gospodarz zaprowadził ich wyżej, na dach połączony z sąsiednimi budynkami mostami po wszystkich stronach, tak że poczuli się jak na ulicznym skrzyżowaniu. Na niskich tarasach ustawiono baldachimy. Morska bryza chłodziła rozpalone powietrze. Usiedli razem na pasiastych płóciennych matach w kącie należącym do Seppela, który poczęstował ich chłodną, gorzką herbatą.

Był to niski mężczyzna około pięćdziesiątki, krągły, o drobnych dłoniach i stopach, nieco kręconych i wzburzonych włosach oraz, co rzadkie wśród mieszkańców Archipelagu, brodzie, przystrzyżonej krótko i pokrywającej ciemne policzki i szczękę. Zachowywał się bardzo uprzejmie, mówił cicho ze śpiewnym, urywanym akcentem.

Przez dłuższy czas rozmawiali z Onyksem. Olcha w milczeniu słuchał dyskusji o ludziach i sprawach, o których nie miał pojęcia, i stopniowo pogrążał się we własnych myślach. Spojrzał ponad dachami i namiotami, powietrznymi ogrodami i rzeźbionymi łukami mostów, na północ, w stronę góry Onn, wielkiej jasnoszarej kopuły ponad mglistymi letnimi wzgórzami. Nagle gwałtownie powrócił do rzeczywistości, słysząc, jak czarnoksiężnik z Palnu mówi:

— Możliwe, że nawet Arcymag nie do końca zdołał uleczyć ranę świata.

Rana świata, pomyślał Olcha. O tak. Spojrzał uważniej na Seppela, który zerknął na niego bystro.

— Może nie tylko nasze pragnienie, by żyć wiecznie, nie pozwala ranie się zabliźnić — rzekł Seppel — lecz również pragnienie umarłych, by mogli umrzeć.

I znowu Olcha usłyszał dziwne słowa i poczuł, że je poznaje, choć nie rozumie. Seppel ponownie zerknął na niego, jakby oczekiwał odpowiedzi.

Olcha milczał, Onyks też, więc Seppel zapytał wprost:

— Mistrzu Olcho, gdy stałeś na granicy, o co cię prosili?

— Abym ich uwolnił — odparł Olcha cichym szeptem.

— Uwolnił — mruknął Onyks.

Znów zapadła cisza.

Obok środkiem dachu przebiegły dwie dziewczynki i chłopiec.

Śmiejąc się, krzyczeli: „Na następnym na dół!”. Wyraźnie uczestniczyli w jednym z niekończących się pościgów, jakie urządzały sobie dzieci w labiryncie ulic, kanałów, schodów i mostów miasta.

— Może od początku zawarliśmy zły układ — powiedział Seppel, a gdy Onyks spojrzał na niego pytająco, dodał: — *Verw nadan*.

Olcha wiedział, iż słowa te pochodzą z Dawnej Mowy, ale nie znał ich znaczenia.

Onyks się jeszcze bardziej zasępił.

— Mam nadzieję, że wkrótce odkryjemy prawdę. Oby szybko.

— Na wzgórzu, gdzie wszystko jest prawdą — dodał Seppel.

— Cieszę się, że będziesz tam z nami. Przyprowadziłem tu Olchę, bo umarli co noc przywołują go na ową granicę. Szuka wytchnienia. Powiedziałem, że może zdołasz mu pomóc.

— Zechcesz poddać się dotknięciu magii z Palnu? — spytał Olchę Seppel. W jego głosie dźwięczała łagodna ironia. Oczy lśniły twardym, niezłomnym blaskiem.

Olcha zwilżył zaschnięte wargi.

— Mistrzu, na mojej wyspie mawiamy, że tonący człowiek nie pyta, kto rzucił mu linę. Jeśli choćby na jedną noc potrafisz utrzymać mnie z dala od owego miejsca, zasłużysz na mą najszczerszą wdzięczność. Choć to niewiele wobec podobnego daru.

Onyks spojrzał na niego z lekkim, pełnym rozbawienia, pogodnym uśmiechem.

Seppel natomiast nie uśmiechnął się w ogóle.

— W moim fachu rzadko spotykam się z wdzięcznością — powiedział. — Wiele za nią zrobię. Myślę, że potrafię ci pomóc, mistrzu Olcho. Ale musisz wiedzieć, że to bardzo droga lina.

Olcha skłonił głowę.

— Przybywasz na granicę we śnie, nie z własnej woli, czy tak?

— Tak sądzę.

— Mądrze powiedziane. — Seppel spojrzał na niego z aprobatą. — Któż bowiem do końca zna własną wolę? Jeśli jednak udajesz się tam we śnie, mogę utrzymać cię z dala od owego miejsca. Na jakiś czas. I, jak mówiłem, za wysoką cenę.

Olcha popatrzył na niego pytająco.

— Twoją moc.

Z początku Olcha nie zrozumiał.

— Mój dar, moją sztukę?

Seppel przytaknął.

— Ja tylko naprawiam różne rzeczy — powiedział po chwili Olcha. — To niewielka moc.

Onyks chciał coś rzec, spojrzał jednak na twarz Olchy i umilkł.

— To twój fach — przypomniał Seppel.

— Kiedyś to było moje życie, ale już nie.

— Może dar powróci, gdy stanie się to, co musi się stać. Nie mogę tego obiecać. Spróbuję przywrócić ci, co tylko zdołam. W tej chwili jednak wszyscy wędrujemy w ciemności, po nieznanej ziemi. Gdy nastanie dzień, może zrozumiemy, gdzie jesteśmy. Albo i nie. Jeśli zatem oszczędzę ci owych snów za tę cenę, czy wciąż mi podziękujesz?

— O tak — powiedział Olcha. — Czymże jest mój drobny dar w obliczu większego zła ignorancji? Jeśli uwolnisz mnie od lęku, w którym żyję, lęku, przez który mogę wyrządzić zło, będę ci wdzięczny do końca mych chwil.

Seppel odetchnął głęboko.

— Zawsze słyszałem, że harfy z Taonu pięknie grają — rzekł. Spojrzał na Onyksa. — Czy Roke nie protestuje? — spytał, powracając do wcześniejszego ironicznego tonu.

Onyks pokręcił głową. Milczał, a twarz miał bardzo poważną.

— Udamy się zatem do jaskini Aurun. Dziś wieczór, jeśli zechcecie — zaproponował Seppel.

— Czemu akurat tam? — spytał Onyks.

— Bo nie ja, lecz ziemia pomoże Olsze. Aurun to święte miejsce pełne mocy, choć mieszkańcy Havnoru o tym zapomnieli i korzystają z niego tylko, by je zbezcześcić.

Nim zeszli razem do pokojów Seppela, Onyks zdołał zamienić na osobności słówko z Olchą.

— Nie musisz tego robić — rzekł. — Sądziłem, że ufam Seppelowi, ale teraz nie jestem już pewien.

— Ja mu ufam — odparł Olcha.

Rozumiał wątpliwości maga, mówił jednak szczerze, że zrobi wszystko, byle tylko uwolnić się od lęku przed tym, że może uczynić ogromne, straszliwe zło. Za każdym razem, gdy we śnie trafiał pod ów kamienny mur, czuł, iż coś poprzez niego próbuje przedostać się do świata. Że jeśli tylko posłucha nawołujących go zmarłych, to coś dopnie swego. A za każdym razem, gdy ich słyszał, czuł się coraz słabszy i coraz trudniej przychodziło mu stawiać opór.

Późnym upalnym popołudniem we trzech wyruszyli w długą drogę ulicami miasta. W końcu zostawili je za sobą i znaleźli się na południu, wśród poszarpanych wzgórz opadających ku zatoce. Były to najbiedniejsze tereny tej bogatej wyspy — pomiędzy skałami pozostały tylko niewielkie skrawki podmokłej ziemi, kilka pól na zboczach. Mur miejski w tym miejscu był bardzo stary, wzniesiony z wielkich, niepołączonych zaprawą kamieni wykutych na wzgórzach. Za nim rozciągało się ledwie kilka farm bez śladu przedmieści.

Szli dalej drogą, która wspięła się zygzakiem na pierwsze wzgórze i podążyła na wschód w stronę wyższych wierzchołków. Widać stąd było całe leżące na północy, spowite złocistą mgiełką miasto. Droga

rozszerzała się, tworząc labirynt ścieżek. Zmierzając prosto, dotarli nagle do wielkiego pęknięcia w ziemi, jaskini przecinającej szlak, czarnej dziury szerokiej na ponad dwadzieścia stóp — zupełnie jakby ziemia wzdrygnęła się gwałtownie, rozrywając skalny grzbiet i pozostawiając niezabliźnioną ranę. Wnikające do wnętrza jaskini promienie zachodzącego słońca rozjaśniały fragment pionowych skalnych ścian. Poniżej jednak leżała tylko ciemność.

W południowej dolinie pod wzgórzem mieściła się garbarnia. Garbarze wyrzucali tu odpadki, ciskając je do skalnej dziury. Wszędzie wokół walały się cuchnące strzępy na wpół wyprawionych skór, którym towarzyszył smród zgnilizny i moczu. Gdy się zbliżyli, poczuli jeszcze jedną woń dobiegającą z głębiny — zimny, ostry zapach ziemi, który sprawił, że Olcha cofnął się o krok.

— Och, jak mi żal, jak bardzo! — powiedział głośno czarnoksiężnik z Palnu, patrząc na śmieci i dach garbarni. Jego twarz miała dziwny wyraz. Po chwili jednak odezwał się do Olchy swym zwykłym, łagodnym tonem: — Oto jaskinia bądź szczelina zwana Aurun, przedstawiana na najstarszych mapach przechowywanych na Palnie, gdzie nosi też nazwę Paszczy Paoru. Niegdyś, dawno temu, gdy ludzie po raz pierwszy przybyli na zachód, przemawiała do nich. Ludzie się zmienili, ale ona pozostała taka jak kiedyś. Tu możesz złożyć swe brzemię, jeśli naprawdę tego pragniesz.

— Co mam zrobić? — spytał Olcha.

Seppel poprowadził go na południowy skraj wielkiej szczeliny, w miejsce gdzie zwężała się i skalne ściany ponownie się zbiegały. Kazał mu położyć się twarzą w dół, tak by mógł spoglądać w mroczne głębiny w dole.

— Przytrzymaj się ziemi — polecił. — To wszystko. Nawet jeśli się poruszy, trzymaj się jej.

Olcha leżał bez ruchu, patrząc pomiędzy skalne ściany. Czuł kamienie kłujące go w pierś i biodra. Słyszał, jak Seppel śpiewa wysokim głosem słowa, które, jak wiedział, należały do Mowy Tworzenia. Czuł ciepło słońca na ramionach, smród padliny dochodzący z garbarni. A potem jaskinia odetchnęła głośno i ostry powiew powietrza odebrał Olsze dech, sprawił, że zakręciło mu się w głowie. Ciemność uniosła się ku niemu, ziemia zadrżała, zakołysała się, a on trzymał się jej, słysząc wysoki zaśpiew, wciągając w płuca dech ziemi. Ciemność zbliżyła się i go ogarnęła. Utracił słońce.

Gdy wrócił do siebie, słońce wisiało nisko nad horyzontem — czerwona kula w mgiełce nad zachodnim ramieniem zatoki. Ujrzał siedzącego w pobliżu Seppela, zmęczonego i smutnego. Długi ciemny cień człowieka łączył się z cieniami skał.

— No, jesteś — rzekł Onyks.

Olcha uświadomił sobie nagle, że leży na wznak z głową na

kolanach Onyksa. Skalny występ uciskał mu kręgosłup. Usiadł niezgrabnie, przepraszając maga.

Gdy tylko odzyskał trochę sił, ruszyli z powrotem, mieli bowiem przed sobą kilka mil drogi, a ani on, ani Seppel nie byli zdolni do szybkiego marszu. Nim dotarli na ulicę Szkutników, zapadła noc. Seppel pożegnał ich, patrząc bystro na Olchę, gdy stanęli w plamie światła padającej z drzwi tawerny.

— Uczyniłem to, o co prosiłeś — rzekł.

— I dziękuję ci za to — odparł Olcha, podając czarnoksiężnikowi prawą dłoń, jak to czynią mieszkańcy Enladów. Po chwili Seppel dotknął jej palcami. Tak się rozstali.

Olcha był tak zmęczony, że aż powłóczył nogami. W ustach i gardle wciąż czuł ostry, dziwny smak powietrza z jaskini, który sprawiał, że czuł się lekki, oszołomiony, pusty. Kiedy w końcu dotarli do pałacu, Onyks chciał odprowadzić go do pokoju, Olcha jednak powiedział, że czuje się dobrze i musi tylko wypocząć.

Otworzył drzwi komnaty i natychmiast podbiegł do niego Żuraw, tańcząc i kiwając ogonem na powitanie.

— Już cię nie potrzebuję — rzekł Olcha, po czym nachylił się i pogładził szary, puszysty grzbiet. Do oczu napłynęły mu łzy. To dlatego że był taki zmęczony. Położył się na łóżku, kot wskoczył obok i mrucząc, zwinął się w kłębek na jego ramieniu. A potem Olcha zasnął. Ogarnęła go czarna pustka snów. Nie pamiętał niczego, głosów wołających jego imię, wzgórza porośniętego suchą trawą, niewyraźnego kamiennego muru. Niczego.

* * *

W wieczór poprzedzający wyprawę na południe Tenar z ciężkim sercem przechadzała się po pałacowych ogrodach. Nie chciała płynąć na Roke, wyspę mędrców, wyspę magów (przeklętych czarowników, dodał w jej myślach głos przemawiający po kargijsku). Co miałaby tam robić, na co im ona? Chciała wrócić na Gont, do Geda, do własnego domu, własnego, ukochanego mężczyzny.

Straciła Lebannena, odepchnęła go. Był uprzejmy, miły i obcy.

Jakże mężczyźni boją się kobiet, pomyślała, spacerując wśród kwitnących róż. Niejednej kobiety, lecz wielu, rozmawiających ze sobą, pracujących wspólnie, przemawiających w swoim imieniu. Wówczas mężczyźni dostrzegają spiski, zmowy, sidła, pułapki.

I oczywiście mają rację. Kobiety jako kobiety zwykle stoją po stronie następnego, nie obecnego pokolenia. Tworzą ogniwa, które

mężczyźni postrzegają jako łańcuchy, więzi traktowane przez nich jak kajdany. Istotnie, sprzymierzyły się z Seserakh przeciw niemu i były gotowe go zdradzić, gdyby naprawdę uważał, że będzie nikim, jeśli straci niezależność. Gdyby był tylko ogniem i powietrzem, pozbawionym ciężaru ziemi, cierpliwości wody…

Lecz słowa te bardziej niż do Lebannena pasowały do Tehanu, jej Therru, nieziemskiej skrzydlatej duszy, która przybyła, by jakiś czas z nią pomieszkać i wkrótce odejść. Tenar wiedziała, że odejdzie, z ognia w ogień. I pasowały do Irian, z którą odejdzie Tehanu. Cóż taka ognista, groźna istota mogłaby mieć wspólnego ze starym domem, który trzeba zamiatać, ze starym mężczyzną wymagającym opieki? Jak Irian mogłaby to zrozumieć? Cóż za znaczenie dla niej, dla smoka, ma fakt, że mężczyzna powinien wypełnić swój obowiązek, ożenić się, spłodzić dzieci, przywdziać jarzmo ziemi?

Pewna własnego braku znaczenia wobec istot przeznaczonych wyższym, nie ludzkim celom, Tenar całkowicie pozwoliła się ogarnąć tęsknocie za domem, nie tylko za Gontem. Czemuż nie miałaby zawrzeć przymierza z Seserakh, która co prawda jest księżniczką, tak jak ona sama była niegdyś kapłanką, lecz która nie odleci na ognistych skrzydłach, bo pozostanie prawdziwą kobietą, istotą ziemi? A do tego zna ojczysty język Tenar! Tenar z poczucia obowiązku uczyła ją hardyckiego i radowała się, że dziewczyna szybko przyswaja obce słowa. Lecz dopiero w tej chwili zrozumiała, iż w istocie prawdziwą radość sprawia jej rozmowa po kargijsku, bo w tych słowach ukrywało się całe jej utracone dzieciństwo.

Gdy dotarła do ścieżki prowadzącej ku rybnym stawom pod wierzbami, ujrzała Olchę. Towarzyszył mu mały chłopiec. Gawędzili cicho. Zawsze cieszył ją widok Olchy, współczuła mu z powodu jego bólu i strachu, i szanowała za cierpliwość, z jaką je znosił. Lubiła uczciwą twarz o miłych rysach i dźwięczny język. Czemuż by nie ubarwić zwykłej mowy kilkoma pięknymi słowami? Ged mu ufał.

Przystając z boku, aby nie przeszkodzić w rozmowie, ujrzała, jak Olcha i dziecko klękają na ścieżce, zaglądając w krzaki. W końcu spod jednego z nich wynurzył się szary kociak Olchy. Nie zwracając uwagi na ludzi, zagłębił się w trawie, stąpając powoli, przyczajony, z płonącymi oczami. Polował na ćmy.

— Jeśli chcesz, możesz wypuszczać go na całą noc — powiedział Olcha do chłopca. — Nie ucieknie stąd i nie wyrządzi żadnych szkód. Uwielbia psocić na świeżym powietrzu, lecz te ogrody są dla niego wielkie niczym cały Havnor. Możesz też wypuszczać go rano, a na noc zatrzymywać przy sobie. Wtedy będzie z tobą sypiał.

— To mi się podoba — odparł nieśmiało chłopiec.

— W takim razie musisz trzymać w sypialni skrzynkę z piaskiem i miseczkę wody, zawsze pełną.

— I jedzenie.

— Owszem, raz dziennie, byle nie za dużo. Jest trochę łakomy. Pewnie myśli, że Segoy stworzył wyspy po to, by on mógł napchać sobie brzuszek.

— Czy łowi ryby w stawie?

Kot siedział w trawie obok jednej z sadzawek i rozglądał się wokół. Ćma odleciała.

— Lubi je obserwować — odrzekł Olcha.

— Ja też — powiedział chłopiec.

Wstali i razem ruszyli nad wodę.

Tenar poczuła nagłe wzruszenie. Olcha miał w sobie wiele niewinności, była to jednak niewinność mężczyzny, nie dziecka. Powinien mieć własne dzieci, byłby świetnym ojcem.

Pomyślała o swoich dzieciach i wnuczętach. Najstarsza córka Jabłka, Pippin… czy to możliwe? Czy rzeczywiście Pippin ma wkrótce skończyć dwanaście lat? W tym bądź w następnym roku dostanie prawdziwe imię. Czas już wracać do domu, czas odwiedzić Dolinę Środkową, wręczyć wnuczce prezent z okazji dnia nadania imienia i zabawki maluchom. Sprawdzić, czy niespokojny Iskra nie zanadto przycina grusze. Posiedzieć i porozmawiać z kochaną córką Jabłko… Prawdziwe imię Jabłka brzmiało Hayohe, nadał je Ogion… O Ogionie Tenar zawsze myślała z miłością i tęsknotą. Ujrzała palenisko w jego domu w Re Albi, ujrzała siedzącego obok Geda. Widziała, jak odwraca swą ciemną twarz, by zadać jej pytanie. Odpowiedziała głośno w ogrodach Nowego Pałacu w Havnorze, setki mil od domu.

— Jak najszybciej zdołam!

* * *

Rankiem, pogodnym letnim rankiem, wyruszyli z pałacu do portu, by wejść na pokład „Delfina”. Mieszkańcy Havnoru urządzili prawdziwe święto, zebrali się na ulicach i przystani, blokując ujścia kanałów dziesiątkami łodzi i łódek, ozdobionych powiewającymi barwnymi flagami. Flagi i proporce łopotały też na wieżach wielkich domów i masztach mostów. Idąc wśród wiwatujących tłumów, Tenar przypomniała sobie ów dzień dawno temu, gdy wraz z Gedem przybyli do Havnoru, przynosząc ze sobą Runę Pokoju, pierścień Elfarran. Miała go wówczas na ręce. Podniosła ją tak, by srebro rozbłysło w promieniach słońca i by ujrzeli je ludzie. A oni wykrzyknęli, wyciągając ku niej ręce, jakby pragnęli ją objąć. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Uśmiechała się, pokonując trap i kłaniając się

Lebannenowi.

Król powitał ją tradycyjnymi słowami kapitana statku.

— Pani Tenar, witaj na pokładzie.

Poruszona nagłym odruchem odpowiedziała:

— Dziękuję ci, synu Elfarran.

Przez moment patrzył na nią zaskoczony. Tehanu jednak szła tuż za nią, toteż powtórzył oficjalne powitanie.

— Pani Tehanu, witaj na pokładzie.

Tenar ruszyła w stronę dziobu, przypominając sobie kącik obok kabestanu. Pasażer mógł się tam schronić, nie przeszkadzając krzątającej się wokół załodze, i nadal widzieć wszystko, co dzieje się na pokładzie i poza nim.

Nagle dostrzegła poruszenie na głównej ulicy prowadzącej do portu. Zbliżała się Najwyższa Księżniczka. Tenar z zadowoleniem dostrzegła, że Lebannen, czy może jego ochmistrz, zaaranżował wszystko tak, by mogła przybyć w stosownej oprawie. Konna gwardia torowała drogę w tłumie. Konie parskały i głośno uderzały kopytami. Wysokie czerwone pióropusze, takie same jakimi kargijscy wojownicy ozdabiali swe hełmy, kołysały się na dachu zamkniętego, krzykliwie złoconego powozu, który wiózł księżniczkę przez całe miasto, a także na łbach ciągnącej go czwórki szarych koni. Grupka czekających na brzegu muzyków powitała ją dźwiękiem trąby, bębna i tamburynu. A ludzie, odkrywszy, że pojawiła się księżniczka, którą mogą pozdrowić wiwatami, zakrzyknęli głośno, zbliżając się, na ile pozwolili konni i piesi żołnierze. Powitali ją entuzjastycznymi, choć nieco chaotycznymi okrzykami.

— Niech żyje królowa Kargów! — wołali jedni.

— Nie jest królową! — krzyczeli drudzy, a trzeci:

— Spójrzcie, wszystkie w czerwieni, piękne jak rubiny. Która z nich to ona?

I jeszcze inni:

— Niech żyje księżniczka!

Tenar ujrzała Seserakh, oczywiście ukrytą za welonem, lecz łatwą do rozpoznania dzięki postawie i wzrostowi. Księżniczka wysiadła z powozu i godnie niczym okręt sunęła w stronę trapu. Tuż za nią dreptały dwie dworki w krótszych kwefach, a dalej pani Opal z Hien. Serce Tenar zamarło. Lebannen oświadczył, że w podróż nie wolno brać żadnej służby. Nie płyną po to, by zaznać rozrywek, oświadczył surowo. Każdy, kto znajdzie się na pokładzie, musi mieć dobry powód, by tam trafić. Czyżby Seserakh źle zrozumiała? A może był tak bardzo związana ze swymi niemądrymi rodaczkami, iż zamierza sprzeciwić się królowi? Byłby to bardzo niefortunny początek podróży.

Lecz u stóp trapu połyskujący złociście czerwony walec zatrzymał się i odwrócił. Wyciągnął ręce, złocistoskóre, ozdobione złotymi

pierścieniami. Księżniczka objęła swe dworki, wyraźnie żegnając się z nimi. Objęła także panią Opal, z godnością właściwą najwyższej szlachcie i członkom rodów królewskich. Następnie pani Opal zabrała dworki do powozu, a księżniczka odwróciła się ponownie.

Wokół zapadła cisza. Tenar ujrzała, jak złocistoczerwona kolumna wzdycha głęboko i prostuje się jeszcze bardziej.

Księżniczka powoli ruszyła naprzód. Był przypływ i trap wznosił się niebezpiecznie. Ona jednak stąpała godnie, bez cienia wahania. Tłum na nabrzeżu obserwował ją zafascynowany.

W końcu dotarła na pokład i zatrzymała się przed królem.

— Najwyższa Księżniczko Wysp Kargadzkich, witaj na pokładzie — powitał ją dźwięcznie Lebannen.

Ludzie w tłumie zaczęli krzyczeć:

— Wiwat księżniczka! Niech żyje królowa! Ładny spacer, Krasna!

Lebannen powiedział coś do księżniczki, lecz wiwaty zagłuszyły jego słowa. Czerwona kolumna odwróciła się do tłumu na brzegu i ukłoniła sztywno, lecz z wdziękiem.

Tehanu czekała na nią niedaleko króla. Teraz podeszła i zaprowadziła księżniczkę do kabiny na rufie. Po chwili ciężkie, rozkołysane czerwonozłote welony zniknęły.

— Wracaj, księżniczko! — krzyknęli ludzie na nabrzeżu. — Gdzie jest Krasna? Gdzie nasza pani, gdzie królowa?

Tenar spojrzała na stojącego po przeciwnej stronie statku króla. Mimo niepokoju i ciężaru, który przygniatał jej serce, poczuła, jak wzbiera w niej śmiech. Biedny chłopcze, pomyślała, co teraz poczniesz? Pokochali ją od pierwszego wejrzenia, choć tak naprawdę jej nie widzą. Och, Lebannenie, wszyscy sprzysięgliśmy się przeciw tobie.

* * *

„Delfin” był sporym statkiem, mającym zapewnić królowi wygody podczas podróży. Przede wszystkim jednak miał żeglować, frunąć z wiatrem, przewozić władcę jak najszybciej do celu. Nawet gdy na pokładzie przebywała jedynie załoga, oficerowie, król i kilku towarzyszy, w kabinach robiło się ciasno. Podczas podróży na Roke na statku panował ścisk. Załoga odczuła go najsłabiej. Wszyscy jak zwykle nocowali w wysokiej na trzy stopy ładowni dziobowej. Oficerowie jednak musieli podzielić się jakoś jedną marną, ciemną komórką pod forkasztelem. Co do pasażerów, cztery kobiety przebywały w pomieszczeniu będącym zwykle kabiną króla, na

wąskiej rufie statku, podczas gdy kabina niżej, zwykle zajęta przez kapitana i jednego bądź dwóch oficerów, musiała pomieścić króla, dwóch magów, czarownika i Toslę. Tenar natychmiast dostrzegła, iż sytuacja kryje w sobie ogromne zagrożenie sporami i kłótniami. W dodatku najprawdopodobniej księżniczka zacznie chorować.

Płynęli po wodach Wielkiej Zatoki, niesieni łagodnym sprzyjającym wiatrem. Morze było spokojne. Statek sunął naprzód niczym łabędź na jeziorze, lecz Seserakh kuliła się na swej koi, jęcząc rozpaczliwie za każdym razem, gdy spoza welonów ujrzała widoczny za oknem słoneczny przestwór wód i biały ślad pozostawiany przez okręt.

— Zacznie kołysać, w górę i w dół — zawodziła po kargijsku.

— Wcale nie będzie kołysać — odparła Tenar. — Rusz głową, księżniczko.

— To kwestia brzucha, nie głowy — jęknęła Seserakh.

— Nikt nie mógłby cierpieć na chorobę morską w taką pogodę. Po prostu się boisz.

— Matko, nie rugaj jej — zaprotestowała Tehanu, chwytając ton głosu, choć nie znaczenie słów. — Choroba to nic przyjemnego.

— Ona nie jest chora. — Tenar była przekonana o prawdziwości swych słów. — Seserakh, nie jesteś chora, tylko boisz się choroby. Weź się w garść, wyjdź na pokład. Świeże powietrze ci pomoże. Świeże powietrze i odwaga.

— Och, moja przyjaciółko — mruknęła po hardycku Seserakh — dodaj mi odwagi.

Te słowa zaniepokoiły Tenar.

— Sama musisz się na nią zdobyć — rzekła, po czym ustępując nieco, dodała: — No dalej, spróbuj chwilę pobyć na pokładzie. Tehanu, zobacz, może zdołasz ją przekonać. Pomyśl, jak będzie cierpieć, jeśli pogoda się pogorszy!

We dwie zdołały postawić Seserakh na nogi i przyodziać w walec czerwonych zasłon, bez których, rzecz jasna, nie mogła pokazać się mężczyznom. Potem prośbami i groźbami wywabiły ją z kabiny na pokład, tuż obok drzwi, w cień. Mogły tam usiąść obok siebie na białych jak kość, czyściutkich deskach, spoglądając na lśniące błękitne morze.

Seserakh lekko rozchyliła zasłony, by móc patrzeć wprost przed siebie. Głównie jednak wbijała wzrok we własne kolana. Od czasu do czasu zerkała z przerażeniem na wodę, potem zamykała oczy i znów spuszczała wzrok.

Tenar i Tehanu rozmawiały cicho, wskazując mijane statki, ptaki i wyspy.

— Pięknie. Zapomniałam już, jak lubię żeglować — westchnęła Tenar.

— Ja lubię pływać, jeśli zdołam zapomnieć o wodzie — odparła Tehanu. — To zupełnie jak latanie.

— Ach, wy smoki — odparła Tenar.

Powiedziała to lekko, lecz nie z lekkim sercem. Po raz pierwszy rzekła coś takiego do córki. Dostrzegła, że Tehanu odwraca głowę i spogląda na nią jednym okiem. Serce Tenar zabiło mocno.

— Ogień i powietrze.

Tehanu nie odpowiedziała, lecz jej ręka, smukła brązowa dłoń, nie szpon, chwyciła rękę Tenar i uścisnęła ją mocno.

— Nie wiem, czym jestem, matko — szepnęła głosem, który rzadko rozbrzmiewał donośnie.

— Ale ja wiem. — Tenar czuła, jak serce ciąży jej coraz bardziej.

— Nie jestem taka jak Irian. — Tehanu próbowała pocieszyć matkę, dodać otuchy, lecz w jej głosie dźwięczała tęsknota, zazdrość, pragnienie.

— Zaczekaj, zaczekaj i sama się przekonasz — odparła matka. Mówienie przychodziło jej z trudem. — Będziesz wiedziała, co zrobić… kim jesteś… gdy nadejdzie czas.

Mówiły tak cicho, że księżniczka nie słyszała ich słów, choć i tak zapewne by nic nie zrozumiała. Zupełnie o niej zapomniały. Dosłyszała jednak imię Irian i rozchylając długimi palcami zasłony, odwróciła głowę. Jej oczy rozbłysły pośród ciepłych czerwonych cieni.

— Irian, gdzie jest?

— Gdzieś z przodu. O, tam. — Tenar machnęła ręką, wskazując dziób statku.

— Znajduje odwagę, tak?

— Nie musi jej znajdować — odparła po chwili Tenar. — Jest nieulękła.

Księżniczka westchnęła. Jej jasne oczy wyglądały z cienia ku dziobowi. Irian stała tam obok Lebannena. Król coś mówił ożywiony, gestykulował. Roześmiał się, a stojąca obok Irian, dorównująca mu wzrostem, także wybuchnęła śmiechem.

— Naga twarz — mruknęła po kargijsku Seserakh, a potem z namysłem, niemal niedosłyszalnie dodała po hardycku: — Nieulękła.

Opuściła zasłony i pozostała bez ruchu, niewidoczna.

* * *

Zostawili za sobą długie błękitne wybrzeża Havnoru. Góra Onn wznosiła się wysoko na północy. Czarne bazaltowe filary wyspy Omer sterczały po prawej stronie, gdy statek pokonywał Cieśninę Ebavnoru,

zmierzając w stronę Morza Najgłębszego. Słońce świeciło jasno, wiał lekki wiatr — kolejny piękny letni dzień. Kobiety siedziały pod daszkiem z żagla, ustawionym przez marynarzy obok kabiny na rufie. Żeglarze wierzyli, że kobiety na pokładzie przynoszą szczęście, i starali się jak najbardziej uprzyjemnić im życie. Czarodzieje mogli przynosić szczęście lub pecha, więc ich również żeglarze traktowali z szacunkiem, ustawiając drugi daszek w kącie pokładu, skąd roztaczał się doskonały widok naprzód. Kobiety siedziały na aksamitnych poduszkach (dowód zapobiegliwości króla bądź jego ochmistrza); magowie na zwojach płótna żaglowego, spisujących się równie dobrze.

Olcha odkrył, iż ludzie nadal traktują go jak jednego z magów. Nie mógł nic na to poradzić, choć czuł się zakłopotany. A jeśli Onyks i Seppel sądzą, że uważa się za równego im, gdy tymczasem nie jest już nawet zwykłym czarownikiem? Nie miał mocy, stracił dar. Odczuwał to równie boleśnie, jak mógłby odczuć utratę wzroku, paraliż ręki. Teraz nie potrafiłby naprawić stłuczonego dzbanka, chyba że klejem. A i to uczyniłby kiepsko, bo nigdy nie musiał robić nic takiego.

Poza swymi umiejętnościami utracił coś jeszcze, coś większego, głębszego. Strata ta, podobnie jak śmierć żony, sprawiła, że pogrążył się w pozbawionej radości pustce, której nie mogło naruszyć nic nowego. Nic się nie wydarzy, nic nie zmieni.

Nieświadom owego ukrytego oblicza swego daru, póki go nie stracił, zastanawiał się teraz, rozmyślał nad jego naturą. Uznał w końcu, że przypomina to wiedzę, dokąd się zmierza, znajomość kierunku, w którym leży dom. Trudno to wyodrębnić czy opisać, to po prostu więź, na której wspiera się wszystko inne. Bez niej czuł tylko rozpacz. Był bezużyteczny.

Ale przynajmniej nikomu nie szkodził. Nawiedzały go wyłącznie ulotne, pozbawione znaczenia sny. Ani razu nie trafił w nich na upiorne pustkowia, porośnięte suchą trawą wzgórze, pod mur. Z ciemności nie dobiegały żadne głosy.

Często myślał o Krogulcu. Żałował, że nie może z nim porozmawiać, z Arcymagiem, który zużył całą swą moc. Niegdyś najpotężniejszy wśród potężnych, obecnie żył w biedzie i pogardzie. A przecież król bardzo pragnął okazać mu szacunek, zatem Krogulec sam wybrał biedę. Może bogactwa i majątki zawstydzałyby tylko człowieka, który utracił swe prawdziwe bogactwo.

Onyks wyraźnie żałował, że pozwolił Olsze dokonać owej niezwykłej wymiany. Już wcześniej traktował go bardzo uprzejmie. Teraz jednak zachowywał się z najwyższym szacunkiem i rewerencją, natomiast jego stosunek do czarnoksiężnika z Palnu wyraźnie ochłódł. Sam Olcha nie czuł niechęci wobec Seppela i nadal mu ufał. Dawne Moce to Dawne Moce. Człowiek odwołuje się do nich na własne ryzyko. Seppel uprzedził, jaka będzie cena, a on ją zapłacił. Nie do

końca rozumiał, jak bardzo okaże się wysoka, ale to już nie wina Seppela, tylko jego własna. Nigdy nie dostrzegał prawdziwej wartości swego daru.

Siedział zatem obok dwóch czarowników niczym fałszywa moneta pośród szczerozłotych i słuchał ze skupieniem, ufali mu bowiem i mówili swobodnie, a w ich słowach kryła się nauka, o której nie mógł marzyć jako zwykły wioskowy czarownik.

Tu, w jasnym cieniu płóciennego daszku, rozmawiali o wymianie znacznie większej niż ta, której dokonał, by pozbyć się snów. Onyks kilkakrotnie wymawiał słowa w Dawnej Mowie, które wspomniał na dachu Seppel: *Verw nadan.* Powoli Olcha zaczynał pojmować, iż słowa te znaczą wybór, podział, rozdzielenie jedności na dwie części. Dawno, dawno temu, przed czasami królów z Enladu i powstaniem pisma hardyckiego, może w ogóle przed językiem hardyckim, gdy istniała jedynie Mowa Tworzenia, ludzie dokonali wyboru. Zrezygnowali z jednej wielkiej mocy bądź czegoś, co posiadali, po to by zdobyć inną.

Trudno mu było zrozumieć rozmowę magów — nie dlatego że coś ukrywali, lecz ponieważ poszukiwali znaczeń wydarzeń z odległej, mglistej przeszłości, czasów, których nie sięga pamięć. Z konieczności w ich ustach pojawiały się często słowa z Dawnej Mowy. Czasami Onyks całkowicie na nią przechodził. Seppel zawsze odpowiadał po hardycku — oszczędnie używał Słów Tworzenia. W pewnej chwili uniósł dłoń, powstrzymując Onyksa, a gdy czarodziej z Roke spojrzał na niego pytająco, odparł łagodnie:

— Magiczne słowa mogą działać.

Nauczyciel Olchy, Gap, także nazywał słowa z Dawnej Mowy magicznymi. Każde ukrywa w sobie potężny czyn, powtarzał. Prawdziwe słowo tworzy prawdę. Gap bardzo rzadko używał znanych sobie magicznych słów. Wymawiał je jedynie w potrzebie, a gdy zapisywał jakąkolwiek runę prócz zwykłych hardyckich, zmazywał ją, gdy tylko skończył. Większość magów zachowywała podobną ostrożność, niektórzy dlatego że zazdrośnie strzegli swej wiedzy, inni z szacunku, jaki żywili wobec Mowy Tworzenia. Nawet Seppel, czarnoksiężnik dysponujący znacznie rozleglejszą wiedzą i zrozumieniem owych słów, wolał nie odwoływać się do nich w rozmowie, lecz trzymać się pospolitego języka, który pozwalał nie tylko na błędy i kłamstwa, ale też niepewność i zmianę zdania.

Być może, właśnie to stanowiło część wielkiego wyboru, jakiego ludzie dokonali u zarania dziejów, rezygnacja z dogłębnej znajomości Dawnej Mowy, którą niegdyś władali równie dobrze jak smoki. Olcha zastanawiał się, czy uczynili to, aby zdobyć własny język, język pasujący do ludzi, w którym mogli kłamać, oszukiwać, zwodzić i wymyślać cuda, jakie nigdy nie istniały i nie powstaną.

Smoki znały jedynie Dawną Mowę. A przecież ludzie zawsze powtarzali, że smoki kłamią. Czy tak jest rzeczywiście? Skoro magiczne słowa są prawdziwe, czy smok może nimi skłamać?

Seppel i Onyks dotarli do jednej z pełnych namysłu chwil przerwy w swej rozmowie. Widząc, iż Onyks drzemie, Olcha zwrócił się do czarnoksiężnika z Palnu.

— Czy to prawda — spytał cicho — że smoki potrafią skłamać w Prawdziwej Mowie?

Palnijczyk uśmiechnął się.

— Tak, a przynajmniej tak mówimy na Palnie. Dokładnie tak brzmiało pytanie, które Oth zadał Ormowi tysiąc lat temu pośród ruin Ontuego. „Czy smok może kłamać?" — zapytał mag, a Orm odpowiedział: „Nie", po czym owionął go ogniem i spalił na popiół… Czy jednak mamy wierzyć w tę opowieść, skoro mógł ją powtórzyć tylko Orm?

Nieskończone są spory magów, rzekł w duchu Olcha.

Onyks na dobre zasnął, opierając głowę o burtę. Jego poważna, napięta twarz odprężyła się, rozpogodziła.

— Olcho — jeszcze ciszej niż zwykle odezwał się Seppel — mam nadzieję, że nie żałujesz tego, co uczyniliśmy w Aurun. Nasz przyjaciel uważa, iż nie dość wyraźnie cię ostrzegłem.

— Jestem zadowolony — odparł bez wahania Olcha. Seppel skłonił swą ciemną głowę.

— Wiem, że próbujemy zachować Równowagę — ciągnął Olcha po chwili — lecz Moce Ziemi mają własne zamysły.

— A ludziom trudno pojąć ich osąd.

— Istotnie. Próbuję zrozumieć, czemu właśnie mój dar był ceną za spokój. Czemu musiałem z niego zrezygnować, by uwolnić się od tego snu. Co miały ze sobą wspólnego?

Jakiś czas Seppel milczał. W końcu odpowiedział pytaniem.

— Czyż nie dzięki swej sztuce znalazłeś się przy kamiennym murze?

— Nie — odparł z całkowitą pewnością siebie Olcha. — Nigdy nie zdołałbym tam dotrzeć, nawet gdybym chciał. Tak jak nie potrafiłem utrzymać się z daleka.

— Jak zatem się tam znalazłeś?

— Wezwała mnie żona, a moje serce poszło ku niej.

Długa chwila ciszy.

— Inni mężczyźni także tracili ukochane żony — rzekł w końcu mag.

— Tak właśnie powiedziałem panu Krogulcowi, a on odrzekł: To prawda, mimo wszystko jednak więź łącząca prawdziwych kochanków najbliższa jest temu, co możemy nazwać wiecznością.

— Poza kamiennym murem nie istnieją więzi.

Olcha spojrzał na czarnoksiężnika, prosto w jego śniadą, łagodną, mądrą twarz.

— Ale czemu? — spytał.

— Śmierć zrywa wszystkie więzi.

— Czemu więc umarli nie umierają?

Seppel wzdrygnął się wyraźnie.

— Przepraszam — dodał Olcha. — W swej ignorancji źle się wyraziłem. Chodzi mi o to: śmierć zrywa więź łączącą duszę z ciałem. Ciało umiera, powraca do ziemi. Lecz duch musi udać się do owej mrocznej krainy i przyodziany w pozorne ciało trwać tam — jak długo? Na zawsze? W pyle i mroku, bez światła, miłości, radości. Nie potrafię znieść myśli, że Lilia także tam jest. Dlaczego? Czemu nie może — jego głos załamał się lekko — być wolna?

— Bo tam nie wieje wiatr — odparł Seppel. Jego twarz miała dziwny wyraz, głos zabrzmiał szorstko. — Nie dopuszcza go tam ludzka sztuka.

Nadal patrzył na Olchę, lecz dopiero stopniowo zaczął go widzieć. Jego twarz i oczy się zmieniły. Uniósł wzrok ku wdzięcznej, białej krzywiźnie żagla wypełnionego północno-zachodnim wiatrem.

— Wiesz o tych sprawach równie wiele jak ja, przyjacielu — powiedział ze swą zwykłą łagodnością. — Ty jednak pojmujesz to wszystko całym sobą, czujesz to w swym ciele, krwi, biciu serca. Ja znam tylko słowa, stare słowa… Lepiej zatem dotrzyjmy na Roke. Może tamtejsi mędrcy zdołają powiedzieć nam to, co musimy wiedzieć. A jeśli nie, może uczynią to smoki. Albo może ty wskażesz nam drogę.

— Zupełnie jakby ślepy zawiódł widzących na skraj przepaści — Olcha roześmiał się.

— Tyle że my stoimy już na jej brzegu, a oczy mamy zamknięte — odparł czarnoksiężnik z Palnu.

* * *

Lebannen miał wrażenie, że statek jest zbyt mały, by pomieścić dręczący go ogromny niepokój. Kobiety siedziały pod swoim daszkiem, magowie pod swoim niczym kaczki w rzędzie, a on bez końca krążył po pokładzie, zniecierpliwiony ograniczeniami przestrzeni. Miał wrażenie, jakby to jego niecierpliwość, nie wiatr, popycha „Delfina” na południe, szybko, lecz nie dość szybko. Chciał, by podróż dobiegła już końca.

— Pamiętasz flotę w drodze na Wathort? — spytał Tosla. Razem

stali obok sternika, patrząc na mapę i na rozciągające się przed dziobem pogodne morze. — Wspaniały widok, trzydzieści statków płynących burta w burtę.

— Żałuję, że nie na Wathort płyniemy — odparł Lebannen.

— Nigdy nie lubiłem Roke — zgodził się Tosla. — Już dwadzieścia mil od brzegu nie uświadczysz uczciwego wiatru ani prądu, wyłącznie czary. A skały na południu nigdy nie są w tym samym miejscu. W mieście zaś roi się od oszustów i zmiennokształtnych. — Splunął fachowo na zawietrzną. — Wolałbym już spotkać się znów ze starym Rzeźnikiem i jego handlarzami niewolników.

Lebannen przytaknął, nie odpowiedział jednak. Dlatego właśnie cenił sobie towarzystwo Tosli. Kapitan mówił często dokładnie to, co Lebannen czuł, i wyrażał to lepiej, niż on by potrafił.

— Kim był ten człowiek, niemowa, który zabił na murze Sokoła? — spytał Tosla.

— Egre, pirat, który zajął się handlem niewolnikami.

— On cię znał. Już wtedy, pod Sorrą, rzucił się wprost na ciebie. Wciąż zastanawiam się dlaczego.

— Bo kiedyś wziął mnie w niewolę.

Niełatwo było zaskoczyć starego marynarza, teraz jednak Tosla spojrzał na króla z otwartymi ustami. Wyraźnie nie wierzył, lecz nie potrafił się do tego przyznać, toteż milczał. Lebannen przez chwilę napawał się efektem swoich słów. W końcu pożałował kapitana.

— Gdy Arcymag zabrał mnie ze sobą na poszukiwania Coba, najpierw popłynęliśmy na południe. Kiedy dotarliśmy do Hort, pewien człowiek zdradził nas i sprzedał handlarzom niewolników. Ogłuszyli Arcymaga, a ja uciekłem, myśląc, że odciągnę ich od niego. Ale im chodziło o mnie, nadawałem się na sprzedaż. Obudziłem się w łańcuchach, na pokładzie galery zmierzającej na Sowi. Nim jeszcze minęła noc, Arcymag mnie uratował. Kajdany spadły z nas niczym suche liście. A potem powiedział Egre'owi, by zamilkł, póki nie znajdzie czegoś wartego powiedzenia… Przybył na galerę niczym światło jaśniejące nad wodą. Wcześniej nie wiedziałem, kim jest naprawdę.

Tosla dobrą chwilę przetrawiał jego słowa.

— Uwolnił wszystkich niewolników? Czemu pozostali nie zabili Egre'a?

— Może zabrali go na Sowl i sprzedali?

Kapitan zastanawiał się jeszcze moment.

— I dlatego tak bardzo zależało ci na zakończeniu handlu niewolnikami?

— Owszem, to jeden z powodów.

— Taki fach raczej nie poprawia charakteru — zauważył Tosla.

Spojrzał na mapę Morza Najgłębszego przypiętą do deski po lewej ręce sternika. — Wyspa Way — mruknął. — Stąd pochodzi kobieta-smok.

— Zauważyłem, że jej unikasz.

Tosla ściągnął wargi, choć na pokładzie statku nigdy nie gwizdał.

— Znasz tę piosenkę, o której wspominałem? O dziewce z Belilo. Zawsze uważałem, że to zwykła bajka, póki jej nie zobaczyłem.

— Na pewno cię nie zje, Toslo.

— To byłaby piękna śmierć — odparł kwaśno marynarz.

Król roześmiał się.

— Nie prowokuj szczęścia.

— Nie ma obaw.

— Rozmawialiście przecież lekko, swobodnie. Zupełnie jakbyś próbował zaprzyjaźnić się z wulkanem. Ale wiesz co, chętnie obejrzałbym sobie ów prezent, który przysłali ci Kargowie. Sądząc po stopach, wart jest zobaczenia. Lecz jak wyciągnąć go z namiotu? Stopy są świetne, chętnie obejrzałbym kawałek kostki.

Lebannen poczuł, jak jego twarz tężeje. Odwrócił się, by nie okazywać tego towarzyszowi.

— Gdyby ktoś dał mi taką paczkę — dodał Tosla, spoglądając w morze — otworzyłbym ją.

Król nie zdołał pohamować zniecierpliwienia. Tosla to dostrzegł; niewiele umykało jego uwagi. Uśmiechnął się cierpko i umilkł. Wyszli na pokład.

— Chyba zaczyna się chmurzyć — zagadnął Lebannen.

— Na południu i zachodzie widać chmury burzowe — przytaknął Tosla. — Wejdziemy w nie wieczorem.

Stopniowo morze stawało się coraz bardziej niespokojne. Popołudniowe słońce nabrało odcienia mosiądzu. Ostre powiewy wiatru atakowały pokład ze wszystkich stron. Tenar wspomniała Lebannenowi, że księżniczka boi się morza i choroby morskiej, toteż zerknął na rufę, oczekując, że z rzędu kaczek znikną czerwone zasłony. Ale zniknęły Tenar i Tehanu. Księżniczka wciąż tam była. Obok niej siedziała Irian. Rozmawiały. O czym mogłaby rozmawiać kobieta-smok z Way z kobietą z haremu z Hur-at-Hur? Czy w ogóle potrafiły się porozumieć? Pytania te do tego stopnia nie dawały mu spokoju, że Lebannen ruszył w stronę daszku na rufie.

Irian uniosła wzrok i uśmiechnęła się. Miała silną, szczerą twarz, szeroki uśmiech. Z wyboru chodziła na bosaka, nie przejmowała się ubraniem ani tym, że wiatr targał jej włosy. Wyglądała na ładną, zapalczywą, inteligentną, prostą wieśniaczkę, gdyby nie oczy… Miały barwę dymnego bursztynu, a gdy patrzyła wprost na Lebannena, tak jak w tej chwili, nie potrafił w nie spojrzeć.

Już wcześniej wyraźnie oświadczył, że na pokładzie nie życzy sobie żadnych dworskich ceremonii, żadnych ukłonów ani dygów.

Nikt nie miał zrywać się z miejsca, gdy się zbliżył. Ale księżniczka wstała. Istotnie, jak zauważył Tosla, miała piękne stopy — niezbyt drobne, lecz wysoko wysklepione, silne i zgrabne. Dwie smukłe stopy na białych deskach pokładu. Lebannen powoli uniósł wzrok i przekonał się, że tak jak podczas ostatniego spotkania księżniczka rozsunęła zasłony, aby mógł ujrzeć jej twarz. Oszołomiła go surowa, niemal tragiczna uroda owej twarzy w czerwonym cieniu.

— Czy… czy wszystko w porządku, księżniczko? — spytał, zająknąwszy się lekko. Rzadko mu się to zdarzało.

— Moja przyjaciółka Tenar mówi, wdychaj wiatr — odparła.

— Tak — rzekł, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Czy twoi magowie mogliby jakoś jej pomóc? — spytała Irian, także wstając. Obie z kargijską księżniczką nie zaliczały się do niskich kobiet.

Lebannen próbował ustalić, jaką barwę mają oczy księżniczki, skoro w końcu je ujrzał. Niebieskie, pomyślał. Lecz przypominają błękitne opale, kryjące w sobie inne barwy. A może sprawiało to słońce przenikające przez czerwony welon.

— Pomóc?

— Bardzo nie chce znów chorować. Miała niezwykle ciężką podróż z Wysp Kargadzkich.

— Nie bać się — powiedziała księżniczka. Patrzyła wprost na niego, jakby rzucała mu wyzwanie. Tylko jakie?

— Oczywiście — rzekł — oczywiście. Spytam Onyksa. Jestem pewien, że coś poradzi — ukłonił się pospiesznie i odszedł poszukać maga.

Onyks i Seppel naradzili się, po czym zasięgnęli porady Olchy. Zaklęcie chroniące przed chorobą morską raczej nie było domeną wykształconych i potężnych magów, lecz czarowników uzdrowicieli. Oczywiście Olcha sam nie mógł nic zrobić, ale może pamięta jakiś urok? Niestety, nie znał żadnego. Nigdy nie podróżował morzem, póki nie zaczęły się jego kłopoty. Seppel wyznał, że sam także choruje w małych łódkach bądź przy złej pogodzie. W końcu Onyks podszedł do księżniczki, prosząc o wybaczenie. Nie potrafił jej pomóc, mógł tylko nieśmiało zaproponować talizman, który wręczył mu jeden z marynarzy, słysząc o obawach księżniczki. Marynarze, jak wiadomo, słyszą wszystko.

Spomiędzy czerwonozłocistych zasłon wynurzyła się dłoń o długich palcach. Mag umieścił w niej dziwny, czarno-biały przedmiot — suszone wodorosty oplatające mostek ptaka.

— To kość petrela, bo petrele szybują wśród burzy — wyjaśnił zawstydzony Onyks.

Księżniczka skłoniła niewidoczną głowę i wymamrotała słowa podzięki po kargijsku. Fetysz zniknął pośród zasłon. Wycofała się do

kabiny.

Statek kołysał się energicznie, niesiony porywistym wiatrem. Onyks spotkał na pokładzie króla.

— Gdybyś chciał, panie — rzekł — mógłbym przemówić do wiatrów… Lebannen doskonale wiedział, iż istnieją dwie szkoły dotyczące zmian pogody: stara szkoła zaklinaczy, którzy rozkazywali, by wiatry służyły statkom tak jak owczarek kieruje owcami, i nowa, licząca sobie najwyżej kilkaset lat, pochodząca z Roke, głosząca, iż magiczny wiatr można przywołać w potrzebie, lepiej jednak zaufać zwykłym wiatrom. Wiedział, iż Onyks jest gorącym wyznawcą poglądów z Roke.

— Wystarczy mi twój osąd, Onyksie. Jeśli uznasz, że czeka nas naprawdę trudna noc… A może spotkamy tylko kilka szkwałów…

Onyks spojrzał na czubek masztu, na którym w nagle zapadłym mroku błysnęły już pierwsze ogniki. W ciemności przed nimi, na południu, rozległ się ogłuszający grzmot. Za nimi ostatnie światło dnia odbijało się słabo we wzburzonych falach.

— Dobrze — rzekł z nieszczęśliwą miną i wrócił do niewielkiej zatłoczonej kabiny.

Lebannen niemal cały czas pozostawał na pokładzie. Tutaj też sypiał. Lecz tej nocy nikt z załogi i pasażerów „Delfina” nie zażył snu. Nie jeden szkwał, lecz cała seria letnich burz zaatakowała ich z południowego zachodu, a upiorne rozbłyski piorunów odbijających się w spienionym morzu, ogłuszające grzmoty, które zdawały się wstrząsać statkiem i rozbijać go na kawałki, i szaleńcze porywy wiatru rzucające okrętem jak słomką sprawiły, iż noc była długa i bardzo głośna.

Raz jeden Onyks spytał Lebannena, czy ma przemówić do wiatru. Lebannen spojrzał na kapitana, który wzruszył ramionami. Wraz z całą załogą mieli pełne ręce roboty, nie przejmowali się jednak. Statkowi nic nie groziło, a co do kobiet, ponoć siedziały w swej kabinie i grały. Wcześniej Irian z księżniczką wyszły na pokład, chwilami jednak trudno było utrzymać się na nogach, a do tego przeszkadzały marynarzom, toteż wycofały się do siebie. O tym, że grają, poinformował pomocnik kucharza, którego posłano, by spytał, czy chciałyby coś zjeść. Zażyczyły sobie wszystkiego, co mógłby przynieść.

Lebannen odkrył nagłe, że znów ogarnia go dogłębna ciekawość, którą poczuł już wcześniej po południu. W kabinie na rufie cały czas płonęły lampy; ich blask odbijał się złociście w pianie ścigającej statek. Około północy król poszedł na rufę i zastukał.

Drzwi otworzyła Irian. Po mroku i rozbłyskach burzy światło lamp w kabinie wydawało się ciepłe i spokojne, choć rozkołysane lampy rzucały tańczące cienie. Zaatakowały go kolory, miękkie barwy kobiecych strojów i ich skóry, brązowej, bladej bądź złotej, włosów

czarnych, siwych, płowych, oczu — oczy księżniczki spoglądały na niego zaskoczone. Pochwyciła szal, by ukryć za nim twarz.

— Och, myślałyśmy, że to kuchcik! — Irian roześmiała się.

— Kłopoty? — spytała Tehanu w swój cichy przyjazny sposób.

Nagle zorientował się, że stoi w drzwiach i wpatruje się w nie niczym niemy posłaniec losu.

— Nie, żadnych problemów. U was wszystko w porządku? Przepraszam, że tak kołysze.

— Nie odpowiadasz za pogodę — odparła Tenar. — Żadna z nas nie mogła spać, więc razem z księżniczką uczymy nasze towarzyszki kargijskich gier.

Ujrzał rozrzucone po stole pięciościenne kości. Prawdopodobnie należały do Tosli.

— Stawiałyśmy wyspy, ale przegrywamy z Tehanu — oznajmiła Irian. — Kargowie zdobyli już Ark i Hien.

Księżniczka opuściła szal. Z rezolutną miną siedziała naprzeciw Lebannena, potwornie spięta, niczym młody szermierz przed pojedynkiem. W cieple kabiny wszystkie chodziły boso, z odsłoniętymi ramionami, lecz jej skrępowanie z powodu niezakrytej twarzy przyciągało jego uwagę niczym magnes szpilkę.

— Przepraszam, że tak kołysze — powtórzył idiotycznie i odwracając się, usłyszał ich śmiech.

Wrócił na swoje miejsce obok sternika. Spoglądając w wietrzną deszczową ciemność rozświetlaną kapryśnymi odległymi błyskawicami, wciąż przed oczami miał kobiecą kabinę — czarny wodospad włosów Tehanu, czuły ironiczny uśmieszek Tenar, kości na stole, krągłe ramiona księżniczki (w blasku lampy miały barwę miodu). Jej szyja w cieniu włosów, choć nie pamiętał, by w ogóle patrzył na jej ramiona i szyję. Wyłącznie na twarz. Oczy pełne uporu, patrzące wyzywająco, z rozpaczą. Czego ona się bała? Czyżby sądziła, że chce ją skrzywdzić?

Na południowym niebie zalśniły pierwsze gwiazdy. Lebannen wrócił do zatłoczonej kabiny, rozwiesił sobie hamak, bo koje były już pełne, i przespał się kilka godzin. Ocknął się przed świtem, dalej dręczony niepokojem, i wrócił na pokład.

Dzień był pogodny i spokojny, zupełnie jakby w nocy nie szalała burza. Lebannen przy relingu na dziobie patrzył, jak pierwsze promienie słońca muskają taflę wody. Nagle przypomniał sobie starą pieśń:

Radości ma!
Nim Segoy dźwignął wyspy z dna
Jasna Ea stanęła wśród skał,
Poranny wiatr nad morzem wiał.

Bądź wolna, radości ma!

Był to fragment kołysanki z jego dzieciństwa, więcej nie pamiętał. Melodia brzmiała słodko. Lebannen zanucił ją cicho, pozwalając, by wiatr porywał mu słowa z ust.

W drzwiach kabiny stanęła Tenar, dostrzegła go i podeszła bliżej.

— Dzień dobry, mój miły panie — rzekła.

Powitał ją ciepło. Pamiętał, że gniewał się na nią, ale nie pamiętał czemu i jak to w ogóle możliwe.

— Czy wczoraj zdobyłyście Havnor dla Kargów? — zapytał.

— Nie, możesz zatrzymać Havnor. Poszłyśmy spać. Młode panny wciąż jeszcze drzemią. Czy dziś, jak to się mówi, zastukamy do Roke?

— Przybijemy do Roke? Nie, dopiero jutro rano. Przed południem powinniśmy znaleźć się w porcie Thwil. Jeśli dopuszczą nas do wyspy.

— To znaczy?

— Roke broni się przed niechcianymi gośćmi.

— Och, Ged wspominał mi o tym. Był kiedyś na statku i próbował tam dopłynąć, ale posłali przeciw niemu wiatr. Wiatr z Roke, tak to nazywał.

— Przeciw niemu?

— To było dawno temu. — Widząc pełną niedowierzania minę Lebannena, uśmiechnęła się radośnie. Tak bardzo nie chciał, by ktokolwiek wyrządził kiedykolwiek afront Gedowi. — Był wtedy jeszcze chłopcem i igrał z ciemnością. Tak powiedział.

— Gdy był mężczyzną, nadal z nią igrał.

— Teraz tego nie robi — odparła błogo Tenar.

— Nie, teraz my musimy się tym zająć. Chciałbym wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Jestem przekonany, iż wszystko zmierza do wielkiej przemiany, tak jak przepowiadał Ogion, tak jak Ged powiedział Olsze. I jestem też pewien, że musimy stawić czoło owej przemianie na Roke. Poza tym jednak nie wiem niczego. Nie mam pojęcia, z czym przyjdzie się nam zmierzyć. Gdy Ged zabrał mnie do mrocznej krainy, znaliśmy naszego wroga. Kiedy powiodłem flotę na Sorrę, wiedziałem, jakie zło zamierzam naprawić. Ale teraz… Czy smoki to nasi wrogowie, czy sojusznicy? Co się stało? Co musimy zrobić bądź zniszczyć? Czy Mistrzowie Roke zdołają nam powiedzieć? A może zwrócą przeciw nam swój wiatr?

— W obawie przed…?

— W obawie przed smokiem. Tym, którego znają. Albo którego nie znają…

Tenar spoważniała, lecz powoli jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— Niezłą przywozisz im zbieraninę. Nękany koszmarami czarownik, czarnoksiężnik z Palnu, dwa smoki i dwie Kargijki. Jedyni

godni szacunku pasażerowie na tym statku to ty i Onyks.

Lebannen nie potrafił się zaśmiać.

— Gdyby tylko on był z nami — rzekł.

Tenar położyła mu dłoń na ramieniu. Zaczęła coś mówić, umilkła. Nakrył dłonią jej rękę. Stali tak długą chwilę w milczeniu, obok siebie, patrząc na roztańczone morze.

— Księżniczka chce ci coś powiedzieć, nim dotrzemy na Roke — oznajmiła Tenar. — To historia z Hur-at-Hur. Tam na pustyni ludzie pamiętają rzeczy, które sięgają w przeszłość dalej niż cokolwiek, co zdarzyło mi się słyszeć, poza opowieścią kobiety z Kemay. Ma to coś wspólnego ze smokami. Zechcesz ją wezwać, by nie musiała prosić?

Świadom ostrożności i troski, z jaką mówiła, przez moment poczuł ukłucie zniecierpliwienia, wstydu. Patrzył, jak daleko na południu po morzu wędruje galera zmierzająca na Kemay bądź Way — maleńki jasny rozbłysk pośród fal.

— Oczywiście — rzekł. — Kolo południa?

— Dziękuję.

* * *

Koło południa Lebannen posłał młodego marynarza do kabiny z prośbą, by księżniczka przyszła do króla na pokład. Pojawiła się natychmiast, a że statek miał zaledwie pięćdziesiąt stóp długości, Lebannen mógł obserwować, jak zbliża się ku niemu. Droga nie była długa, choć może dla niej taką się wydawała, albowiem próg kabiny przekroczył nie gładki czerwony walec, lecz wysoka młoda kobieta. Miała na sobie miękkie białe spodnie, długą koszulę o barwie dymnej czerwieni i złoty diadem na głowie podtrzymujący bardzo cienki czerwony welon zasłaniający włosy i twarz. Welon trzepotał, unoszony powiewami morskiego wiatru. Młody marynarz przeprowadził księżniczkę pośród licznych przeszkód zakamarkami wąskiego zatłoczonego pokładu. Księżniczka stąpała powoli i dumnie. Była bosa. Wszystkie oczy na pokładzie skierowały się wprost na nią.

W końcu dotarła na dziób i przystanęła.

Lebannen ukłonił się.

— Twoja obecność przynosi nam zaszczyt, księżniczko.

Odpowiedziała głębokim dygnięciem z wyprostowaną głową i plecami.

— Dziękuję.

— Mam nadzieję, że w nocy nie chorowałaś.

W odpowiedzi położyła dłoń na amulecie, który zawiesiła sobie

na szyi, małej kostce okręconej czymś czarnym.

— *Kerez akath akatharwa erevi* — powiedziała. Wiedział, że po kargijsku słowo *akath* oznacza maga bądź magię.

Wszędzie wokół dostrzegał oczy, oczy w mrocznych kątach, pośród olinowania, w żaglach, oczy zwiastujące przyszłość, błyszczące, przenikliwe.

— Zechcesz pójść na przód statku? Może wkrótce ujrzymy Roke — zaproponował, choć nie istniała najmniejsza szansa, by przed porankiem zobaczyli wyspę.

Poprowadził ją, podsuwając rękę pod jej łokieć, nie dotykając jej jednak. Pokonali wzniesienie pokładu aż na sam dziób, gdzie pomiędzy kabestanem, bukszprytem i relingiem pozostał niewielki trójkątny podest. Naprawiający na nim liny marynarz odbiegł pospiesznie. Zostali sami. Wciąż byli obserwowani, mogli jednak odwrócić się plecami do załogi. Królowie i książęta nie mogą liczyć na większą prywatność.

Księżniczka zwróciła się twarzą ku niemu i podniosła welon. Lebannen zamierzał spytać, co może dla niej zrobić, lecz nagle pytanie to wydało się pozbawione sensu, nieważne. Milczał.

— Panie królu — rzekła. — Na Hur-at-Hur jestem *feyagat.* Na Roke mam być córką króla Kargadu. Nie będę więc *feyagat.* Mam gołą twarz. Jeśli to cię raduje.

— Tak — odparł po chwili. — Tak, księżniczko. Dobrze zrobiłaś.

— Raduje cię?

— I to bardzo. O tak. Dziękuję ci, księżniczko.

— *Barrezu* — rzekła, jak królowa przyjmująca podziękowania. Ogarnął go wstyd w obliczu niezwykłej godności księżniczki. Przed chwilą, gdy uniosła welon, jej twarz pokrył ognisty rumieniec. Teraz pobladła. Stała jednak prosto i nieruchomo, zbierając siły do kolejnej przemowy.

— Też — rzekła. — Ja też. Moja przyjaciółka Tenar.

— Nasza przyjaciółka Tenar — poprawił z uśmiechem.

— Nasza przyjaciółka Tenar. Mówi, że mam powiedzieć królowi Lebannenowi o Vedurnan.

Powtórzył to słowo.

— Dawno temu, dawno temu, ludzie z Kargu, ludzie magiczni, ludzie smoki, ha? Tak? Wszyscy ludzie jedno, wszyscy mówią jeden… jeden… Och! *Wuluah Mekrrevt*!

— Jeden język?

— Ha! Tak! Jeden język! — Tak bardzo skupiła się na próbach mówienia po hardycku, wyrażenia wszystkiego, co chciała rzec, że zapomniała o skrępowaniu. Jej twarz i oczy pojaśniały. — Ale potem ludzie smoki mówią: Zostawić, zostawić wszystko. Latać! Ale my ludzie mówimy: Nie, trzymać. Trzymać wszystko. Mieszkać. I

rozdzielamy się, tak? Ludzie-smoki i ludzie-my. Wtedy zawrzeć Vedurnan. Ci zostawiają, ci trzymają. Tak? Ale żeby zatrzymać rzeczy, musimy zostawić tamten język. Język ludzi smoków.

— Dawną Mowę?

— Tak! Więc my, ludzie, zostawiamy język Dawna Mowa i zatrzymujemy wszystkie rzeczy, a ludzie-smoki zostawiają wszystkie rzeczy, lecz zatrzymują język. Ha? *Seyneha*? To właśnie Vedurnan. — Wdzięcznie gestykulowała pięknymi dużymi dłońmi. Patrzyła mu w twarz z nadzieją, że zrozumiał. — My iść na wschód, wschód, wschód. Ludzie smoki na zachód, zachód. My mieszkać, oni latać. Niektóre smoki odejść na wschód z nami, ale nie trzymać języka, zapomnieć i zapomnieć, jak latać. Jak Kargowie. Kargowie mówią język Kargów, nie smoków. Wszyscy dotrzymać Vedurnan, wschód, zachód. *Seyneha*? Ale…

Połączyła ręce wskazujące na „wschód" i „zachód".

— Pośrodku? — odgadł Lebannen.

— Ha, tak! Pośrodku! — zaśmiała się z radości poznania nowego słowa. — Pośrodku wy! Ludzie czarów! Ha? Wy, ludzie środka, mówić po hardycki, ale też trzymać Dawna Mowa. Uczycie się jej. Tak jak ja hardyckiego. Ha? Mówić. A potem, potem to złe. Zła rzecz. Potem wy mówicie w języku czarów, języku Dawnej Mowie: Nie umrzemy. I tak być. Vedurnan złamany.

Jej oczy płonęły błękitnym ogniem. Po chwili spytała:

— Seyneha?

— Nie jestem pewien, czy rozumiem.

— Wy trzymać życie. Trzymać. Za długo. Nigdy nie zostawiać. Ale umrzeć… — Wyrzuciła ręce w powietrze w szerokim geście, jakby coś ciskała w dal nad wodę.

Ze smutkiem pokręcił głową.

— Ach… — Przez chwilę zastanawiała się, nie znalazła jednak odpowiednich słów. Pokonana, uniosła ręce dłońmi do góry we wdzięcznym geście poddania. — Muszę uczyć się więcej.

— Księżniczko, Mistrz Wzorów z Roke, Mistrz Gaju… — patrzył na nią, szukając śladów zrozumienia. Po chwili znów zaczął: — Na Roke mieszka człowiek, wielki mag, który jest Kargiem. Możesz powiedzieć mu to, co mnie, we własnej mowie.

Księżniczka słuchała uważnie. Skinęła głową.

— Przyjaciel Irian. Sercem pragnę pomówić z nim. — Rozpromieniła się wyraźnie.

Lebannen poczuł wzruszenie.

— Przykro mi, że byłaś tu samotna, księżniczko.

Spojrzała na niego czujna, promienna. Nie odpowiedziała.

— Mam nadzieję, że z czasem, gdy nauczysz się języka…

— Szybko się uczę — odparła.

Nie wiedział, czy to stwierdzenie, czy obietnica.

Patrzyli wprost na siebie.

Księżniczka powróciła do dworskiej maniery i przemówiła uroczyście jak na początku:

— Dziękuję, że ty wysłuchać, panie królu. — Opuściła głowę i oczy w geście szacunku. Potem znów dygnęła głęboko, mówiąc coś po kargijsku.

— Proszę — rzekł Lebannen. — Powiedz mi, co mówiłaś.

Księżniczka umilkła, zawahała się, ale zaczęła tłumaczyć:

— Twoi, twoi, ach, mali królowie? Synowie! Twoi synowie, niech będą smokami i królami smoków. Ha? — Uśmiechnęła się radośnie, opuściła welon, który natychmiast zakrył jej całą twarz, cofnęła się cztery kroki, obróciła i odeszła zgrabnie i pewnie. Lebannen stał bez ruchu, jakby piorun z zeszłej nocy w końcu go dosięgną!

ROZDZIAŁ 5
POŁĄCZENIE

Ostatnia noc morskiej podróży była spokojna, ciepła, bezgwiezdna. „Delfin” pokonywał kolejne łagodne fale, zmierzając na południowy zachód. Ludzie łatwo zasnęli i pogrążeni we śnie śnili.

Olcha śnił o zwierzątku, które podeszło doń w ciemności i dotknęło dłoni. Nie widział, co to za zwierzę, a kiedy wyciągnął rękę, zniknęło. Nagle znów poczuł, jak mały aksamitny pyszczek dotyka jego palców. Uniósł się i sen umknął, lecz w sercu pozostał ból tęsknoty za czymś utraconym.

Na koi pod nim Seppel śnił, że jest we własnym domu w Ferao na Palnie i czyta starą księgę wiedzy z mrocznych czasów. Z zadowoleniem oddawał się pracy, nagle jednak mu przerwano. Ktoś chciał się z nim widzieć.

— To potrwa tylko chwilkę — rzekł do siebie i wyszedł pomówić z gościem. Przybysz okazał się kobietą o ciemnych włosach połyskujących czerwienią, a twarzy pięknej i zatroskanej.

— Musisz go do mnie przysłać — rzekła. — Przyślesz go do mnie, prawda?

Nie wiem, o co jej chodzi, pomyślał. Ale muszę udawać, że wiem. Toteż odparł:

— To nie będzie łatwe.

W tym momencie kobieta cofnęła rękę i ujrzał, że trzyma w niej kamień, ciężki kamień. Zaskoczony przestraszył się, że zamierza go nim uderzyć. Odskakując gwałtownie, ocknął się w ciemności kabiny. Przez długi czas leżał, nasłuchując oddechu pozostałych śpiących i szeptu morza za burtą.

W koi po drugiej stronie niewielkiego pomieszczenia Onyks leżał na wznak, patrząc w ciemność. Sądził, że ma otwarte oczy, że nie śpi. Lecz miał wrażenie, jakby jego ręce i nogi, głowę i dłoń oplatało mnóstwo cienkich sznurków, których końce znikały w mroku ponad lądem i morzem, aż za krzywizną świata. I pociągały go, szarpały tak, że on sam i statek wraz ze wszystkimi pasażerami podążali powoli, łagodnie do miejsca, w którym morze wysycha, w którym okręt w ciszy osiądzie na mieliźnie ślepych piasków. Nie mógł jednak niczego powiedzieć, nic zrobić, bo sznurki zamykały mu usta i oczy.

Lebannen poszedł spać do kabiny. Rankiem, kiedy przybiją do wyspy Roke, chciał mieć świeży umysł. Zasnął szybko, głęboko, a jego sny nieustannie się zmieniały. Wysokie zielone wzgórze nad morzem. Kobieta, która z uśmiechem podniosła rękę, pokazując, iż potrafi sprawić, że słońce wzejdzie. Posłaniec na dworze w Havnorze, od

którego z przerażeniem i wstydem dowiedział się, że połowa jego ludu umiera z głodu w zamkniętych pomieszczeniach pod domami. Dziecko krzyczące: „Chodź do mnie!”, on jednak nie potrafił go znaleźć. A gdy tak spał, prawą rękę zaciskał mocno na kamyku w niewielkim woreczku na szyi.

Kobiety także śniły. Seserakh wędrowała w góry, piękne, ukochane, pustynne góry jej ojczyzny. Szła jednak zakazaną ścieżką, Smoczą Drogą. Ludzkie stopy nie mogą po niej stąpać, nawet jej przekroczyć. Pod bosymi nogami czuła gładki, ciepły piasek. Cały czas myślała, że nie wolno jej tędy iść. Ale szła, aż w końcu uniosła wzrok i przekonała się, że góry nie są tymi, które zna, lecz czarnymi, poszarpanymi wierzchołkami, na które nigdy nie zdołałaby się wspiąć. A jednak musiała.

Irian leciała radośnie, niesiona burzowym wiatrem, lecz burza posiała ku niej pętlę błyskawic, wiążąc jej skrzydła i ściągając coraz niżej i niżej w stronę chmur. A gdy się do nich zbliżyła, odkryła, że to nie chmury, lecz czarne skały. Czarne, poszarpane górskie pasmo. Błyskawice więziły jej skrzydła, przyciskały do boków, i runęła.

Tehanu czołgała się tunelem głęboko pod ziemią. Brakowało jej powietrza, tchu. Tunel stawał się coraz węższy, nie mogła zawrócić. Czasami jednak widywała połyskujące w ciemności korzenie drzew przebijające ziemię. Chwytała je i podciągała się naprzód, w ciemność.

Tenar wspinała się po stopniach przed Tronem Bezimiennych w świętym miejscu na Atuanie. Była niska, a stopnie bardzo wysokie, toteż pokonywała je z najwyższym trudem. Kiedy jednak dotarła do czwartego stopnia, nie zatrzymała się i nie odwróciła, jak poleciły jej kapłanki. Pokonała następny, kolejny i jeszcze kolejny, pokryty warstwą pyłu tak grubą, że całkowicie przesłaniała kamień. Tenar musiała na oślep szukać kolejnego progu, na którym nigdy nie stanęła ludzka stopa. Wspinała się szybko, ponieważ tuż za pustym tronem Ged zostawił bądź zgubił coś bardzo ważnego dla tysięcy ludzi, a ona musiała to znaleźć. Kamień, kamień, powtarzała w myślach. Kiedy jednak wczołgała się w końcu za tron, ujrzała jedynie pył, odchody sów i pył.

W alkowie domu Starego Maga na Overfell na Goncie Ged śnił, że jest Arcymagiem. Rozmawiał ze swym przyjacielem Thorionem. Razem wędrowali Korytarzem Run do sali spotkań mistrzów szkoły.

— Nie mam już żadnej mocy — powiedział otwarcie — i to od lat.

Mistrz Przywołań uśmiechnął się.

— Ale wiesz, to był tylko sen.

Niepokój Geda budziły długie czarne skrzydła, które wlokły się za nim korytarzem. Wzruszył ramionami, próbując je podnieść, jednak ciągnęły się wciąż po podłodze niczym puste worki.

— A ty masz skrzydła? — spytał przyjaciela.

— O tak — odparł Thorion pogodnie, pokazując mu własne skrzydła, przywiązane ciasno do pleców i nóg wieloma cienkimi sznurkami. — Jestem dobrze spętany — dodał.

Wśród drzew Gaju Wewnętrznego na Roke Mistrz Wzorów Azver, jak zwykle latem, spał na polanie, nieopodal wschodniego skraju lasu. Mógł stąd widzieć przeświecające przez liście gwiazdy. Zwykle nawiedzały go lekkie, przejrzyste sny. Jego umysł wędrował pomiędzy marzeniami a myślami, kierując się wskazaniami gwiazd i liści, zmieniających miejsca w nieustannym tańcu. Lecz tej nocy gwiazdy nie świeciły, a liście wisiały nieruchomo. Spojrzał w mroczne niebo i przeniknął wzrokiem chmury. Na wysokim czarnym firmamencie lśniły gwiazdy — małe, jasne, nieruchome. Nie poruszały się. Wiedział, że ranek nie nadejdzie. I wtedy usiadł gwałtownie, budząc się, spoglądając w słabe miękkie światło, zawsze wypełniające dróżki między drzewami. Jego serce biło powoli i bardzo mocno.

W Wielkim Domu młodzi mężczyźni wiercili się i krzyczeli we śnie. Śniło im się, że muszą walczyć z potężną armią na pylistej równinie. Lecz wojsko, które stanęło naprzeciw nich, składało się ze starców, starych kobiet, ludzi słabych i chorych, zapłakanych dzieci.

Mistrzowie Roke śnili, że morzem zbliża się ku nim statek, głęboko zanurzony w wodzie, bo wiezie wielki ciężar. Jednemu z nich śniło się, iż ładunek statku to czarne skały. Inny sądził, że to ogień. Jeszcze inny — sny.

Siedmiu mistrzów śpiących w Wielkim Domu budziło się kolejno w swych kamiennych celach. Przywołali magiczne światła i wstali. Przy drzwiach zastali już Odźwiernego.

— O świcie — rzekł z uśmiechem — przybędzie król.

* * *

— Pagórek Roke — oznajmił Tosla, patrząc na odległą, niewyraźną, nieruchomą falę na południowym zachodzie, wznoszącą się ponad rozświetlone pierwszym brzaskiem wody. Lebannen milczał. Chmury się rozproszyły, nad wielkim kręgiem morza wisiała czysta, bezbarwna kopuła nieba.

Dołączył do nich kapitan statku.

— Piękny poranek — szepnął.

Łuna na wschodzie pojaśniała, nabrała barwy złota. Lebannen obejrzał się za siebie. Dwie kobiety już wstały. Stanęły razem przy relingu, wysokie, bose, milczące. Patrzyły na wschód.

Pierwsze promienie słońca padły na szczyt krągłego zielonego wzgórza. Nastał już dzień, gdy wpłynęli pomiędzy przylądki zatoki Thwil. Wszyscy zebrali się na pokładzie. Rzadko się odzywali.

W porcie wiatr ucichł. W nieruchomej wodzie odbijało się miasteczko nad zatoką i mury wielkiego domu nad miastem. Statek sunął coraz wolniej i wolniej.

Lebannen zerknął na kapitana, a potem na Onyksa. Kapitan przytaknął, czarodziej uniósł ręce i rozchylił je powoli w geście zaklęcia. Wymamrotał jedno słowo.

Statek przestał zwalniać. Sunął łagodnie, póki nie dobił do najdłuższego pomostu. Wówczas kapitan wydał rozkaz. Marynarze zwinęli wielki żagiel, inni zaczęli rzucać liny do ludzi w porcie. Krzyki zakłóciły osobliwą ciszę.

W przystani czekali ludzie pragnący ich powitać, mieszkańcy miasta i grupa młodzieńców ze szkoły. Wśród nich stał potężny, rosły, ciemnoskóry mężczyzna dzierżący w dłoni ciężką, dorównującą mu wysokością laskę.

— Witaj na Roke, królu krain zachodnich — powiedział, występując naprzód. Marynarze rzucili trap. — Witam też wszystkich twoich towarzyszy.

Młodzi ludzie i mieszczanie wykrzyknęli radośnie, pozdrawiając króla. Lebannen odpowiedział wesoło, schodząc na ziemię. Powitał Mistrza Przywołań i przez chwilę rozmawiali.

Obserwatorzy widzieli wyraźnie, że Mistrz Przywołań marszczy brwi. Jego wzrok nieustannie wędrował w stronę stojących przy relingu kobiet, a odpowiedzi wyraźnie nie zadowalały króla.

Gdy Lebannen wrócił na pokład, podeszła do niego Irian.

— Królu i panie — powiedziała — możesz przekazać mistrzom, że tym razem nie chcę przekraczać progu ich domu? Nie weszłabym tam, nawet gdyby mnie zaprosili.

— Mistrz Wzorów zaprasza cię do siebie, do Gaju — odpowiedział Lebannen niezwykle surowo.

Słysząc to, Irian roześmiała się promiennie.

— Wiedziałam, że to zrobi. A Tehanu pójdzie ze mną.

— I moja matka — szepnęła Tehanu.

Spojrzał na Tenar, która przytaknęła.

— Niechaj i tak będzie — rzekł — a reszta z nas zamieszka w Wielkim Domu. Chyba że ktoś woli gdzie indziej?

— Za pozwoleniem, panie — odezwał się Seppel — ja także chciałbym prosić o gościnę Mistrza Wzorów.

— Seppelu, to nie będzie konieczne — wtrącił szorstko Onyks. — Chodź ze mną do mego domu.

Pelnijski czarnoksiężnik uniósł dłoń w przepraszającym geście.

— Nie chciałem urazić twoich przyjaciół, przyjacielu, lecz całe

życie marzyłem o tym, by przejść się wśród drzew Gaju Wewnętrznego. Będę tam swobodniejszy niż tutaj.

— Możliwe, że drzwi Wielkiego Domu są nadal przede mną zamknięte — wtrącił z wahaniem Olcha.

Blada twarz Onyksa poczerwieniała ze wstydu.

Ukryta w mroku welonu księżniczka zwracała się kolejno ku każdemu mówiącemu. Wyraźnie próbowała zrozumieć, o czym mowa.

— Proszę, panie królu, mogę być z moją przyjaciółką Tenar, moją przyjaciółką Tehanu i Irian, i pomówić z tym Kargiem?

Lebannen obejrzał się na Mistrza Przywołań czekającego u trapu i wybuchnął śmiechem. Potem przemówił czystym, przyjaznym głosem:

— Moi ludzie długo tłoczyli się w kabinach statku, Mistrzu Przywołań. Najwyraźniej tęsknią za tym, by poczuć pod stopami trawę, a nad głowami liście. Jeśli wszyscy poprosimy Mistrza Wzorów, by nas przyjął, a on się zgodzi, wybaczysz nam, że zrezygnujemy z gościnności Wielkiego Domu? Przynajmniej na jakiś czas.

Po chwili Mistrz Przywołań sztywno skłonił głowę.

Obok niego pojawił się niski, przysadzisty mężczyzna. Popatrzył z uśmiechem na Lebannena, unosząc laskę ze srebrzystego drewna.

— Panie — rzekł — kiedyś, dawno temu, zaprowadziłem cię do Wielkiego Domu i opowiedziałem stek kłamstw.

— Hazard! — wykrzyknął Lebannen. Spotkali się na trapie i objęli. Pogrążeni w rozmowie zeszli na ląd.

Onyks jako pierwszy podążył za królem. Z powagą i szacunkiem przywitał Mistrza Przywołań, potem odwrócił się do Hazarda.

— Jesteś teraz Mistrzem Wiatrów? — spytał i także go objął. — Godny mistrz, doprawdy. — Odprowadzając Hazarda na bok, zaczął mówić coś szybko, marszcząc czoło.

Lebannen wezwał pozostałych pasażerów, by zeszli na ląd. Przedstawiał ich kolejno dwóm mistrzom z Roke, Mistrzowi Przywołań Brandowi i Mistrzowi Wiatrów Hazardowi.

Na większości wysp Archipelagu ludzie nie dotykali dłoni na powitanie, jak to było w zwyczaju na Enladzie, jedynie skłaniali głowy albo unosili ręce do serca w geście oddania. Gdy Irian i Mistrz Przywołań stanęli naprzeciw siebie, nie uczynili żadnego gestu. Stali sztywno ze spuszczonymi rękami.

Księżniczka dygnęła nisko, sztywno.

Tenar skłoniła głowę, Mistrz Przywołań odpowiedział tym samym.

— Kobieta z Gontu, córka Arcymaga, Tehanu — przedstawił Lebannen.

Tehanu pochyliła głowę i położyła dłoń na sercu, lecz Mistrz Przywołań spojrzał na nią wstrząśnięty i cofnął się, jakby otrzymał bolesny cios.

— Pani Tehanu — powiedział szybko Hazard, występując naprzód pomiędzy nią i swego towarzysza. — Witamy cię na Roke, z szacunku dla twego ojca, matki i ciebie samej. Mam nadzieję, że miałaś miłą podróż.

Tehanu spojrzała na niego zaskoczona i skuliła się w niezręcznym ukłonie, kryjąc twarz. Ledwo zdołała wyszeptać jakąś odpowiedź.

Oblicze Lebannena przypominało maskę z brązu, spokojną i pogodną.

— Tak, podróż mieliśmy dobrą, Hazardzie, choć wciąż nie wiemy, jak się zakończy. Czy zatem ruszymy już przez miasto? Tenar, Tehanu, księżniczko, Orm Irian? — Ostatnie imię wymówił ze szczególnym naciskiem.

Ruszył naprzód z Tenar, pozostali podążyli jego śladem. Gdy Seserakh zeszła na ląd, śmiałym gestem odrzuciła czerwony welon.

Hazard szedł z Onyksem, Olcha z Seppelem, Tosla został na statku. Jako ostatni przystań opuścił Mistrz Przywołań Brand. Szedł samotnie ciężkim krokiem.

* * *

Tenar wielokrotnie wypytywała Geda o Gaj. Lubiła, kiedy jej go opisywał.

— Z początku, na pierwszy rzut oka, przypomina zwykły zagajnik. Niezbyt wielki. Na północy i wschodzie pod samą jego granicę podchodzą poła. Na południu i zachodzie otaczają go wzgórza. Wygląda zwyczajnie, a jednak przyciąga wzrok i czasami z Pagórka Roke widać, że to las ciągnący się bez końca. Próbujesz dostrzec jego granice, ale nie możesz, ciągnie się daleko na zachód… A kiedy nim wędrujesz, znów wydaje się zwyczajny, choć drzewa należą w większości do gatunku rosnącego tylko tam, są wysokie, o brązowych pniach, czasem przypominają dęby, czasem kasztanowce.

— Jak się nazywają?

Ged roześmiał się.

— *Arhada,* w Dawnej Mowie. Drzewa… Po hardycku drzewa Gaju. Ich liście nie opadają jesienią, lecz częściowo o każdej porze roku, toteż zawsze jest tam zielono z przebłyskami złota. Nawet w mroczny dzień drzewa zdają się przechowywać w sobie blask słońca. A nocą nigdy nie zapada tam prawdziwy mrok. Liście migoczą niczym promienie gwiazd, księżyca. Rosną tam wierzby, dęby i świerki, a także inne gatunki. Gdy jednak wchodzisz głębiej, widzisz ich coraz mniej, a coraz więcej drzew Gaju. Korzeniami sięgają głębiej niż

korzenie wysp. Niektóre są potężne, inne smukłe. Niewiele jednak znajdziesz powalonych, niewiele młodych. Żyją bardzo, bardzo długo. — Mówił miękkim głosem, rozmarzony. — Możesz wędrować bez końca w ich cieniu, w ich blasku, i nigdy nie opuścić Gaju.

— Czy Roke jest aż tak duża?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Lasy tu, na górze Gont, są tym samym lasem. Wszystkie lasy.

A teraz sama ujrzała Gaj. W ślad za Lebannenem pokonali kręte zdradzieckie uliczki Thwil. Przez jakiś czas wokół nich zbierali się mieszkańcy miasta wychodzący na powitanie króla, ale powoli zostawali w tyle, gdy podróżnicy opuścili miasto i ruszyli drogą pomiędzy żywopłotami i farmami. Stopniowo droga zwężała się, zamieniała w ścieżkę mijającą wysokie, okrągłe wzgórze. Pagórek Roke.

Ged opowiedział jej także o Pagórku. W tym miejscu każda magia nabiera siły. Wszystko ma swoją prawdziwą postać.

— Tylko tam — rzekł — nasza magia i Dawne Moce ziemi spotykają się, łączą w jedno.

Wiatr szeleścił długą suchą trawą na wzgórzu. Źrebię osła galopowało na sztywnych nogach po rżysku, wymachując ogonem. Wzdłuż ogrodzenia przecinającego wąski strumyk wędrowało powoli stado krów. A w dali widać było drzewa, ciemne cieniste drzewa.

Lebannen pierwszy pokonał wał i mostek wiodący na słoneczną łąkę na skraju lasu. Przy strumieniu dostrzegli niewielki, rozsypujący się dom. Irian oderwała się od grupy, pobiegła naprzód, wśród traw, do domu i pogładziła ręką futrynę, tak jak zwykle po długiej nieobecności gładzi się i wita ukochanego konia lub psa.

— Kochany dom. — Odwróciła się do nich z uśmiechem. — Mieszkałam tu, kiedy byłam Ważką.

Rozejrzała się, mierząc wzrokiem pierwsze drzewa, a potem pobiegła naprzód.

— Azver! — zawołała.

Z cienia wynurzył się człowiek. Stanął w słońcu; jego włosy połyskiwały niczym czyste srebro. Stał bez ruchu. Irian podbiegła do niego. Uniósł ręce, a ona pochwyciła je mocno.

— Nie oparzę cię, tym razem cię nie oparzę — mówiła, śmiejąc się i płacząc bez łez. — Zgasiłam swój ogień!

— Córko Kalessina, witaj w domu.

— Jest ze mną moja siostra.

Wówczas Azver odwrócił swą twarz — jasną, twardą kargijską twarz — i spojrzał wprost na Tehanu. Podszedł do niej i ukląkł na oba kolana.

— *Hama Gondun*! — powiedział i dodał ponownie: — Córko Kalessina.

Tehanu przez moment trwała bez ruchu. Powoli wyciągnęła do niego prawą spaloną rękę, szpon. On skłonił się, ujął ją i ucałował.

— To dla mnie zaszczyt, że mogłem przepowiedzieć twoje przybycie, Kobieto z Gontu — rzekł z pełną zachwytu czułością.

Potem wstał i ukłonił się przed Lebannenem.

— Witaj, mój królu.

— Rad jestem, mogąc ujrzeć cię ponownie, Mistrzu Wzorów. Sprowadziłem do twej samotni cały tłum.

— W mojej samotni i tak panuje tłok — odparł Mistrz Wzorów. — Kilka żywych dusz pomoże przywrócić tu równowagę.

Jego oczy, jasne niebiesko-zielone oczy patrzyły na nich bystro. Nagle uśmiechnął się, ciepło, szeroko. Uśmiech ten nie pasował do jego twardej twarzy.

— Widzę też kobiety z mojego ludu — powiedział po kargijsku i podszedł do Tenar i Seserakh.

— Jestem Tenar z Atuanu, z Gontu. Moja towarzyszka to Najwyższa Księżniczka Wysp Kargadzkich.

Mistrz Wzorów ukłonił się głęboko. Seserakh odpowiedziała sztywnym dygnięciem. Z jej ust wylał się potok kargijskich słów.

— Och, panie kapłanie, cieszę się, że tu jesteś. Gdyby nie moja przyjaciółka Tenar, oszalałabym. Myślałam już, że na świecie nie pozostał nikt, kto potrafi mówić jak człowiek, poza głupimi kobietami, które przysłano ze mną z Awabath. Ale uczę się mówić jak oni i uczę się odwagi. Tenar to moja przyjaciółka i nauczycielka, lecz zeszłej nocy złamałam tabu! Złamałam tabu. Och, panie kapłanie, proszę, powiedz mi, jak mam to odpokutować? Szłam Smoczą Drogą!

— Ale przecież byłaś na statku, księżniczko — przypomniała Tenar (Śniłam — wtrąciła niecierpliwie Seserakh) — a Mistrz Wzorów to nie kapłan, lecz… mag…

— Księżniczko — przerwał jej Azver — myślę, że wszyscy wędrujemy Smoczą Drogą i wszystkie tabu mogą ulec zniszczeniu, zostać złamane, nie tylko we śnie. Pomówimy o tym później, pod drzewami. Nie lękaj się. Pozwól jednak, że najpierw powitam mych przyjaciół.

Seserakh z godnością skinęła głową, a on odwrócił się do Olchy i Onyksa.

Księżniczka nie spuszczała z niego wzroku.

— To wojownik — powiedziała z satysfakcją do Tenar po kargijsku — nie kapłan. Kapłani nie mają przyjaciół.

Wszyscy powoli ruszyli naprzód, w cień drzew.

Tenar uniosła wzrok i ujrzała sklepiony labirynt gałęzi, kolejne warstwy i poziomy liści. Dostrzegła dęby i wielkie drzewa hamman, lecz większość stanowiły drzewa Gaju. Ich owalne liście poruszały się lekko niczym liście topoli i osiki. Niektóre pożółkły — na ziemi

dostrzegła złocistobrązowe plamy — lecz w porannym świetle listowie miało soczystą barwę lata, pełną cieni i miękkiego światła.

Mistrz Wzorów poprowadził ich ścieżką wśród drzew. Idąc naprzód, Tenar znów pomyślała o Gedzie. Przypomniała sobie jego głos, gdy opowiadał o tym miejscu. W tej chwili czuła mu się bliższa niż kiedykolwiek od czasu, gdy wraz z Tehanu zostawiły go na progu domu wczesnym latem i ruszyły do Portu Gont na królewski statek, który miał zabrać je do Havnoru. Wiedziała, że dawno temu Ged mieszkał tu z ówczesnym Mistrzem Wzorów, a później wędrował z Azverem. Wiedziała, że Gaj jest dla niego najważniejszym, uświęconym miejscem, że tu odnalazł spokój. Miała wrażenie, że gdy uniesie wzrok, ujrzy go na jednej z owych długich rozsłonecznionych polan. I myśl ta koiła jej serce.

Sen z zeszłej nocy poruszył ją do głębi. A gdy Seserakh wspomniała, iż we śnie złamała tabu, Tenar słuchała tego wstrząśnięta. Ona także złamała w swym śnie tabu, święty zakaz. Weszła na ostatnie trzy stopnie przed pustym tronem. Zakazane stopnie. Miejsce Grobowców na Atuanie należało już do przeszłości, odległej przeszłości. Być może, trzęsienie ziemi nie pozostawiło po sobie żadnego tronu i stopni w świątyni, w której odebrano jej imię. Lecz Dawne Moce ziemi wciąż tam były; były też tutaj. One nie zmieniały się, były trzęsieniem ziemi i samą ziemią. Ich sprawiedliwość nie przypominała ludzkiej. Gdy Tenar wędrowała obok krągłego wzgórza, Pagórka Roke, wiedziała, że znalazła się w miejscu, w którym spotykają się wszystkie moce.

Dawno temu sprzeciwiła się im, wyrwała z Grobowców, skradła ich skarb, uciekła tu, na zachód. Ale one były tutaj, pod jej stopami, w korzeniach drzew, korzeniach wzgórza.

Teraz zaś tu, w sercu świata, w którym spotykały się moce ziemi, znalazły się także ludzkie moce. Król, księżniczka, mistrzowie magii i smoki.

A także kapłanka złodziejka, żona farmera oraz wioskowy czarownik ze złamanym sercem.

Obejrzała się na Olchę. Szedł obok Tehanu, rozmawiali cicho. Tehanu w jego towarzystwie odzywała się częściej nawet niż przy Irian, i czuła się swobodnie. Widok ten cieszył serce Tenar. Pod wielkimi drzewami pogrążyła się w dziwnym transie, w świecie zielonego światła i roztańczonych liści. Pożałowała, gdy po chwili Mistrz Wzorów się zatrzymał. Miała wrażenie, że tu, w Gaju, mogłaby wędrować wiecznie.

Zebrali się na trawiastej polanie. Pośrodku gałęzie rozstępowały się, odsłaniając niebo. Bokiem biegł dopływ rzeki Thwilburn. Na jego brzegu rosły wierzby i olchy. Niedaleko strumienia stał niski, przysadzisty dom z kamienia i darni. Jedną ze ścian ocieniał wysoki

dach zbudowany z trzcinowych mat i słomianych powróseł.

— Pałac zimowy, pałac letni — oznajmił Azver.

Onyks i Lebannen patrzyli zdumieni na niewielki budynek.

— Nie wiedziałam, że masz jakiś dom! — wykrzyknęła Irian.

— Bo nie miałem — wyjaśnił Mistrz Wzorów. — Lecz kości się starzeją.

Dzięki zapasom ze statku dom wkrótce wyposażono w posłania dla kobiet, a pod dachem ułożono sienniki dla mężczyzn. Chłopcy biegali tam i z powrotem z miasta do Gaju, przynosząc zapasy z kuchni Wielkiego Domu. Późnym popołudniem na zaproszenie Mistrza Wzorów zjawili się inni mistrzowie. Przybyli na spotkanie orszaku króla.

— Czy tu zbierają się, aby wybrać nowego Arcymaga? — spytała Onyksa Tenar, bo Ged wspomniał jej o sekretnej polanie.

Onyks pokręcił głową.

— Chyba nie. Król by wiedział, bo był tu podczas ostatniego spotkania. Możliwe jednak, że potrafi to stwierdzić jedynie Mistrz Wzorów, gdyż w tym lesie wszystko się zmienia. Nie zawsze rzeczy są tam, gdzie powinny. Ścieżki także ulegają zmianom.

— To powinno być przerażające — odparła — ale jakoś się nie boję.

Uśmiechnął się.

— Tak już tu jest.

Patrzyła, jak mistrzowie wchodzą na polanę. Przewodził im potężny, niedźwiedziowaty Mistrz Przywołań i Hazard, młody zaklinacz pogody. Onyks wyjaśnił jej, kim są pozostali: Mistrz Przemian, Mistrz Pieśni, Mistrz Ziół, Mistrz Rzemiosł, wszyscy siwi, Mistrz Przemian, kruchy ze starości, posługujący się laską czarnoksiężnika jak zwykłą do podpierania. Odźwierny o gładkiej twarzy i migdałowych oczach wydawał się ani młody, ani stary. Mistrz Imion, który przybył ostatni, wyglądał na jakieś czterdzieści lat. Twarz miał spokojną i zamkniętą. Przedstawił się królowi swym imieniem, Kurremkarmerruk.

W tym momencie Irian wybuchnęła oburzona:

— Ale ty nim nie jesteś!

— To imię Mistrza Imion — oświadczył spokojnie.

— Zatem mój Kurremkarmerruk nie żyje?

Skinął głową.

— Och! — krzyknęła. — Co za smutna nowina! Był moim przyjacielem w czasach, kiedy miałam tu niewielu przyjaciół.

Odwróciła się i pogrążona w gniewie nie chciała spojrzeć na Mistrza Imion. Rozpaczała, ale nie roniła łez. Powitała ciepło Mistrza Ziół i Odźwiernego, do pozostałych nie odezwała się ani słowem.

Tenar dostrzegła, że wszyscy magowie obserwują Irian

niespokojnie spod posiwiałych brwi.

Potem spojrzeli na Tehanu i znów odwrócili wzrok. Zerkali z ukosa. Tenar zaczęła się zastanawiać, co widzą, kiedy patrzą na Tehanu i Irian. Oni bowiem widzieli oczami magów.

Zmusiła się zatem, by wybaczyć Mistrzowi Przywołań niestosowną, nieskrywaną grozę, gdy pierwszy raz ujrzał Tehanu. Może nie było to przerażenie, lecz podziw.

Kiedy wszyscy już się poznali i usiedli w kręgu na poduszkach, na pniakach i na dywanie z traw pod sklepieniem nieba i liści, Mistrz Wzorów przemówił głosem, w którym wciąż pozostały ślady akcentu kargijskiego.

— Bracia Mistrzowie, proszę króla, by przemówił, jeśli zechce.

Lebannen wstał. Tenar obserwowała go cały czas z nieskrywaną dumą. Był taki piękny, taki mądry mimo swej młodości. Z początku nie śledziła wszystkich jego słów, wystarczyło jej ogólne znaczenie i dźwięcząca w nich pasja.

Opowiedział Mistrzom krótko i jasno o tym, co sprowadza go na Roke — o smokach i snach.

Na zakończenie rzekł:

— Odnieśliśmy wrażenie, że każdej nocy wszystkie te sprawy zbliżały się ku sobie, coraz wyraźniej zmierzając razem ku zakończeniu. Pomyśleliśmy, że tu, w tym miejscu, dzięki waszej wiedzy i mocy zdołamy przewidzieć owo wydarzenie i stawić mu czoło, nie pozwalając, by zawładnęło naszymi umysłami. Najmądrzejsi z naszych magów przepowiadali, iż nadciąga wielka zmiana. Musimy złączyć swe siły, dowiedzieć się, co to za zmiana, co ją spowodowało, dokąd zmierza i jak możemy sprawić, aby konflikt i chaos przerodziły się w pokój i harmonię. Pokój, w imię którego władam.

Mistrz Przywołań Brand wstał. Po kilku dworskich frazesach, ze szczególną atencją witając Najwyższą Księżniczkę, powiedział:

— Wszyscy mistrzowie i magowie z Roke zgadzają się, iż sny ludzi i coś więcej niż tylko sny ostrzegają nas przed poważną zmianą. Potwierdzamy też, że coś narusza najtrwalsze bariery oddzielające życie od śmierci. Coś je przekracza i tworzy zagrożenie. Wątpimy jednak, by owe zakłócenia porządku rzeczy mógł zrozumieć ktoś poza mistrzem magii. Bardzo poważnie wątpimy też, by smokom, których życie i śmierć tak bardzo różnią się od ludzkich, można było zaufać. Trudno uwierzyć, iż powstrzymają swój szaleńczy gniew i zazdrość, aby służyć ludzkiemu dobru.

— Mistrzu Przywołań — odezwał się Lebannen, nim Irian zdołała cokolwiek powiedzieć. — Orm Embar umarł za mnie na Selidorze, Kalessin przyniósł mnie na mój tron. Tu, w tym kręgu, znajdują się przedstawiciele trzech ludów: hardyckich, Kargów i ludu zachodu.

— Kiedyś wszyscy byli jednym — dodał Mistrz Imion spokojnym,

bezbarwnym głosem.

— Ale teraz nie są już jednym — odrzekł Mistrz Przywołań, starannie oddzielając kolejne słowa. — Nie zrozum mnie źle, bo mówię przykrą prawdę, mój panie i królu. Szanuję rozejm, jaki zawarłeś ze smokami. Gdy niebezpieczeństwo, które nam zagraża, minie, Roke pomoże Havnorowi w próbach osiągnięcia trwałego pokoju ze smokami. Nie mają one jednak nic wspólnego ze zbliżającym się przesileniem. Podobnie ludzie ze wschodu, którzy odrzucili swe nieśmiertelne dusze, kiedy zapomnieli Mowy Tworzenia.

— *Es eyemra* — rozległ się syczący głos.

Tehanu zerwała się z miejsca.

Mistrz Przywołań patrzył na nią bez słowa.

— Nasz język — powtórzyła po hardycku, patrząc na niego.

Irian roześmiała się.

— *Es eyemra* — powtórzyła.

— Wy nie jesteście nieśmiertelni! — krzyknęła Tenar, zwracając się do Mistrza Przywołań. Nie zamierzała się odzywać, nie wstała, słowa wyrwały się z niej same, niczym skry, gdy kamień uderza o kamień. — To my jesteśmy nieśmiertelni. Umieramy, by połączyć się z wiecznie żywym światem. Wy odrzuciliście nieśmiertelność!

Wszyscy umilkli. Mistrz Wzorów uczynił drobny gest dłońmi — delikatny, łagodny.

Z pogodną, spokojną twarzą przyglądał się uważnie układowi kilku gałązek i liści w trawie, w miejscu gdzie siedział, tuż przed skrzyżowanymi nogami. Potem uniósł wzrok i rozejrzał się.

— Myślę, że wkrótce będziemy musieli tam pójść — oznajmił. Po kolejnej chwili ciszy Lebannen zapytał:

— Dokąd, panie?

— W mrok — odparł Mistrz Wzorów.

* * *

Olcha słuchał tej rozmowy. Powoli głosy stawały się coraz słabsze, cichły, a ciepłe promienie letniego słońca zaczęły blednąc, rozpływać się w ciemności. Pozostały jedynie drzewa, wysokie, ślepe istoty pomiędzy ślepą ziemią a niebem; najstarsze żyjące dzieci ziemi. O Segoyu, rzekł do siebie w duchu, stworzony i stworzycielu, pozwól mi przyjść do siebie.

Ciemność ciągnęła się bez końca, poza drzewa, poza wszystko.

Na tle pustki ujrzał wzgórze, wysokie wzgórze stojące po prawej stronie, gdy szli z miasta do gaju. Ujrzał pył na drodze, kamienie

ścieżki wiodącej wokół wzgórza.

Teraz skręcił ze ścieżki, porzucając pozostałych, i zaczął wdrapywać się na zbocze.

Brodził w wysokiej trawie, pośród której lśniły zwiędnięte kwiaty iskiernika. Dotarł do wąskiej ścieżki i podążył nią w górę stromego wzgórza. Teraz jestem sobą, rzekł w głębi serca. Segoyu, świat jest piękny. Pozwól mi przejść przezeń do ciebie.

Mogę znów zrobić to, co powinienem, pomyślał, idąc naprzód. Mogę naprawić, połączyć to, co zniszczone.

Dotarł na szczyt wzgórza. Stojąc tam w słońcu i w powiewach wiatru, pośród rozkołysanych traw, ujrzał po prawej stronie pola, dachy niewielkiego miasta i olbrzymiego domu, jasną zatokę i dalej morze. Gdyby się obrócił, ujrzałby na zachodzie drzewa bezkresnego lasu znikające w błękitnej dali. Przed nim zbocze było mroczne i szare. Opadało w dół, aż do kamiennego muru, za którym kryła się ciemność. Pod murem stał tłum nawołujących do niego cieni. Przybędę, rzekł w duchu, przyjdę.

Nagle poczuł ciepło na ramionach i dłoniach. Wiatr zaszeleścił w liściach nad jego głową. Odezwały się głosy, mówiące spokojnie, odmienne od nawołujących, wykrzykujące jego imię. Ponad kręgiem traw obserwował go Mistrz Wzorów. Mistrz Przywołań także na niego patrzył. Oszołomiony Olcha spuścił głowę, próbował słuchać. Zebrał myśli.

Właśnie przemawiał król. Wykorzystywał wszystkie swe siły i zdolności, by utrzymać gwałtownych, pewnych siebie mężczyzn i kobiety na wspólnym szlaku.

— Pozwólcie, mistrzowie z Roke, że powtórzę wam to, czego dowiedziałem się od Najwyższej Księżniczki w drodze tutaj. Księżniczko, mogę mówić w twoim imieniu?

Pozbawiona welonów kobieta z powagą skinęła głową.

— Oto zatem jej opowieść. Dawno temu ludzie i smoki byli jedną rasą. Władali jednym językiem. Mieli jednak różne pragnienia, toteż zgodzili się rozstać, podążyć własnymi ścieżkami. Układ ten nazwano Vedurnan.

Onyks gwałtownie uniósł głowę.

— *Verw nadan* — szepnął Seppel, a jego błyszczące, ciemne oczy rozszerzyły się nagle.

— Ludzie powędrowali na wschód, smoki na zachód. Ludzie zrezygnowali ze znajomości Mowy Tworzenia. W zamian otrzymali umiejętności i zdolności rzemieślnicze oraz wszystko, co stworzą własnymi rękami. Smoki z tego zrezygnowały, zachowały jednak Dawną Mowę.

— I skrzydła — podpowiedziała Irian.

— I skrzydła — zgodził się Lebannen. Spojrzał Azverowi w

oczy. — Mistrzu Wzorów, może lepiej niż ja potrafisz dopowiedzieć do końca tę historię?

— Wieśniacy z Gontu i Hur-at-Hur pamiętają to, o czym zapomnieli mędrcy z Roke i kapłani z Karego — powiedział Azver. — Tak, jako dziecko słyszałem chyba tę opowieść, czy też bardzo jej podobną. Ale smoki także o niej zapomniały. Mówi o tym, jak ciemny lud Archipelagu złamał przysięgę. Wszyscy przysięgliśmy zaniechać czarów, zapomnieć magiczną mowę, używać jedynie mowy wspólnej. Nie mieliśmy nadawać imion ani tworzyć zaklęć. Ufaliśmy Segoyowi, mocom ziemi, naszej matki, matki Bogów-Wojowników. Lecz mędrcy ciemnego ludu złamali ugodę. Pochwycili w sidła swych umiejętności Mowę Tworzenia, zapisując ją runami. Zachowali ją, zaczęli jej uczyć, używać. Z jej pomocą tworzyli zaklęcia, dzięki własnym zręcznym rękom i fałszywym językom wymawiającym prawdziwe słowa. Toteż Kargowie nigdy nie mogli im zaufać. Tak głosi opowieść.

— Ludzie boją się śmierci, smoki nie — wtrąciła Irian. — Ludzie chcą zawładnąć życiem, posiąść je, jakby było jedynie klejnotem w szkatułce. Starożytni magowie łaknęli wiecznego życia. Nauczyli się używać prawdziwych imion po to, by powstrzymać śmierć. Lecz ci, którzy nie mogą umrzeć, nigdy się nie odrodzą.

— Imię i smok stanowią jedność — powiedział Kurremkarmerruk, Mistrz Imion. — My, ludzie, straciliśmy nasze imiona w *verw nadan,* ale nauczyliśmy się, jak je odzyskać. Imię to my sami. Czemu śmierć miałaby to zmienić?

Spojrzał na Mistrza Przywołań, lecz Brand siedział bez ruchu z ponurą twarzą i słuchał, nie odzywając się ani słowem.

— Zechcesz powiedzieć o tym coś więcej, Mistrzu Imion? — poprosił król.

— Powiem to, co częściowo odkryłem, częściowo odgadłem. Nie z wioskowych opowieści, lecz z najdawniejszych zapisów przechowywanych w Wieży Osobnej. Tysiąc lat przed czasami pierwszych królów z Enladu na wyspach Ea i Solea żyli ludzie, pierwsi i najwięksi z magów, Twórcy Run. To oni nauczyli się zapisywać Mowę Tworzenia. Stworzyli runy, których smoki nigdy nie poznały. Nauczyli nas nadawać każdej duszy prawdziwe imię, w którym kryje się jej prawda, ona sama. I dzięki swej mocy obdarzyli każdego, kto nosi prawdziwe imię, życiem po śmierci ciała.

— Życie wieczne — podjął cicho Seppel. Uśmiechał się lekko. — W wielkiej krainie pełnej rzek i gór, i pięknych miast, gdzie nie ma bólu ni cierpienia, a każda istota trwa niezmieniona, niezmienna na zawsze… Oto marzenie zawarte w pradawnych Kunsztach Palneńskich.

— Gdzie? — spytał Mistrz Przywołań. — Gdzie jest ta kraina?

— Na innym wietrze — oznajmiła Irian. — Poza zachodem. —

Powiodła po nich wzrokiem, w którym odbijał się gniew i wzgarda. — Sądzicie, że my, smoki, latamy tylko na wiatrach tego świata? Myślicie, że nasza wolność, dla której zrezygnowaliśmy ze wszystkich rzeczy ziemskich, nie jest większa niż wolność bezrozumnych mew? Że nasza kraina to kilka skał na skraju waszych bogatych wysp? Do was należy ziemia i morze, lecz my jesteśmy ogniem słońca. My fruwamy z wiatrem. Chcieliście zapanować nad ziemią, pragnęliście tworzyć i zachowywać wytwory swych rąk. I dostaliście to. To właśnie był wielki podział, *verw nadan.* Ale nie wystarczała wam wasza część. Pragnęliście nie tylko waszych trosk, lecz naszej wolności. Pragnęliście wiatru. Zaklęciami i magią krzywoprzysięzców skradliście połowę naszej krainy. Otoczyliście murem, nie dopuszczając do niej życia i światła, abyście sami mogli żyć w niej wiecznie. Złodzieje, zdrajcy!

— Siostro — wtrąciła szeptem Tehanu — to nie są ludzie, którzy ukradli nam naszą krainę. To ci, którzy płacą cenę.

Po jej szorstkich słowach zapadła cisza.

— Jaka była cena? — spytał w końcu Mistrz Imion.

Tehanu spojrzała na Irian. Irian zawahała się, po czym odpowiedziała, zniżając głos:

— Chciwość gasi słońce. To słowa Kalessina.

Wówczas przemówił Mistrz Wzorów, Azver. Cały czas patrzył w dal, pomiędzy drzewa po drugiej stronie polany, jakby śledził lekkie poruszenia liści.

— Starożytni dostrzegali, że królestwo smoków nie należy tylko do ciała. Że potrafią też wzlecieć… może nawet poza czas… i zazdroszcząc im tej swobody, podążyli Smoczą Drogą, na zachód poza zachodem. Tam zajęli dla siebie część owej krainy, bezczasowej krainy, w której jaźń może trwać wiecznie. Lecz nie w ciele, jak u smoków. Ludzie mogli trafić tam tylko duchem. Wznieśli zatem mur, którego nie mogła przekroczyć żadna żywa istota, ani człowiek, ani smok, lękali się bowiem gniewu smoków, a ich sztuka nadawania imion pozwoliła zasnuć zachodnie krainy wielką siecią zaklęć. I kiedy ludzie z wysp umierają, trafiają na zachód poza zachodem i żyją tam duchem, wiecznie.

Gdy jednak wzniesiono mur i rzucono zaklęcia, za murem przestał wiać wiatr, morze się cofnęło, źródła wyschły, góry wschodu słońca stały się górami wiecznej nocy. Umarli przybywali do mrocznej krainy, suchej krainy.

— Wędrowałem nią — wtrącił cicho, jakby wbrew sobie Lebannen. — Śmierci się nie boję, lecz tej krainy owszem.

Zapadła cisza.

— Cob i Thorion próbowali zburzyć mur, przywrócić martwych z powrotem do życia — powiedział Mistrz Przywołań szorstkim, niechętnym tonem.

— Nie do życia, mistrzu — sprostował Seppel. — Podobnie jak Twórcy Run pragnęli bezcielesnego, wiecznego trwania.

— A jednak ich zaklęcia poruszyły to miejsce. — Mistrz Przywołań zamyślił się głęboko. — Smoki zaczęły wspominać pradawne krzywdy, a teraz dusze zmarłych sięgają przez mur, łaknąc powrotu do życia.

Olcha wstał.

— Nie życia łakną, lecz śmierci. Chcą znów złączyć się z ziemią, powrócić do niej.

Wszyscy spojrzeli na niego, on jednak tego nie dostrzegał. Jego świadomość tylko częściowo przebywała z nimi, częściowo była w suchej krainie. Trawa pod stopami — zielona, lśniąca w słońcu; martwa, sucha. Nad jego głową drżały liście drzew, a niedaleko czekał niski kamienny mur w dole mrocznego zbocza. Ze wszystkich swych towarzyszy Olcha widział tylko Tehanu. Niewyraźnie, lecz ją rozpoznał. Wiedział, że stoi pomiędzy nim a murem. Zwrócił się do niej.

— Zbudowali go, ale nie mogą zburzyć. Pomożesz mi, Tehanu?

— Pomogę, Haro — odparła.

Wówczas opadł między nich cień, wielki, potężny, masywny i silny. Ukrył ją, a jego pochwycił, przytrzymał. Olcha szarpał się, nie mógł zaczerpnąć powietrza. Ujrzał w mroku czerwony ogień, a później już nic.

* * *

Spotkali się w blasku gwiazd na skraju polany — król zachodnich krain i mistrzowie z Roke. Dwie potęgi Ziemiomorza.

— Czy będzie żył? — spytał Mistrz Przywołań.

— Uzdrowiciel twierdzi, że nic mu nie grozi — rzekł Lebannen.

— Źle uczyniłem — przyznał Mistrz Przywołań. — Przykro mi.

— Czemu go przywołałeś? — spytał król nie z wyrzutem, lecz oczekując odpowiedzi.

— Ponieważ miałem moc, by to uczynić — odparł ponuro mistrz. W milczeniu szli naprzód szeroką ścieżką wśród potężnych drzew. Po obu stronach było bardzo ciemno, lecz ich drogę rozświetlał szary blask gwiazd.

— Źle uczyniłem, ale niedobrze jest pragnąć umrzeć — oznajmił Mistrz Przywołań. W jego głosie dźwięczał akcent Wschodnich Rubieży. Mówił cicho, niemal błagalnie. — Może kiedy jest się bardzo starym, bardzo chorym. Ale przecież dano nam życie. Musimy

utrzymywać je, cenić ów wielki dar.

— Śmierć także nam dano — odrzekł król.

* * *

Mistrz Wzorów zdecydował, że Olcha powinien odpocząć pod gwiazdami, a stary Mistrz Ziół się zgodził. Tak więc Olcha leżał na sienniku w trawie. Spał. Tehanu siedziała obok niego.

Tenar przycupnęła w wejściu niskiego kamiennego domu, obserwując ją. Nad polaną świeciły wielkie gwiazdy późnego lata. Najwyższa z nich, gwiazda zwana Tehanu, Serce Łabędzia, zdawała się podtrzymywać niebo.

Seserakh cicho wyszła z domu i usiadła na progu obok Tenar. Zdjęła przepaskę podtrzymującą welon i płowe włosy rozsypały się jej na ramionach.

— Och, moja przyjaciółko — mruknęła — co się z nami stanie? Przybywają tu zmarli, czujesz ich? Są niczym fala przypływu za murem. Myślę, że nikt ich nie powstrzyma. Wszyscy zmarli, z grobów na wszystkich wyspach zachodu, od wieków…

Tenar czuła w głowie i we krwi pulsowanie, zew. Teraz wiedziała, wszyscy wiedzieli to, co wcześniej wiedział tylko Olcha. Musiała jednak trzymać się tego, czemu ufała. Nawet jeśli zaufanie okazałoby się zaledwie nadzieją.

— To tylko umarli, Seserakh — powiedziała. — Zbudowaliśmy fałszywy mur. Trzeba go zburzyć. Istnieje jednak także prawdziwy.

Tehanu wstała i podeszła do nich. Usiadła na niskim stopniu.

— Wszystko dobrze. Śpi.

— Byłaś tam z nim? — spytała Tenar.

Tehanu przytaknęła.

— Byliśmy pod murem.

— Co zrobił Mistrz Przywołań?

— Wezwał go, sprowadził siłą.

— Do życia?

— Do życia.

— Nie wiem, czego lękać się bardziej, śmierci czy życia — mruknęła Tenar. — Chciałabym pozbyć się strachu.

Seserakh pochyliła twarz w burzy ciepłych włosów ku ramieniu Tenar, w geście pieszczoty.

— Jesteś odważna, odważna — szepnęła. — Och! Ja tak się boję morza i śmierci!

Tehanu siedziała w milczeniu. W rozproszonym świetle wśród

drzew Tenar widziała, jak córka smukłą dłonią zakrywa spaloną, wykrzywioną rękę.

— Myślę — powiedziała w końcu Tehanu swym cichym, niezwykłym głosem — że kiedy umrę, wypuszczę z siebie oddech, który dawał mi życie, oddam światu wszystko to, czego nie zrobiłam. Wszystko, czym mogłam być, lecz nie zdołałam, wszystkie wybory, których nie dokonałam. Rzeczy, które straciłam, zmarnowałam, zniszczyłam… mogę oddać je światu. Żywotom, które jeszcze nie żyły. To będzie mój dar dla świata, dar za życie, które przeżyłam, miłość, którą kochałam, oddech, który wciągałam w płuca.

Spojrzała w niebo, w gwiazdy i westchnęła.

— Ale jeszcze nieprędko — szepnęła. Obejrzała się na Tenar.

Seserakh łagodnie pogładziła włosy Tenar. Potem wstała i bez słowa wróciła do domu.

— Myślę, że już niedługo, matko…

— Wiem.

— Nie chcę cię opuszczać.

— Musisz mnie opuścić.

— Wiem.

Milczały w migotliwym mroku Gaju.

— Spójrz — szepnęła Tehanu. Na niebie rozbłysła spadająca gwiazda, pozostawiając za sobą szybko gasnący świetlisty szlak.

* * *

Pięciu magów siedziało w blasku gwiazd.

— Spójrzcie — rzekł jeden, śledząc spadającą gwiazdę.

— Dusza umierającego smoka — powiedział Mistrz Wzorów Azver. — Tak mawiają w Karego-At.

— Czy smoki umierają? — spytał Onyks. — Chyba nie tak jak my.

— Nie żyją tak jak my. Poruszają się między światami; tak twierdzi Orm Irian. Z wiatrów tego świata na inny wiatr.

— My też próbowaliśmy to osiągnąć — wtrącił Seppel — lecz nam się nie udało.

Hazard spojrzał na niego z ciekawością.

— Czy wy, na Palnie, zawsze znaliście to, co usłyszeliśmy dzisiaj — historię rozdzielenia smoków i ludzi, i powstania suchej krainy?

— Nie w wersji, którą dziś usłyszeliśmy. Uczono mnie, że *verw nadan* był pierwszym wielkim triumfem sztuki magicznej. I że celem magii jest zwycięstwo nad czasem i osiągnięcie życia wiecznego. Stąd

właśnie wzięło początek zło, jakiego dokonano dzięki Kunsztom Palneńskim.

— Przynajmniej zachowaliście dawną wiedzę, którą myśmy wzgardzili — zauważył Onyks. — Podobnie twój lud, Azverze.

— Cóż, wy za to mieliście dość rozumu, by zbudować tu wielki dom — odparł z uśmiechem Mistrz Wzorów.

— Ale źle go zbudowaliśmy — powiedział Onyks. — Wszystko, co budujemy, budujemy źle.

— Musimy więc to zburzyć — wtrącił Seppel.

— Nie — sprzeciwił się Hazard. — Nie jesteśmy smokami. Żyjemy w domach, musimy wznosić mury.

— Póki przez okna może wpadać wiatr — dodał Azver.

— A kto wejdzie drzwiami? — spytał łagodnie Odźwierny.

Zapadła cisza. Gdzieś na polanie zaćwierkał świerszcz. Umilkł i odezwał się znowu.

— Smoki — podsunął w końcu Azver.

Odźwierny pokręcił głową.

— Myślę, że podział, który rozpoczął się wówczas, a potem został naruszony, w końcu dokona się ostatecznie. Smoki odejdą wolne i pozostawią nas tutaj z wyborem, którego dokonaliśmy.

— Znajomością dobra i zła — rzekł Onyks.

— Radością tworzenia, kształtowania — dodał Seppel. — Naszą sztuką.

— I naszą chciwością, słabością, strachem — dokończył Azver.

Świerszczowi odpowiedział drugi, bliżej strumienia. Cykanie cichło i narastało, co chwila wpadając w zgodny rytm.

— Boję się tylko jednego — powiedział Hazard. — Tak bardzo, że lękam się nawet to powiedzieć. Kiedy smoki odejdą, czy nasza sztuka nie odejdzie wraz z nimi? Nasz dar, nasza magia.

Milczenie pozostałych świadczyło wyraźnie, że oni także się tego lękali. W końcu przemówił Odźwierny, cicho, lecz pewnym siebie tonem.

— Nie, nie sądzę. To prawda, one są Tworzeniem, ale my nauczyliśmy się Tworzenia. Uczyniliśmy je naszym własnym. Nic nie może nam go odebrać. Aby je utracić, musielibyśmy zapomnieć, odrzucić je.

— Jak to uczynił mój lud — mruknął Azver.

— Twój lud jednak pamięta, czym jest ziemia i niekończące się życie — zauważył Seppel. — A my zapomnieliśmy.

I znów zapadła długa cisza.

— Mógłbym sięgnąć ręką ponad murem. — Hazard zniżył głos.

— Są blisko — odparł Seppel. — Bardzo blisko.

— Skąd mamy wiedzieć, co robić? — spytał Onyks.

W ciszy, która zapadła po tym pytaniu, zadźwięczał głos Azvera.

— Kiedyś, gdy mój pan Arcymag był ze mną w Gaju, powiedział, że całe życie uczył się, jak wybierać to, wobec czego wybór nie istnieje, co musi uczynić.

— Chciałbym, żeby był tu teraz — westchnął Onyks.

— Zrobił już to, co miał zrobić — szepnął z uśmiechem Odźwierny.

— Ale my nie. Siedzimy tu i rozmawiamy na skraju przepaści. Wszyscy o tym wiemy. — Onyks powiódł wzrokiem po widocznych w blasku gwiazd twarzach. — Czego chcą od nas umarli?

— Czego chcą od nas smoki? — zastanawiał się Hazard. — Te kobiety, które są smokami. Smoki, które są kobietami. Czemu tu przybyły? Czy możemy im ufać?

— A mamy wybór? — spytał Odźwierny.

— Chyba nie — rzekł Mistrz Wzorów. W jego głosie zadźwięczała twarda nuta, ostra niczym klinga miecza. — Możemy jedynie iść wskazanym szlakiem.

— Wskazanym przez smoki? — spytał Hazard.

Azver pokręcił głową.

— Przez Olchę.

— Ależ on nie jest przewodnikiem, Mistrzu Wzorów — zaprotestował Hazard. — To tylko wioskowy czarownik.

— Olcha ma w sobie mądrość, która kryje się w jego rękach, nie w głowie — rzekł Onyks. — Podąża za głosem serca. Z pewnością nie chce nam przewodzić.

— A jednak wybrano go spośród nas.

— Kto go wybrał? — spytał cicho Seppel.

— Umarli — odpowiedział Mistrz Wzorów.

Umilkli. Cykanie świerszczy ucichło. W szarej w blasku gwiazd trawie zaszeleściły kroki. Zbliżały się dwie wysokie postaci, Lebannen i Brand.

— Czy możemy posiedzieć z wami? — spytał król. — Dziś w nocy nie możemy zasnąć.

* * *

Ged siedział na progu swego domu na Overfell i patrzył w gwiazdy nad morzem. Godzinę wcześniej położył się spać, gdy jednak zamknął oczy, ujrzał zbocze wzgórza i usłyszał głosy narastające niczym fala. Natychmiast wstał i wyszedł na dwór, by móc widzieć poruszające się gwiazdy.

Był zmęczony, zamykały mu się oczy i znów stał obok

kamiennego muru, a jego serce ściskał lodowaty strach, że pozostanie tam na zawsze i nie odnajdzie drogi powrotnej. W końcu zniecierpliwiony i zmęczony strachem znów wstał, zabrał z domu latarnię, zapalił ją i wyruszył ścieżką do domu cioteczki Mech. Mech może się boi, a może nie, ostatnio i tak żyje nieopodal muru, ale Wrzos z pewnością wpadła w panikę i Mech nie zdoła jej uspokoić. A ponieważ cokolwiek należało zrobić, tym razem nie jemu przypadnie to w udziale, będzie mógł przynajmniej pocieszyć biedną niedorozwiniętą dziewczynę. Powiedzieć jej, że to tylko sny.

Wędrówka w ciemności nie była łatwa. W blasku latarni na ścieżkę padały olbrzymie cienie. Ged szedł wolniej, niżby chciał. Od czasu do czasu potykał się o coś.

Mimo późnej pory dostrzegł światło w oknie wdowca. Gdzieś w wiosce zapłakało dziecko. „Matko, matko, czemu ludzie płaczą? Czemu ludzie płaczą, matko?". Tu także ludzie nie mogli spać. Tej nocy wszyscy w Ziemiomorzu nie mogą spać, pomyślał Ged. Uśmiechnął się lekko na tę myśl. Zawsze bowiem lubił ową chwilę ciszy, pełną lęku, tuż przedtem, nim nadciągnie zmiana.

* * *

Olcha się obudził. Leżał na ziemi, czuł pod sobą jej głębię. Nad nim na niebie płonęły gwiazdy, gwiazdy lata wędrujące pomiędzy liśćmi, którymi kołysał wiatr, przesuwające się ze wschodu na zachód wraz z obrotem świata. Jakiś czas wpatrywał się w nie, a potem je pożegnał. Tehanu czekała na niego na wzgórzu.

— Co mamy robić, Haro? — spytała.

— Musimy naprawić świat — oznajmił. Uśmiechnął się, bo w końcu poczuł lekkość w sercu. — Musimy zburzyć mur.

— A oni? Mogą nam pomóc? — spytała, gdyż zmarli zebrali się w ciemności, niezliczeni niczym źdźbła trawy, ziarnka piasku czy gwiazdy, milczący — wielka, rozległa, mroczna pustynia dusz.

— Nie — rzekł — ale może inni to uczynią.

Szedł w dół, zbliżając się do muru. W tym miejscu sięgał mu zaledwie do pasa. Olcha położył dłonie na jednym z kamieni z najwyższej warstwy i spróbował go poruszyć. Kamień tkwił jednak mocno, czy może był cięższy, niż powinien. Olcha nie mógł go podnieść ani nawet obluzować.

Tehanu podeszła do niego.

— Pomóż mi — poprosił.

Położyła ręce na kamieniu, ludzką dłoń i spalony szpon,

chwytając go mocno, i szarpnęła jednocześnie z Olchą. Kamień drgnął lekko.

— Popchnij — poleciła i razem powoli wypchnęli go z głośnym zgrzytem. Kamień zachwiał się i z głuchym łoskotem runął na drugą stronę muru.

Następny kamień był mniejszy. Razem zdołali go podnieść i odrzucić w pył obok poprzedniego.

Ziemia pod ich stopami zadrżała. Niewielkie kamienie z muru zagrzechotały głośno. Olbrzymie rzesze umarłych z długim westchnieniem podeszły bliżej.

* * *

Mistrz Wzorów wstał nagle i zamarł, nasłuchując. Na całej polanie zaszeleściły liście. Drzewa Gaju uginały się i drżały, jakby atakowane gwałtowną wichurą. Nie było jednak wiatru.

— Wszystko się zmienia — powiedział i odszedł od nich w mrok pod drzewami.

Mistrz Przywołań, Odźwierny i Seppel wstali i podążyli za nim w milczeniu. Hazard i Onyks ruszyli ich śladem.

Lebannen postąpił kilka kroków za nimi, zawahał się i pobiegł przez łąkę do niskiego domu z kamienia i darni.

— Irian — rzekł, pochylając się w ciemnym wejściu. — Irian, zabierzesz mnie ze sobą?

Wyszła z domu z uśmiechem. Otaczał ją niezwykły ognisty blask.

— Chodź zatem, chodź szybko — powiedziała i chwyciła go za rękę. Jej dłoń parzyła niczym rozżarzony węgiel, gdy uniosła go na inny wiatr.

Po chwili z domu wyszła Seserakh, niedługo po niej Tenar. Stanęły razem w blasku gwiazd, rozglądając się wokół. Nic się nie poruszało. Drzewa znów ucichły.

— Wszyscy odeszli — szepnęła Seserakh. — Na Smoczą Drogę. Postąpiła krok naprzód, patrząc w ciemność.

— Co mam robić, Tenar?

— Musimy pilnować domu — odparła Tenar.

— Och! — szepnęła Seserakh, padając na kolana. Ujrzała Lebannena leżącego twarzą do ziemi, w trawie. — Nie jest martwy, chyba nie. Och, mój drogi panie i królu, nie odchodź, nie umieraj!

— Jest z nimi. Zostań tutaj. Daj mu ciepło. Pilnuj domu, Seserakh — poleciła Tenar. Sama podeszła do Olchy. Niewidzącymi oczami spoglądał w gwiazdy. Usiadła obok, ujmując jego dłoń.

Czekała.

* * *

Olcha ledwo mógł ruszyć wielki kamień, na którym spoczęły jego ręce, lecz nagle obok znalazł się Mistrz Przywołań. Pochylił się, napierając na głaz ramieniem.

— Teraz! — rzekł.

Pchnęli jednocześnie. Głaz stracił równowagę i z tym samym ciężkim ostatecznym łoskotem runął na drugą stronę muru.

Teraz do Olchy i Tehanu dołączyli inni, szarpiąc kamienie, rzucając je w pył obok muru. Przez moment Olcha ujrzał, jak jego ręce rzucają cień w czerwonym blasku. Orm Irian, wyglądająca tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, w olbrzymiej smoczej postaci, wypuściła z nozdrzy ognisty dech, walcząc z głazem z najniższej warstwy kamieni, głęboko wkopanym w ziemię. Jej szpony krzesały iskry, porośnięty grzebieniem kolców grzbiet wygiął się w łuk i kamień poruszył się z hukiem, czyniąc wyrwę w murze.

Pośród cieni po drugiej stronie rozległ się cichy chóralny krzyk niczym szum fal rozbijających się na kamienistym brzegu. Ciemność wezbrała, napierając na mur, lecz Olcha uniósł wzrok i przekonał się, że niebo nie jest już ciemne. W miejscu, w którym gwiazdy trwały nieruchomo, teraz poruszały się światła, iskierki ognia na mrocznym zachodzie.

— Kalessin!

To był głos Tehanu. Olcha spojrzał na nią. Patrzyła w górę, na zachód.

Wyciągnęła ręce. Po jej dłoniach, ramionach przebiegł ogień, ogarniając włosy, twarz i ciało, i rozkwitając w wielkie skrzydła nad jej głową. Uniósł ją w powietrze, ognistą istotę, płonącą, piękną.

Wykrzyknęła czysto, głośno, bez słów. Wzleciała w górę — szybko, wysoko, w niebo, które jaśniało coraz bardziej. Biały wiatr gasił kolejno pozbawione znaczenia gwiazdy.

Pośród zastępów zmarłych nieliczni ludzie podobnie jak ona wzlatywali w górę, przemieniając się w smoki i szybując z wiatrem.

Większość szła naprzód, pieszo. Nie napierali już, nie krzyczeli, lecz podążali ze spokojną pewnością w stronę wyrw w murze. Ogromne rzesze mężczyzn i kobiet, którzy nie zatrzymywali się przy zniszczonym murze, lecz przekraczali go i znikali — oddech, obłoczek pyłu lśniący przez sekundę w stale jaśniejącym świetle.

Olcha patrzył na nich. W rękach wciąż trzymał zapomniany

kamienny klin, który wyrwał z muru, by obluzować większy głaz. Patrzył, jak zmarli odchodzą wolni. W końcu ujrzał ją pośród nich. Cisnął kamień na bok i wystąpił naprzód.

— Lilio — rzekł.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Ujął jej dłoń i razem odeszli w słońce.

* * *

Przy zburzonym murze Lebannen patrzył, jak na wschodzie jaśnieje brzask. Teraz był tu już wschód, w miejscu niegdyś pozbawionym kierunków i celów. Istniał wschód i zachód, światło, ruch. Ziemia poruszała się, kołysała, drżała niczym olbrzymie zwierzę; kamienny mur po obu stronach wyrwy zakołysał się i runął. Z odległych czarnych wierzchołków gór zwanych Bólem trysnął ogień, ogień, który płonie w sercu świata i którym karmią się smoki.

Lebannen spojrzał w niebo nad górami i jak kiedyś, z Gedem nad Zachodnim Morzem, ujrzał smoki lecące na wietrze poranka.

Trzy skierowały się w stronę miejsca, w którym stał pośród innych, poniżej szczytu wzgórza, nad zburzonym murem. Dwa z nich znał, Orm Irian i Kalessina. Trzeci miał jasną złotą łuskę i złote skrzydła. Ten właśnie wzlatywał najwyżej i nie opadł w dół. Orm Irian tańczyła w powietrzu wokół siostry. Leciały razem, jedna ścigała drugą, coraz wyżej i wyżej, aż w końcu najwyższe promienie wschodzącego słońca padły na Tehanu, która zapłonęła niczym jej imię, wielka jasna gwiazda.

Kalessin zatoczył krąg, zniżył lot i wylądował ciężko pośród ruin muru.

— *Agni Lebannen* — rzekł smok do króla.

— Najstarszy — pozdrowił smoka król.

— *Aissadan verw nadannan* — zabrzmiał głośny syczący głos, dźwięczący niczym morze cymbałów.

Obok Lebannena stał Mistrz Przywołań, Brand. Powtórzył słowa w Mowie Tworzenia, a potem przełożył na hardycki.

— Co było podzielone, jest podzielone.

Mistrz Wzorów stanął w pobliżu, jego włosy jaśniały w promieniach wschodzącego słońca.

— To, co zbudowane, zostało zburzone — rzekł. — Co było zniszczone, stało się całością.

Spojrzał tęsknie w niebo na dwa smoki, złocistego i czerwono-brązowego. One jednak niemal zniknęły im już z oczu, tańcząc,

zataczając kręgi nad rozległą, opadającą w dół krainą, gdzie w blasku słońca puste miasta cieni rozpływały się w nicość.

— Najstarszy — rzekł Azver i długa głowa zwróciła się powoli w jego stronę. — Czy ona wróci tu jeszcze kiedyś? Do lasu? — spytał w mowie smoków.

Podłużne bezdenne żółte oko Kalessina spojrzało na niego. Olbrzymia zamknięta paszcza zdawała się wykrzywiać w uśmiechu jak u jaszczurki. Smok milczał.

A potem, z głośnym zgrzytem przesuwając swe cielsko wzdłuż muru, tak że kamienie rozsypały się w pył pod żelaznym brzuchem, Kalessin odpełznął od nich i z łoskotem wzniesionych skrzydeł odepchnął się od ziemi, by wzlecieć nisko w stronę gór, których szczyty jaśniały od dymu i białej pary, ognia i słońca.

— Chodźcie, przyjaciele — powiedział Seppel cicho. — Dla nas nie nadeszła jeszcze pora wolności.

* * *

Słońce świeciło już na niebie nad koronami najwyższych drzew, lecz na łące wciąż panował chłód szarego poranka. Tenar trzymała dłoń Olchy. Pochylała nisko twarz. Patrzyła, jak zimna rosa przygina do ziemi źdźbło trawy, jak maleńkie delikatne krople kołyszą się lekko. W każdej z nich odbijał się cały świat.

Ktoś wymówił jej imię. Nie zareagowała.

— Odszedł — powiedziała.

Mistrz Wzorów ukląkł obok niej, łagodnie dotknął twarzy Olchy. Jakiś czas klęczał w milczeniu. W końcu zwrócił się do Tenar w jej własnym języku.

— Pani, widziałem Tehanu. Odleciała złota na inny wiatr.

Tenar spojrzała na niego. Twarz miał bladą i znużoną, lecz w jego oczach dostrzegła zwycięską iskrę.

Zebrała siły i przemówiła ochryple, niemal niedosłyszalnie:

— Szczęśliwa?

Przytaknął.

Tenar pogładziła rękę Olchy, rękę mistrza napraw, zgrabną, zręczną. Do jej oczu napłynęły łzy.

— Pozwól mi pobyć z nim chwilę — powiedziała. Ukryła twarz w dłoniach i zapłakała cicho, boleśnie, z goryczą.

* * *

Azver podszedł do niewielkiej grupki skupionej obok drzwi domu. Onyks i Hazard stali obok Mistrza Przywołań. Przykucnięta nad Lebannenem księżniczka osłaniała go ochronnym gestem i patrzyła wyzywająco na magów, nie pozwalając im go dotknąć. Jej oczy lśniły. W dłoni trzymała krótki stalowy sztylet Lebannena.

— Wróciłem z nim — rzekł Brand do Azvera. — Próbowałem z nim zostać. Nie byłem pewien, czy odnajdę drogę, a ona nie dopuszcza mnie do niego.

— *Ganai* — powiedział Azver. Tak brzmiał po kargijsku jej tytuł: księżniczka.

Odwróciła się ku niemu.

— Och, dzięki niech będą Atwah-Wuluhowi i wieczna chwała Matce! — wykrzyknęła. — Panie Azverze, przepędź stąd tych przeklętych czarowników. Zabij ich! Oni zabili mojego króla. — Podała mu sztylet, trzymając za smukłą stalową klingę.

— Nie, księżniczko. Król poszedł wraz ze smokiem Irian. Ten mag sprowadził go z powrotem. Pozwól, niech zobaczę. — Azver ukląkł i odwrócił lekko twarz Lebannena, przyglądając się uważnie. Położył dłonie na jego piersi. — Jest zimny — rzekł. — Pokonał długą drogę. Weź go w ramiona, księżniczko. Ogrzej go.

— Próbowałam — odparła, przygryzając wargę. Odrzuciła sztylet i pochyliła się nad nieprzytomnym. — O, biedny królu — rzekła cicho po hardycku. — Kochany biedny królu.

Azver wstał.

— Myślę, że nic mu nie będzie, Brandzie — rzekł do Mistrza Przywołań. — Teraz dziewczyna przyda mu się bardziej od nas.

Mistrz Przywołań wyciągnął potężną dłoń i chwycił ramię Azvera.

— Spokojnie.

— Odźwierny! — Azver pobladł jeszcze bardziej, rozglądając się po polanie.

— Wrócił razem z Palnijczykiem — odparł Brand. — Usiądź, Azverze.

Azver posłuchał, siadając na pniu, na którym wcześniej zajmował miejsce stary Mistrz Przemian. Zdawało się, że od chwili, gdy razem zasiedli w kręgu, upłynęło tysiąc lat. Wieczorem starcy wrócili do szkoły… A potem zaczęła się długa noc. Noc, podczas której kamienny mur przybliżył się tak bardzo, że każdy, kto zasypiał, trafiał w to miejsce, a miejsce to budziło grozę, toteż nikt nie spał. Może nawet nikt na Roke, na wszystkich wyspach. Tylko Olcha, który wskazał im drogę… Azver zorientował się, że zasypia i dygocze z zimna.

Hazard próbował go namówić, aby schronił się w zimowym domu, lecz Azver uparł się, że powinien zostać w pobliżu księżniczki, by móc tłumaczyć. A także obok Tenar, dodał w myślach, by ją

chronić. By mogła płakać. Olcha już nie rozpaczał. Przekazał jej swój żal. Im wszystkim. I swą radość…

Ze szkoły przybył Mistrz Ziół i zaczął krzątać się wokół Azvera. Okrył mu ramiona zimowym płaszczem. Mistrz Wzorów siedział na polanie, pogrążony w gorączkowym półśnie, nie słuchając innych, poirytowany obecnością tak wielu ludzi w słodkim milczącym Gaju. Patrzył, jak promienie słoneczne przesączają się przez liście. W końcu jego czuwanie przyniosło owoce. Księżniczka podeszła i uklękła, patrząc mu w twarz z błagalnym szacunkiem.

— Panie Azverze, król chciałby z tobą pomówić.

Pomogła mu wstać, jakby był starcem. Nie przeszkadzało mu to.

— Dziękuję, *gainha*.

— Nie jestem królową — roześmiała się.

— Jeszcze nie — powiedział Mistrz Wzorów.

* * *

Właśnie zaczął się mocny przypływ towarzyszący pełni i „Delfin" musiał zaczekać na niższą wodę, by móc przepłynąć między Zbrojnymi Urwiskami. Dopiero późnym rankiem Tenar zeszła na ląd w Porcie Gont i rozpoczęła długą wędrówkę w górę. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy dotarła do Re Albi i skręciła w ścieżkę wiodącą do domu.

Ged podlewał dobrze już wyrośnięte główki kapusty.

Wyprostował się i zobaczył ją spieszącą ku niemu. Spod zmarszczonych brwi spoglądały jastrzębie oczy.

— Ach! — westchnął.

— Mój drogi! — zawołała.

Biegiem pokonała ostatnich kilka kroków, a on wyszedł jej na spotkanie.

* * *

Była zmęczona. Tak bardzo się cieszyła, że może usiąść, sączyć zacne czerwone wino Iskry i patrzeć na łunę wczesnojesiennego wieczoru płonącą złotem nad zachodnim morzem.

— Jak mam ci to wszystko opowiedzieć? — spytała.

— Opowiedz od końca — zaproponował.

— Dobrze. Tak zrobię. Chcieli, żebym została, ale powiedziałam, że muszę wracać do domu. Rada Królewska spotkała się, no wiesz, z powodu zaręczyn. Niedługo odbędzie się wspaniałe wesele, ale chyba nie muszę tam jechać, bo tak naprawdę tam właśnie wzięli ślub. Pierścieniem Elfarran. Naszym pierścieniem.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się szerokim słodkim uśmiechem, którego, jak sądziła, nikt poza nią nie oglądał nigdy na jego twarzy.

— Tak? — spytał.

— Lebannen podszedł i stanął po mojej lewej stronie, a potem Seserakh po prawej. Przed tronem Morreda. A ja uniosłam pierścień, tak jak uczyniłam, gdy przywieźliśmy go do Havnoru, pamiętasz? W „Bystrym Oku", w blasku słońca? Lebannen ujął go oburącz, ucałował i oddał mi, a ja wsunęłam go jej na rękę. Zatrzymał się tuż nad przegubem — Seserakh nie jest drobnej budowy… och, powinieneś ją zobaczyć, Ged! Jaka to piękność, jaka lwica! Nareszcie spotkał kobietę równą sobie. I wszyscy radośnie krzyczeli. A potem zaczęły się uroczystości. Mogłam więc odejść.

— Mów dalej.

— Od końca?

— Od końca.

— Cóż, przedtem była Roke.

— Na Roke nic nie jest proste.

— Owszem.

W milczeniu sączyli czerwone wino.

— Opowiedz mi o Mistrzu Wzorów.

Uśmiechnęła się.

— Seserakh nazywa go wojownikiem. Twierdzi, że tylko wojownik mógł zakochać się w smoku.

— Kto poszedł za nim tamtej nocy do suchej krainy?

— On poszedł za Olchą.

— Ach… — W westchnieniu Geda zabrzmiało zdumienie i pewna satysfakcja.

— Podobnie inni mistrzowie. I Lebannen, i Irian…

— I Tehanu.

Cisza.

— Wyszła z domu. I zniknęła. — Długa cisza. — Azver ją widział. O wschodzie słońca. Na innym wietrze.

Cisza.

— Odeszły. W Havnorze i na zachodnich wyspach nie pozostał ani jeden smok. Onyks mówi, że gdy cienista kraina i wszystkie zamknięte w niej cienie dołączyły do światła, smoki odzyskały swe prawdziwe królestwo.

— Przełamaliśmy świat, by go scalić — mruknął Ged.

Po długiej chwili Tenar przemówiła cichym, załamującym się

głosem.

— Mistrz Wzorów wierzy, że jeśli ją wezwie, Irian przybędzie do Gaju.

Ged długo nie odpowiadał. W końcu rzekł:

— Spójrz tam, Tenar.

Popatrzyła w mroczny przestwór powietrza nad zachodnim morzem.

— Jeśli przybędzie, to właśnie stamtąd. A jeśli nie, będzie tam.

Skinęła głową.

— Wiem. — Do jej oczu napłynęły łzy. — Kiedy wracaliśmy do Havnoru statkiem, Lebannen zaśpiewał mi piosenkę. — Nie mogła śpiewać, wyszeptała jedynie słowa: — „Bądź wolna, radości ma…”.

Odwrócił wzrok, patrząc ku lasom na zboczach góry, które powoli skrywała ciemność.

— Opowiedz, co robiłeś, kiedy mnie nie było — poprosiła Tenar.

— Pilnowałem domu.

— Wędrowałeś po lesie?

— Jeszcze nie — odparł.